

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 9/348**

**1976**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Z. OSSOWSKI :

**MIEROSZEWSKIEMU W HOŁDZIE Z KRAJU**

Zb. BYRSKI :

**O PUBLICYSTYCE J. MIEROSZEWSKIEGO**

KISIEL :

**MÓJ GŁOS W DYSKUSJI**

J. PAWLAK :

**WYWIAD Z AMALRIKIEM**

**LIST J. ANDRZEJEWSKIEGO  
DO PRZEŚLADOWANYCH ROBOTNIKÓW**



## SPIS RZECZY

Zygmunt Ossowski:	Mieroszewskiemu w hołdzie z kraju ..	3
Zbigniew Byrski:	O publicyście Juliusza Mieroszewskiego .....	8
Czesław Miłosz:	Strefa chroniona .....	15
Gustaw Herling-Grudziński:	Dziennik pisany nocą .....	27
K R A J		
Kisiel:	Mój głos w dyskusji .....	37
Albin Popowski:	Wokół represji .....	40
Leo Breit:	O metodzie podwyżki cen... i rządzenia	46
Pierre Olfenius:	Próba rozbitcia „Żnaku” .....	55
—	Dokumenty krajowe .....	58
	(Listy: 13-tu do intelektualistów zachodnich; J. Andrzejewskiego do robotników; J. Kuronia do Berlinguera, Elżbiety Boruckiej-Kuroń do MON'u; 14-tu oraz 11-tu solidaryzujące się z robotnikami. List 14-tu do Komisji Sejmowej; Protest studentów przeciwko zmianom Konstytucji oraz List A. Wojciechowskiego w sprawie obniżania jakości produktów mięsnych).	
—	Kronika .....	71
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Dominik Morawski:	Korespondencja z Rzymu .....	75
Brukselczyk:	Widziane z Brukseli .....	84
SĄSIEDZI		
Jan Pawlak:	Wywiad z Amalikiem .....	95
J. Mirski:	Jeszcze o Białorusi .....	103
Adam Kruczek:	W sowieckiej prasie .....	106
SPRAWY I TROSKI		
P. Emigrant:	Raptularz londyński .....	113
Benedykt Heydenkorn:	Slawistyka w bibliotekach naukowych Kanady .....	118
—	Apel Polskiej Rady Bibliotecznej w Londynie .....	121
KRONIKA KULTURALNA		
Bronisław Przyłuski:	Kobrzyński — poeta żołnierski .....	123
Jadwiga Kwiatkowska:	O „przeoczeniach” w Kraju .....	128
—	Nagroda im. Janiny Ławruk .....	132
K S I A Ź K I		
M. Broński:	Rosja jaka jest .....	133
Maria Danilewicz Zielińska:	Książki najgorsze .....	136
—	Nadestane nowości wydawnicze .....	138
◆		
Z. Hertz:	Humor krajowy .....	141
◆		
—	Wydarzenia miesiąca .....	142
◆		
A. Ciołkosz, L. Kołakowski, W. Krzyżanowski, T. Lechnicka, Two Przyjaciół „Kultury” w Sztokholmie. Redakcja „Kroniki” w Kopenhadze, St. Piaskowski:	Listy do Redakcji .....	155
—	Sprostowania .....	159

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ      Wrzesień - Septembre      1976

INSTYTUT



LITERACKI



## WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dr Ewa M. Buch-Kiljańska, Mundelein, Ill. (USA) .....	F. 108,00
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA) — zamiast kwiatów na grób Juliusza Mieroszewskiego .....	F. 100,00
Piotr Bukraba, Lafayette, La (USA), po raz drugi .....	F. 24,00
Czytelnik z Polski, po raz szósty .....	F. 25,00
Dorota i Henryk Goldfarbowie, Lund (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób Henryka Korneckiego w 15-tą rocznicę Jego śmierci .....	F. 25,00
Henryk Grynberg, McLean, Va (USA), po raz drugi .....	F. 100,00
Alicja Iwańska, Albany, N.Y. (USA) — zamiast kwiatów na grób Juliusza Mieroszewskiego .....	F. 125,00
Jerzy Janik, Lumberton, N.C. (USA) .....	F. 62,00
K. A. Jeleński, Paryż — zamiast kwiatów na grób Antoniego Słonimskiego .....	F. 100,00
Bernard Kostencki, Lund (Szwecja) .....	F. 30,00
Józef Lewandowski, Uppsala (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób Juliusza Mieroszewskiego .....	F. 200,00
Prof. Karol Krótki, Edmonton, Alberta (Kanada) .....	F. 360,00
Inż. Zbigniew Szpikowski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 15-ty .....	F. 50,00
Olgiert T. Zalewski, Bagsvaerd (Dania) .....	F. 40,25
Kazimierz Zamorski, Monachium (Niemcy Zach.) — zamiast kwiatów na trumnę Juliusza Mieroszewskiego .....	F. 50,00
Janusz Zembruski, Anglet (Francja), po raz dwudziesty piąty .....	F. 100,00
Norbert Żaba, Sztokholm — dla uczczenia pamięci Tadeusza Norwid-Nowackiego .....	F. 50,00
Bezimiennie z Polski .....	F. 225,00
Polonia w Sztokholmie .....	F. 1500,00
Ze zbiórki ulicznej w Lund (Szwecja) .....	F. 400,00

DZIĘKUJEMY!

Imprimé en France

## Mieroszewskiemu w hołdzie z Kraju

Kraj nie może oddać należytego hołdu Juliuszowi Mieroszewskiemu. Nazwisko pierwszego publicysty politycznego Rzeczypospolitej jest na indeksie, nie wolno go wymieniać. Przypadek zrządził, że jakiś pisarz krajowy może poświęcić mu wspomnienie. Gdyby mogli zrobiliby to najgodniejsi w Polsce.

Nikt nigdy nie wykreśli Juliusza Mieroszewskiego z dziejów naszej powojennej myśli politycznej. Był głównym, a zarazem jednym z nielicznych jej przedstawicieli. Na dobrą sprawę w Kraju nie ma publicystyki politycznej. Najlepsi jej przedstawiciele, jak do niedawna Paweł Jasienica, a dzisiaj Marian Brandys poświęcili się eseistyce historycznej. Publicyści duszą się w gorsecie cenzury lub uciekają w niedopowiedzenia felietonowe. Kraj mógł dać polskiej kulturze politycznej, niestety, tylko nieliczne pozycje o trwałym znaczeniu. Wymieńmy dla przykładu drukowane w Instytucie Literackim publikacje Jedlickiego, Bieńkowskiego, Kuronia i Modzelewskiego, czy Leszka Kołakowskiego.

Juliusz Mieroszewski przez cały okres powojenny pobudzał Kraj i Emigrację publicystyką najwyższej próby. Była to publicystyka niepodległościowa, ale daleka od powtarzanych na ogół w polskim Londynie łatwych schematów antykomunistycznych.

Mieroszewski napisał kiedyś zdanie bardzo proste, które mimo upływu lat stanowi kapitalną dyrektywę społeczno-ideową. Stwierdził, że socjalizm niepodległej Polski musi być inny nie tylko od programu PZPR, ale i od programu PPS. Zważywszy, że niemal wszystkie środki produkcji, cały nowozbudowany wielki przemysł jest państwowy, socjalizm nasz nie może być prostym przedłużeniem przedwojennych koncepcji PPS, warunkiem wolności jest zaś, by nie był nieefektywnym kapitalizmem



państwowym stworzonym przez partię komunistyczną. Realistyczne rozwiązania muszą pójść drogą pośrednią. Mieroszewski dostarczył to na wiele lat zanim rozpoczęła się socjaldemokratyzacja części partii komunistycznych na Zachodzie. Jego poglądy społeczne inspirowały poważne kręgi młodej inteligencji myślącej kategoriami sprawiedliwości społecznej. Mieroszewski uczył nas wyzwolenia tych kategorii myślenia z zależności od pozornego i fałszywego socjalizmu, będącego produktem sowieckiego socjalizmu. A przecież — powiedzmy to szczerze — duża część naszej powojennej inteligencji radykalnej i lewicowej była zainfekowana wielkim kłamstwem, polegającym na utożsamianiu imperialnych celów sowieckich z myśleniem socjalistycznym w Polsce.

Druga ważna konstatacja, którą koniecznie trzeba uczynić mówiąc o wpływie publicystyki Mieroszewskiego na Kraj, polega na tym, że będąc zawsze przeciwnym zależności Polski od imperializmu sowieckiego nie był nigdy antyrosyjski. Mieroszewski chciał nas leczyć z „neuroz politycznych” i robił to nader skutecznie, bo publicystyka jego była nadzwyczaj logiczna i przekonująca.

Nasze fobie antyniemiecka i antyrosyjska mają naturalnie głębokie podłoże historyczne i są do pewnego stopnia zrozumiałe psychologicznie. Ale urazy i fobie, choćby nie wiem jak uzasadnione, nie są żadną postawą polityczną, w ogóle nie są postawą rozumną. Emigracja miała swoje powody emocjonalne, żeby poddawać się irracjonalnym nastawieniom politycznym. W Kraju mieliśmy powody swoje, nie tyle może inne, ale inaczej przeżywane, innymi okolicznościami determinowane. Ale w obu wypadkach należało skłonność do politycznego irracjonalizmu poddać surowej terapii. To zadanie właśnie spełniał Juliusz Mieroszewski próbując osadzić polską myśl polityczną w wymiarach rzeczywistości istniejących. Uczył nas by nie absolutyzować przedziałów cywilizacyjnych między Polską i Rosją, które — choć są faktami o wielkich konsekwencjach politycznych — nie mogą oznaczać wrogości polsko-rosyjskiej po wsze czasy. Najważniejszym elementem poglądów Mieroszewskiego na sprawę naszej polityki wschodniej, była gotowość do przyjaznej postawy wobec Rosji i Rosjan, z jednoczesnym podkreśleniem konieczności pojednania z naszymi bezpośrednimi sąsiadami na Wschodzie: Ukraińcami, Białorusinami i Litwinami. Zapewne historycy, którym przyjdzie kiedyś opisywać dzieje *Kultury* paryskiej, będą analizować wzajemny wpływ w tym punkcie inspiracji Redaktora pisma i jego czołowego Publicysty, ale nie ulega wątpliwości, że linia *Kultury* w tej właśnie sprawie jest bezprecedensowa w całej naszej powojennej myśli politycznej.

Ale to wszystko nie wystarczy, żeby właściwie ocenić szero-

kość horyzontów politycznych „Londyńczyka”. Mieroszewski miał także beznamietny i racjonalny stosunek do sprawy niemieckiej. Pamiętamy jak żywo zareagował na słynną wymianę listów między biskupami polskimi i niemieckimi. W jego publicystyce międzynarodowej problem niemiecki i rosyjski miały bardzo wysoką rangę, wynikającą z doświadczeń historii Polski, choć Pan Juliusz myślał i pisał kategoriami uniwersalnymi. Był wielkim erudyta, największym polskim znawcą spraw międzynarodowych. Śledził zachodnią literaturę polityczną. Był zawsze doskonale zorientowany, nawet wtedy, gdy los skazał go na czerpanie informacji tylko z radia. Publicystyka Mieroszewskiego dawała nam w Kraju dwie rzeczy, które były najbardziej potrzebne: obfitą informację i bardzo samodzielne sądy. Każde zdanie które ten wspaniały człowiek pisał było albo rzeczową informacją, albo nadzwyczaj precyzyjną oceną.

Naturalnie w krótkim pośmiertnym artykule pisanym w Kraju na gorąco, bez ponownego sięgnięcia do książek i publikacji Mieroszewskiego nie można kusić się o zbliżone do całościowego omówienia jego twórczości. Jestem przekonany, że zarówno ta twórczość, jak i jej Autor doczekają się — i to niedługo — przedstawienia w publikacji większej, książkowej.

Tutaj mogę ograniczyć się do impresji bardzo ogólnych i subiektywnych. Chciałbym więc zwrócić uwagę na oryginalny i prekursorski charakter tego, co Mieroszewski pisał o kluczowych momentach naszej historii najnowszej. Wystarczy przypomnieć jego jedno zdanie o Powstaniu Warszawskim 1944 roku, które do dzisiaj pozostaje jednym z głównych problemów spornych w naszej historiografii dziejów najnowszych. Mieroszewski napisał: „Powstanie było wymierzone militarnie przeciwko Niemcom, a politycznie przeciw Rosjanom”. Tak było w istocie i z tego krótkiego stwierdzenia wypływają implikacje pozwalające najtrafniej ocenić tragiczną sprawę Powstania. Z taką samą wnikliwością i nieporównanym darem syntezy pisał Mieroszewski o innych ważnych sprawach historii i teraźniejszości Kraju i emigracji, Polski i świata. Miałem zaszczyt z nim rozmawiać. Był skromny i powściągliwy i jak nikt na emigracji zorientowany w sprawach polskich. Wydawało mi się niepojęte, że człowiek, który przez ponad trzydzieści lat nie był w Polsce, wiedział o niej więcej niż niejeden jego rozmówca krajowy. Od rozmów z ludźmi z Kraju nie uchylał się, przyjmował setki ludzi, wysłuchiwał cierpliwie młodych i naiwnych, przyjaciół *Kultury* i jej krytyków. I jakby nie było, każdy z nas zaczynał czytanie pisma od artykułu Mieroszewskiego i kroniki „Londyńczyka”. Gdyby nie jego publicystyka *Kultura* nie byłaby tym czym jest dla Kraju i nie zdobyłaby dla siebie tylu piór krajowych i współ-



pracowników z późniejszych fal emigracyjnych. Mieroszewskiemu zawdzięczamy wiele z naszego sposobu myślenia i widzenia sprawy polskiej na tle najszerzej problematyki światowej.

Jak każdy człowiek głoszący publicznie własne, oryginalne poglądy miał Mieroszewski swoich krytyków i przeciwników, co zresztą świadczyło o znaczeniu jego piarstwa.

Najczęściej zarzucano mu zmienność koncepcji, dokonywanie zwrotów i reorientacji. Można zapytać czy publicysta piszący na tematy polityczne ponad ćwierć wieku może w ogóle tego uniknąć? Z pewnością nie. Łatwo jest o stałość przekonań, jeśli powtarza się od lat stale te same wyświechtane frazesy antykomunistyczne, równie nieprzejednane, co pozbawione wpływu i znaczenia. Mieroszewski był całkowitym przeciwnikiem tego stylu i zwalczał go w interesie polskiej myśli politycznej, nie bacząc, że w ten sposób przysparza sobie wrogów. Ale on chciał służyć Krajowi, a w Kraju sytuacja stale ewoluowała, zmieniała się, przynosiła nadzieje i rozczarowania. Mieroszewski dzielił je z ludźmi z Kraju, bo jak nikt inny śledził jego losy i nie mógł być obojętny na rozgrywający się tam dramat. Dlatego razem z nami dążył do reform i zmian, liczył na ewolucję systemu, przeżywał nasze gorycze i pomyłki, razem z nami dokonywał rewizji niektórych ocen. Dlatego był publicystą tak bardzo polskim, czytany w Kraju i należącym do Kraju, choć przebywał w dalekim Londynie. Jego zwroty — wiązały się ze zmianami rzeczywistości krajowej, z ciągle innymi warunkami naszej walki i realnymi celami, jakie mogliśmy sobie w niej stawiać.

„Ewolucjonizm” o jakim pisał kiedyś Mieroszewski nie sprawdził się w wielu punktach, ale czy świadczy to o przegranej całego jego sposobu myślenia? Czy wykluczając ewentualność III-ciej Wojny Światowej jest w ogóle inna możliwość wybicia się Polski na niepodległość niż przez ewolucję stosunków w Bloku Wschodnim, o której dziś już wiemy, że dokona się tylko wtedy, gdy Sowiety znajdą się w sytuacji przymusowej.

Juliusz Mieroszewski napisał kiedyś, że między publicystą a politykiem jest mniej więcej taka różnica jak między recenzentem a aktorem. Sam uważał się zdecydowanie za recenzenta, a nie aktora. Ale są przecież w życiu narodu — szczególnie znajdującego się w niewoli — momenty, w których artyści, pisarze, wydawcy i publicyści przejmują w gruncie rzeczy rolę polityków, bo ci jej w ogóle spełniać nie mogą. I w tym sensie Juliusz Mieroszewski był nie tylko największym polskim publicystą po II-giej Wojnie Światowej, ale także wybitnym politykiem polskim, wytyczającym szlaki naszej myśli i wychowującym do myślenia politycznego naszą inteligencję i młodzież. Był więc nie tylko recenzentem ale i aktorem. Aktorem, który grał jedną

z pierwszych ról na scenie naszego życia umysłowego i w narodowej dydaktyce politycznej.

Kraj w milczeniu, wstrząsany akurat dramatycznym skurczem, o którym Juliusz Mieroszewski nie może już napisać, oddaje hołd i skłania czoło przed pierwszym publicystą Rzeczypospolitej.

Mieroszewski odszedł od nas z taką godnością z jaką żył i pisał dla Polski. Jego ostatni krótki, na jedną stroniczkę, list do Czytelników, drukowany parę miesięcy temu w *Kulturze* był jednym z najbardziej wstrząsających dokumentów jakie zdarzyło mi się czytać. Wiedział że śmierć się zbliża, choć miał jeszcze jakąś nikłą iskierkę nadziei. Wyznał to Czytelnikom, ale przede wszystkim chciał upewnić ich o swej wierze w wartości, którym służy *Kultura*, o słuszności swej wspólnej drogi z Przyjacielem i Redaktorem — Jerzym Giedroyciem. Najważniejszą rzeczą jaką ludzie z Kraju mogą powiedzieć w chwili śmierci Juliusza Mieroszewskiego, będzie stwierdzenie, że droga i wartości reprezentowane przez *Kulturę* są bliskie coraz szerszym gronom opinii polskiej.

Usłyszenie tego byłoby dla Zmarłego publicysty z pewnością wielką pociechą w chwilach kiedy zmagał się z nieuchronnym końcem.

Jedno jest pewne i to zapamiętajmy: Juliusz Mieroszewski wzniosł publicystykę polską na wyżyny, zapewniające jej trwałe znaczenie w życiu narodu.

Zygmunt OSSOWSKI



## Myśli o publicystyce Juliusza Mieroszewskiego

„Zaściankowość” w tradycjach języka polskiego oznaczała ciasnotę światopoglądową i zwężenie horyzontów. Wynikały one z odcięcia mieszkańców małych miast, żyjących własnym życiem, od szerokiego nurtu przemian na świecie. Obecnie dla mieszkańca jakiegoś iluzorycznego lub rzeczywistego „grajdołka” nie ma żadnych technicznych przeszkód dla rozległego spojrzenia na świat. Bywają natomiast przeszkody inne — gdy państwo pod władzą którego żyje pragnie, by światopogląd jego zamknąć w skorupie obowiązującej doktryny. Bywa jednak „zaściankowość”, którą ludzie narzucają sobie sami, bez żadnych zewnętrznych przymusów. Skłania ich do tego strach przed rewidowaniem zadawanych przekonań, a czasem po prostu zastarzałych nawyków myślowych. Wówczas fakt, gdzie mieszkają — w Londynie, Paryżu, Nowym Jorku lub Tokio nie ma większego znaczenia.

Te refleksje nasunęła mi śmierć Juliusza Mieroszewskiego, pisarza, cieszącego się znacznie większą popularnością w Polsce niż wśród czytelników emigracyjnych. Z Mieroszewskim nigdy się nie zetknąłem, choć znałem go z działalności pisarskiej od trzydziestu lat. Z wieloma jego poglądami nie zgadzałem się, ale każda jego myśl zmuszała do dyskusji, przede wszystkim z samym sobą. Mieroszewski był siewcą fermentu i niepokoju intelektualnego. Dlatego zapewne w pewnych kręgach emigracji politycznej był pisarzem nielubianym. Większość ludzi po czterdziestce, prowadzących unormowane życie, lubi spokój. Nieprzyjemne jest rewidowanie prawd, które wyznawało się od lat, a które niespokojny duch buntownika usiłuje podważyć.

„Jeśli mam polemizować z Mieroszewskim — to z którym, tym z 1948, 56-go, z lat sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych?” — Takie pytania słyszałem kilkakrotnie z ust wielu dziennikarzy

emigracyjnych. Mieroszewski otwarcie przyznawał się do zmiany poglądów, twierdząc że je zmienia, bo świat się zmienia. Myślę jednak, że zmieniał swe poglądy nie tylko dlatego. Można widzieć rozmaite sprawy inaczej niż się na nie patrzyło dawniej. Umysł nasz nie jest przecież tylko odbiornikiem rejestrującym wydarzenia, ale przetwórcą odbieranej rzeczywistości. Nie tylko przemiany na świecie determinują postawę naszego umysłu, ale i suma zdobytych doświadczeń, która pomnaża nasze zdolności refleksyjne.

Siewcy niepokoju intelektualnego nigdy nie są mile widziani wśród środowisk, których charakter nakazuje pielęgnowanie starych przekonań i nadawanie im niemal właściwości sakralnych. Takimi z natury rzeczy bywają emigracje polityczne, zwłaszcza w tych kręgach, które nie są odświeżane napływem fal nowych przybyszów. Tak przeważnie bywa, bo taki jest ich mechanizm przetrwania. Emigracje polityczne mają w sobie coś z kościołów z tym, że cele ich są w odróżnieniu od tamtych — ziemskie. Powstały, by walczyć o szczytne cele, ale z czasem, jak wszelkie tego typu organizacje czy wspólnoty, ulegają zinstytucjonalizowaniu. Następuje wówczas zwykłe i powtarzające się zjawisko: wytwarzania odstępców i walki z nimi. Są i tacy, którzy przeciwni są samej idei istnienia polityczno-emigracyjnego *establishment*’u i opuszczają je. Ci są mniej groźni od tych, którzy owe emigracyjne sanktuarium chcą zmienić przez wzbogacenie go nowymi ideami. Zachowując podstawowy cel — w tym wypadku Niepoległość Polski — szukają innych dróg, które dyktuje im nowa, zmieniona w ciągu lat, rzeczywistość i ich własne doświadczenie. Nie ma wątpliwości, że do tej kategorii „heretyków” zaliczał się Mieroszewski. Należąc do „niezłomnych” żądał, by owa „niezłomność” liczyła się z realiami nie tylko chwili obecnej, ale i przeszłości, w której trafnie odnajdywał źródła groźnych, dla odrodzonego w przyszłości narodu, konfliktów. Dlatego jeden z pierwszych domagał się, by sprawiedliwość dziejowa, której odmówiono Polsce, stała się udziałem naszych ukraińskich, białoruskich i litewskich pobratymców.

Sądzę też, że z tych właśnie przyczyn — spośród ugrupowań politycznych na Emigracji największą niechęcią darzyli go spadkobiercy Stronnictwa Narodowego.

Stronnictwo Narodowe na emigracji nie jest oczywiście tworem jednolitym. Istnieje szeroki wachlarz pisarzy od Jędrzeja Giertrycha, redaktora *Opoki*, wierzącego od 45-ciu lat niezłomnie i maniakalnie w spisek żydowsko-masoński, aż do rozsądnego i utalentowanego Wojciecha Wasiutyńskiego, patrzącego przynajmniej na przeszłość i przyszłość świata. To, że postać Mieroszewskiego wywoływała tyle niechęci wśród emigracyjnej Endecji,



nie wynikało na pewno z tego, że Mieroszewski do ostatnich chwil swego życia uważał się za socjalistę. Socjalizm, mieszczący się w granicach podziału 4 stronnictw z udziałem PPS-u, był oczywiście jak najbardziej uznaną tradycją emigracyjnego „Kościoła”. Na nieszczeście Mieroszewski nie był żadnym PPS-owcem. Mieroszewski-socjalista był dlatego postacią konfliktową, ponieważ nie mieścił się w żadnych oficjalnych klasyfikacjach partyjnych.

Stronnictwa Narodowe nigdy nie zadawała Polska w jej granicach etnicznych. Przeciwnie — Ukraińcy i Białorusini mieli pozostać na wieki lojalnymi obywatelami Rzeczypospolitej — oczywiście nie w ramach Federacji, ale jako mniejszości narodowe stopniowo polonizowane.

Co pozostało z tych marzeń i niespełnionych nadziei? Może tylko gorzki osad wspomnień? Trudno przecież snuć marzenia o Wielkiej Polsce, skoro nie ma tej zwykłej, niepodległej, w granicach przedwojennych. I tu dochodzimy do granic absurdu. Okazuje się bowiem, że można trwać przy postulatcie zachowania Lwowa i Wilna — miast niewątpliwie niegdyś polskich, ale leżących na terytorium etnicznie obcym, przy akceptowaniu okupacyjnego *status quo* PRL w jej aktualnych granicach. Zarzut ten brzmiałby niezmiernie demagogicznie, gdyby nie wspierała go poniższa cytata z londyńskiej *Mysli Polskiej* z artykułu „Polska rzeczywistość i Mity”, pióra Tadeusza Hoblera:

„Tych, którzy pamiętają Polskę przedwojenną, a chcieliby ją choćby w przybliżeniu porównać z Polską obecną, zastanowią liczne analogie i podobieństwa.

*Komuniści wraz ze swoimi satelitami rządzą tak, jak przed wojną rządziła sanacja z B.B.W.R. Niewygodnych przeciwników politycznych wsadzano przed wojną do obozu koncentracyjnego, dziś urządza się im prowokację, sądzi i wsadza do więzienia.*

*ZBOWiD wywalczył Polsce niepodległość tak jak legiony uczyniły to poprzednio. Wojsko poddane jest propagandzie komunistycznej, tak jak przed wojną wystawione było na propagandę legionową. Jest jednak mniej strojne i zapięte na ostatni guzik, nie nosi bocznej broni, wydaje się bardziej nowoczesne i demokratyzowane. Dla kontrastu, żołnierze rosyjscy, których można zobaczyć na ulicach większych miast na Zachodzie, są strojni złotem i czerwienią, robiąc wrażenie operetkowe.*

Przed wojną mieliśmy wolność polityczną, ale partie były przez rząd zwalczane i szykanowane. Dziś nie ma wolności politycznej, lecz istnieje „wolność religii”, co nie przeszkadza, że jest ona prześladowana przez państwo.

Gdy słucha się lub czyta o osiągnięciach gospodarczych kraju, ma się wrażenie, że mamy do czynienia z przedwojenną propagandą Polski mocarstwowej.

Jest rzeczą zadziwiającą, że najwięksi przeciwnicy obecnego systemu komunistycznego właśnie sprzed wojny po dziś dzień wzorują się na nim na emigracji. Argumentem głównym dla nich jest nie tyle to, że to jest rząd komunistyczny, ile że jest on zależny i posłuszny Rosji, a rządy przed-

wojenne były niezależne. Czy niezależne były formacje wojskowe bijące się po stronie Austrii i Prus? Kto może wiedzieć, od kogo i w jakim stopniu był zależny August Zaleski, że nie dopuścił Arciszewskiego do objęcia prezydentury?

Nie stawiam tych pytań, by usprawiedliwić obecny stan rzeczy, lecz po to, by zwrócić uwagę, że rozmaicie z tą niezależnością bywało i nie zawsze chcieliśmy to widzieć.

Są różne rodzaje zależności, jedne mniej, inne bardziej widoczne. Nie wszyscy widzą zależność polityki amerykańskiej od decyzji „ludzi bez oblicza” stojących za wielkimi międzynarodowymi przedsięwzięciami. Można by pytać, w jakim stopniu są niezależne opinie ludzi pracujących dla R.W.E., którzy zabierają głos w naszym życiu publicznym, lub ludzie jeżdżący do kraju, względnie handlujący z krajem.

*Praktycznie rzecz biorąc, przeciętny Polak w kraju ma tyle swobody, co miał przed wojną, ale tupet i świadomość swoich praw są u niego większe. I mimo wszystko umie o nie walczyć dostępnymi mu środkami.*

W mojej powyższej relacji skoncentrowałem się przede wszystkim na sprawach dotyczących życia codziennego i bytu materialnego narodu w kraju. Uczyniłem to dlatego, że bez utrwalenia i umocnienia tego bytu trudno byłoby walczyć narodowi o wartości ducha”. (Wszystkie podkr. moje — Z.B.).

Intencją autora artykułu jest „rozwodnienie” pojęcia niepodległości jako celu fikcyjnego i w praktyce nieosiągalnego. W ten sposób rozgrzesza on Polaków z obowiązku walki o niepodległość. Wypada przeprosić czytelników za nieco przydługą cytata, ale chodziło o ewentualne odparcie zarzutu, że wyrwana została z kontekstu. Stanowi ona końcowy paragraf obszernego komentarza, w którym autorzy zwykle formułują swe wnioski. Numer *Mysli Polskiej*, organu Stronnictwa Narodowego, nie jest najświeższy, bo z dn. 15 stycznia - 1 lutego 1975 roku, ale szczególnie ważny. Do numeru dodane jest bowiem jubileuszowe wydanie „Gazety Warszawskiej”, celebrującej swe 200-lecie. Na frontowej stronie artykuł Tadeusza Bieleckiego, będący tekstem przemówienia do słuchaczy w Polsce w rocznicę zgonu Romana Dmowskiego, obok cytowany komentarz. Rozumie się, że nie przytoczyłem go po to, by skłonić czytelników do rozrywania szat nad poglądami autora. Natomiast zachęcam ich do głębszego wyczytania się we wnioski p. Hoblera i krótką chwilę uwagi nad tym jaki odzew mogłyby one wzbudzić wśród polskich czytelników w kraju. A to jest chyba sprawą najistotniejszą, bo jeśli emigracja polityczna nie ma być tworem istniejącym dla samej siebie, najważniejsze jest echo wśród Polaków w Polsce. Otóż sądzę, że echa nie było chyba żadnego, ponieważ *Mysł Polska* jest znana w Kraju tylko kilkunastu specjalistom z „Wydziału Łączności z Zagranicą” i odnośnym funkcjonariuszom, którzy studiują z obowiązku urzędowego wszystkie wydawnictwa emigracyjne. Myślę, że nie jest to najgorsza sytuacja dla Stronnictwa Narodowego, wydającego ów organ. W przeciwnym bowiem razie nie jeden z polskich czytelników zdumiałby się nad ową



swobodą, „której ma tyle co miał przed wojną” i „tupetem”, który ujawnia wobec władz. Nie wiem czy ów „tupet” zamaniestował się w wydarzeniach na Wybrzeżu w roku 1970 — bo tego autor wyraźnie nie stwierdza, choć oczywiście niesprecyzowane bliżej określenie można rozumieć rozmaicie i na konto owego narodowego „tupetu” można by obecnie zapisać ostatnie bunt i strajki robotnicze w Radomiu, Płocku i Ursusie. Zdanie, że „ZBOWiD wywalczył Polsce niepodległość tak jak Legiony uczyniły to poprzednio” jest trochę krzywdzące i niedocenające zasług generała Moczara w zestawieniu z Józefem Piłsudskim. Bo przecież Piłsudski wyzwolił Polskę *tylko* od Rosjan i Niemców, a Moczar — od Żydów, którzy dla innego czołowego publicysty Stronnictwa Narodowego, Jędrzeja Giertycha, są niezmiennie wiszącą nad światem straszliwą plagą.

Nad tym wszystkim musiałby się poważnie zadumać krajowy czytelnik *Myśli Polskiej*, gdyby ją czytał.

Nie wiem ile egzemplarzy *Kultury* paryskiej docierało i dociera dalej do Polski. Przypuszczam, że niezbyt dużo. Ale wiem z własnego dawniejszego doświadczenia i z najświeższych informacji, że każdy egzemplarz czytany jest przez kilkadziesiąt czytelników. Truizm, że przez lata czytelnik polski w kraju otwierał *Kulturę*, szukając przede wszystkim artykułu Mieroszewskiego, może nie zasługiwałoby na przypomnienie, gdyby nie pamięć tego z kim przez lata walczyli zajadle przywódcy PRL. Czy ze Stronnictwem Narodowym, z artykułami Tadeusza Bieleckiego lub Jędrzeja Giertycha czy z publikacjami Mieroszewskiego? Nie przeciwko Bieleckiemu ani żadnemu z luminarzy Endecji kierował Gomułka w marcu 1967 roku w Pałacu Kultury swoje furiackie i pełne prostackiej pasji przemówienie, ale właśnie przeciw Mieroszewskiemu i przeciw jego propozycjom naprawy socjalizmu i wyzwoleniu go z objęć Wielkiego Brata. Gierek począł sobie mądrzej. Zamiast polemizować z *Kulturą* i Mieroszewskim, zapuścił nad nimi kurtynę milczenia. Niemniej *Kultura* dociera dalej do Polski. Jeśli na 33 miliony mieszkańców czyta ją, przenosząc z rąk do rąk, kilkanaście tysięcy, to nie jest to dużo w cyfrach bezwzględnych, ale niepodobna nawet tej cyfry lekceważyć, jeśli mierzyć ją skutkami fermentu umysłowego. Niezbyt popularny w sferach emigracyjnych Mieroszewski dzierżył swój „rząd dusz” nad najlepszą częścią inteligencji polskiej — tej inteligencji, którą redakcja *Kultury* często piętnuje za jej bierność i poddaństwo, ale która bez przerwy i od lat jest zarzewiem tlącego się buntu.

Lektura cytowanego przeze mnie artykułu z londyńskiej *Myśli Polskiej*, jak i wiele innych publikacji świadczy, że liczne ugrupowania emigracji politycznej tracą swój główny cel — niepod-

ległość Polski. Są pochłonięte tym co można by nazwać emigracyjnym *Realpolitik* — określeniem swego stosunku do PRL — czyli wypracowaniem takiego czy innego *modus vivendi* z jej władzami. „Realpolitik” może prowadzić jedno państwo w stosunku do innego państwa i to nie zawsze z pomyślnymi skutkami. A więc na zasadach partnerstwa. Emigracja polityczna nie jest i nigdy nie będzie dla PRL partnerem. Może być tylko obiektem jej zabiegów, których cel jest zawsze jeden i niezmienny: podporządkowanie jej władzom warszawskim, czyli polityczne unicestwienie.

Ze procesy te zachodzą, nie należy się zbytnio dziwić, ponieważ wraz z upływem lat, przy postępującym upadku Zachodu, wyzwolenie Polski wydaje się nie zbliżać, ale — oddalać. Tyle tylko, że historia świata pełna jest zakrętów, o czym dobrze wiedzą żyjący tu i ówdzie marksiści, a o czym zapominają ich nie-marksistowskie adoratory. W tych warunkach kwestia co jest mitem a co — niezbyt odległą rzeczywistością jest wręcz nierozstrzygalna.

O cóż więc walczyć i czy w ogóle należy walczyć? Na pytanie to daję odpowiedź w końcowym ustępie przedmowy do swej książki „Modele i praktyka” Juliusz Mieroszewski:

„Czy realne jest to, co jest słuszne — czy też realne jest tylko to, co jest możliwe? My wiemy z naszych doświadczeń, że słuszne nie stanie się nigdy realne, jeśli zwątpimy, że jest możliwe. Należy być pewnym tylko jednej rzeczy — to jest słuszności swojej sprawy...” „... Słuszność jest rzeczą znacznie trudniejszą niż realizm. Siłą można do czasu utrzymać krzywdę i jarzmo. Ale trwać i przetrwać można tylko w obronie słuszności. Dlatego, jako pragmatyk, sądzę że ważniejszą jest rzeczą by nasza polityka była słuszna niż realna — bo realistami w ostatecznym obrachunku są ci, którzy potrafią trwać i przetrwać”.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 1 sierpnia 1976



Pod koniec br. ukaże się  
w BIBLIOTECE „KULTURY”  
książka

**JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO**

pt.:

## **MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY**

Będzie to wybór ważniejszych i nadal aktualnych artykułów świetnego publicysty z okresu 1971-1976.

Z poprzednio wydanych książek J. Mieroszewskiego jest jeszcze do nabycia ostatnia pt.: **MODELE I PRAKTYKA** (1970), str. 224. Cena F. 20,00.

Poprzednie książki:

**EWOLUCJONIZM** (1964) i  
**POLITYCZNE NEWROZY** (1967)

są całkowicie wyczerpane.

Ponadto w języku niemieckim ukazała się w 1961 r. praca **KEHRT DEUTSCHLAND IN DEN OSTEN ZURÜCK?** — wydana przez Colloquium Verlag w Berlinie (wyczerpana).

## **Strefa chroniona**

Mój sąsiad znad Pacyfiku, Bogdan Czaykowski (dzieli nas tylko tysiąc mil) pisze studium o poezji polskiej XX-go wieku i ponieważ zajął się ostatnio warszawskimi poetami czasu drugiej wojny światowej, zwrócił się do mnie z prośbą o niektóre informacje. Zagadkowo brzmią dla niego wzmianki o mnie rozsypane w dzienniku Andrzeja Trzebińskiego z grupy „Sztuka i Naród” i chciałby wiedzieć do czego się odnoszą. Zapytuje mnie też o pierwodruki niektórych moich wierszy. Na co odpowiedziałem następującym listem.

Drogi panie Bogdanie,

Powodowany ciekawością badacza, chce pan zapaść się w strefę chronioną, którą lepiej byłoby zostawić w spokoju. Chroni ją wieść gminna, mit, podanie, i należy to do ich uprawnień. „Krew jest to płyn osobliwy”. Ofiara z „życia złożona przez poetów „Sztuki i Narodu”, jak też przez Krzysztofa Baczyńskiego przeniosła ich poza zasięg tzw. wiedzy o literaturze i jeżeli, jak pan powiada, poezja polska okresu wojny i okupacji nie ma dotychczas swojej monografii, to z dostatecznie ważnych powodów.

Bez wielkiej ochoty to i owo z siebie wyduszę. Moje stosunki z poetami „Sztuki i Narodu” nie były ani bliskie ani kordialne. Dziesięć lat różnicy to dużo, to dwa różne literackie pokolenia. Ale muszę też powiedzieć, że gdyby nie sytuacja okupacyjna, nic nie zachęcałoby mnie do zawierania znajomości z taką grupą. Artykuły w piśmie „Sztuka i Naród” uważałem za niedowarzone i skoro przed rokiem 1939 nie czułem żadnej sympatii do „Prosto



z mostu", nie byłoby powodu godzić się z radykalnym nacjonalizmem w nowym wydaniu. Niestety na luksus wyraźnych podziałów, jak w warunkach normalnych, kiedy stowarzyszamy się z kim chcemy, nie można było sobie pozwolić i właśnie to kisznie się razem postaw i światopoglądów sprzecznych, jak u ludzi zamkniętych w jednej celi, stanowi o aurze koszmaru w Warszawie podziemnej. Gdyż te postawy nie mogły ścierać się otwarcie i na każdym kroku czyhała dwuznaczność, stąd pochodząca, że szantażowano się wzajemnie racją nadrzędną. Wydaje mi się, że tylko odtwarzając skrajnie prawicowe nastroje końca lat trzydziestych można byłoby pokusić się o wnikięcie w sens dziwnych mieszanin i stopów po klęsce wrześniowej. Ci młodzi byli przecie studentami polonistyki na podziemnym uniwersytecie, bądź co bądź intelektualistami, czytali dużo i raptem powstawało niesamowite sprzężenie: St. Brzozowski, Przyboś, Witkacy — i Konfederacja Narodu, czyli razem mrok i mgła.

Kim byłem dla nich? Poetą, którego katastrofizm odczytywali jako proroczy, ale też jednym z „panów humanistów” — określenie w swojej wzgardliwości zasługujące na poważną refleksję. Klasyczne dla naszego stulecia zderzenie postaw, pomiędzy totalistą Naphtą i humanistą Settembrinim, przedstawił Tomasz Mann w *Czarodziejskiej górze*. Otóż jeżeli jako student ulegałem pokusom Naphty, od lewa, to wobec tych młodych poetów ocknąłem się w skórze Settembriniego czyli jako postać nieco komiczna (Mann, który traktował ją jako swego rzecznika, stosował autoironię). To, co mówiłem nie brzmiało przekonująco, tym bardziej, że wobec moich rozmówców czułem niemało wyrzutów sumienia. Nieźle odczytany, głównie dzięki znajomości francuskiego, z perspektywą raczej kosmopolityczną niż, jak oni, tylko polską, uważałem ich za nieświadomą swego rodowodu ariergardę „ruchów” już skazanych na zniszczenie, a zarazem nie mogłem ich ostrzec. Z niektórymi starszymi od siebie literatami dogadywali się pewnie lepiej. Z kolei niektórzy ich rówieśnicy, jak Tadeusz Borowski, do ich wypowiedzi programowych odnosili się nieprzychylnie. Borowski, prześmiewca, na długo przed tym nim trafił do Oświęcimia przeprowadził nihilistyczną redukcję i podniosłość patriotyczną swoich kolegów odrzucał jako „ideolo”. W czym nie można byłoby odmówić mu słuszności. Bo przecie niezbyt trzeźwe były te sny narodowo-mesjaniczo-imperialne w kraju komór gazowych i krematoriów, nie tylko niezbyt trzeźwe, ale obraźliwe dla jakiejś elementarnej solidarności ogólnoludzkiej. Borowski myślał inaczej, może dlatego, że dzieciństwo upłynęło mu poza zamkniętym w sobie etnicznym kręgiem, wśród różnych narodowości sowieckiej Ukrainy. Lojalnie stwierdzam, że Borowski pokpiwał też z takich jak ja, coś tam gdczących

o demokracji i że również w jego oczach widziałem siebie jako rodzaj Settembriniego, który akurat się wybrał ze swoją europejskością i „wartościami”. Bo chociaż Borowskiego od jego równieśników wiele dzieliło, mieli i rysy wspólne.

Co się rzekło może służyć za komentarz do niektórych utworów literackich. W „ideolo” swoich kolegów godził Borowski kiedy pisał:

*Zostanie po nas złom żelazny  
I głuchy, drwiący śmiech pokoleń.*

W moim wierszu — napisie nagrobnym z roku 1945 następująca strofa stosuje się przede wszystkim do poetów „Sztuki i Narodu”:

*To, co wzmacniało mnie, dla ciebie było śmiertelne.  
Zegnanie epoki brałeś za początek nowej.  
Natchnienie nienawiści za piękno liryczne.  
Siłę ślepą za dokonany kształt.*

Niektóre ustępy w dziennikach Trzebińskiego trochę się rozjaśnia, jeżeli będzie pan pamiętał o instytucji podziemnych odczytów z dyskusją. Na tych zebraniach odbywało się wspomniane przed chwilą kisenie się światopoglądowe, jako że wyraźnego zarysowania stanowisk brakło, nieraz dlatego, że jawność myśli nie była ani wskazana ani bezpieczna. Nie potrafiłbym odtwożyć wszystkich okoliczności jakie dały asumpt do poszczególnych wzmianek Trzebińskiego o mnie. Ale tam gdzie powiada: „wbrew wszystkim filipikom Miłosza na irracjonalizm kultury dzisiejszej”, gdzie zżyma się na mój esej o André Gide, napomyka o moim rzekomym utożsamianiu się z Sorelem, o gloryfikowaniu „demokracji i metafizyki”, chodzi o rozdziały mojej książki czytane, w miarę jak powstawały, na podziemnych wieczorach.

A było tak. Nieprzejrzystość historii nas udrećza, ale nigdy chyba potrzeba zrozumienia jej labiryntów nie była silniejsza niż wtedy, bo przecie byliśmy porażeni rozmiarami zbrodni, na niebywałą skalę. Narzucało się więc pytanie jakie działały przyczyny i od jak dawna Europa nosiła w swoim łonie ten przeklęty plód. Są ludzie, dla których tylko przemiana chaotycznej rzeczywistości w porządek słowny pozwala tę rzeczywistość znieść, służąc ich autoterapii, tak też było i ze mną. Ale czy i jakimi środkami rozporządzałem żeby wyznaczyć sobie równie niewykonalne zadanie?

Jak pan wie, esej jako gatunek literacki był w Polsce lat 1918-1939 potrawą dla nielicznych smakoszków. Wymienia się



w związku z tym przede wszystkim nazwisko Jerzego Stempowskiego. Dzisiaj nazwa się upowszechniła, choć nadal lepiej wiadomo czym to nie jest, niż czym jest — nie artykuł, nie studium, nie rozprawa, pogranicze. Moje pokolenie było zafascynowane tą formą i przyczyniło się do jej popularności. W roku 1937 ukazują się *Podróże do piekieł* Bolesława Micińskiego, wtedy mniej więcej zaczyna publikować Kazimierz Wyka, z temperamentu urodzony eseista, próbują też sił inni, w tym poeci, ja wśród nich. Sądzę dzisiaj, że główną wadą ówczesnego eseju było poetyckie zaplątanie i zagęszczenie, wiernie oddające ogólną polityczną nieprzejrzystość, tak że najtrudniej przychodziło chodzić po ziemi i przeprowadzać wywód klarowny. Nie miałem więc w Warszawie okupacyjnej sprawnego instrumentu i właściwie musiałem uczyć się pisać prozą. Pracując nad tą książką w latach 1941 i 1942 nie wiedziałem, że ktoś inny za sprawą podobnego impulsu realizuje podobny pomysł — był to Tadeusz Juliusz Kroński, który pisał wtedy swoją książkę-esej *Faszyzm a tradycja europejska*. Krońskiego poznałem przed wojną w domu Micińskich tzn. rodziny moich przyjaciół, Bolka i jego siostry Neli, kiedy miał tam, po powrocie z Pragi, odczyt o filozofii czeskiej. Następnie spotkaliśmy się dopiero gdzieś pod sam koniec roku 1942 i od wtedy datowała się nasza przyjaźń.

Eseistyczna książka Krońskiego (drukowana później w jego tomie *Rozważania wokół Hegla*, 1960) przeprowadza obronę Europy i przedstawia faszyzm jako złośliwy nowotwór, obcy samej istocie jej cywilizacji. Moim zamiarem było zupełnie co innego: wychodziłem z założenia, że kultura europejska ostatnich paru stuleci została nam podana w postaci różnych nowoczesnych legend i że trzeba odczytać ją na nowo, a wtedy odnajdzie się nici prowadzące do hitleryzmu. Dostatecznie przytomny, żeby nie wpływać na zbyt szerokie wody uogólnień, ograniczałem się do analizy dzieł literackich znamienych dla różnych okresów. Ujmując mój plan w wielkim skrócie, poszczególne rozdziały miały traktować o pisarzach i ich bohaterach, pokazując indywidualizm najpierw krzepki, następnie wyrodnijący, i ruch od racjonalizmu do irracjonalizmu. Upraszczam. Rzecz w tym, że rozumowanie splatało się z samą tkaniną stylu i ona to miała narzucać pewną wizję, pośrednio, jakby z ukosa. Zamiar ambitny, ale, powie pan, także zdumiewający swoim bezpożytkiem, zważywszy na miejsce i czas. Otóż to niezupełnie tak. W beznadziejnych opresjach jedni ludzie przestają się golić i myć, inni, przeciwnie, dokładają wszelkich starań żeby zachować jaką taką schludność. Tak samo jest z higieną umysłową i prace takie jak moja miały, twierdzą, sens, nawet gdyby narażały na ataki, jak w artykule Trzebińskiego pt. „Udajmy, że istniejemy gdzie indziej” (choć

nie wiem czy we mnie szczególnie był wymierzony). Ale jest jeszcze jeden aspekt, najtrudniejszy do przedstawienia, jakkolwiek całkiem istotny. Niektórzy z nas zrozumieli, że albo cała przedwojenna mentalność (wolałbym: *sensibility*) zostanie w nas samych pokonana naszym wewnętrznym wysiłkiem, albo nas obozowi, czyli schwyli nas martwa ręka. To odrywanie się od przedwojennych przyzwyczajzeń, również stylowych, było bardzo bolesne i wydaje mi się, że gdybym nie spędził tych lat w Polsce, nie zdobyłbym się na zasadniczą wewnętrzną przemianę. Bynajmniej więc nie hitleryzm był tematem mojej książki ale cały sposób myślenia. Jako całość książkę uznałem następnie za przegraną, tj. jedynie za zapis pewnej mojej fazy rozwojowej i nie starałem się jej wydać. Maszynopis ocalał. Rozdział o St. Ign. Witkiewiczu znajduje pan w księdze pamiątkowej *St. Ign. Witkiewicz, człowiek i twórca*, Warszawa, 1957, natomiast dopiero w moich *Rodzimnych obowiązkach*, 1972 umieściłem jako *appendix* rozdziały „Legenda wyspy” (o Danielu Defoe), „Legenda miasta-potwora” (o Balzaku) i „Religijność Zdziechowskiego”. Mam nadzieję, że uzna je pan za nadal godne czytania.

Nic dziwnego że Trzebińskiego i jego kolegów moje odczyty irytowały. Nie bardzo je rozumieli, w czym zawiniłem i ja, posługując się poetyckim zagęszczeniem odziedziczonym po Dwudziestolecu i niekiedy językiem epopowym, zawinił też ich brak umysłowego przygotowania. Dostatecznie jednak rozumieli, żeby wyczuwać polemiczną intencję nieprzyjazną ich nastawieniu. Skąd gniew na rozdział o André Gide (dotychczas niedrukowany)? Przypominam, że *act gratuit*, czyn dla samego czynu, bez uzasadnień, jak w *Lochach Watykanu* tego autora, był często łączony z hasłami włoskiego faszyzmu i mój atak mógł Trzebińskiego zabołec. A o jakimż to Sorelu wspomina? Nie o Jerzym Sorelu. Ma zapewne na myśli mój rozdział (też niedrukowany) pt. „Legenda woli”, o powieści Stendhala *Czerwone i czarne*, której bohater nosi nazwisko Julien Sorel. Wcale go nie chwaliłem, przeciwnie, przedstawiałem jako pierwowzór Nadczłowieka. „Miłośz w jakimś liście czy dedykacji uważa Sorela za swojego sobowtóra”. Czy tak? Zupełnie możliwe, ale w sensie głęboko auto-ironicznym.

Różne słowa-klucze w dzienniku Trzebińskiego powinny pozwolić na odtworzenie konfliktu pomiędzy grupą „Sztuka i Naród” i mną czy w ogóle „panami humanistami”. Tak jest, byłem za demokracją (wstrętną dla nich) metafizyką (z Witkacego brali jego groteskę ale *nie* filozofię), a co do linii racjonalistycznej to miała ona wtedy wyraźne polityczne znaczenie.

Tyle o wzmiankach o mnie „zasadniczych”. Do czego odnosi się zdanie: „ta historia Czesława M, dziewczyny ulicznej i para-



sola", czy to o mnie mowa, nie mam pojęcia. Parasole były modne w Warszawie okupacyjnej i służyły za rekwizyt w pewnych komedianckich pijackich wyczynach, zbyt mnie dzisiaj żenujących żebym chciał się nad tym rozwodzić.

Na Krzysztofa Baczyńskiego patrzyłem inaczej niż na poetów „Sztuki i Narodu”. Ich pisanie, nawet najzdolniejszego z nich, Gajcego, nie bardzo mi się podobało. Tu i ówdzie piękne błyski, ale na ogół magma, wielosłowie. Warto zauważyć, że w mojej antologii *Pieśń niepodległa*, 1942, najbardziej wybrednej co do jakości spośród wszystkich takich podziemnych publikacji, jest Baczyński ale nie ma innych jego rówieśników. Jednakże w mojej ocenie jego wierszy działały także motywy poza-poetyckie, inne co prawda najzupełniej niż te, jakie działają dzisiaj w Polsce. Byłem nim oczarowany jako „zjawiskiem”. Niech pan sobie wyobrazi nagłe narodziny talentu wśród okropności tamtej Warszawy i to takie narodziny, że potwierdzają nasze, przez literaturę ukształtowane, pojęcia o tym jak to powinno się odbywać. Czyli niech pan sobie wyobrazi Ariela, młodocianego eterycznego Słowackiego, czy raczej, ze względu na chorobę astmy, Prousta. Baczyński, kiedy go poznałem i odwiedzałem w domu, u jego matki, był *zawsze* chory na astmę, dnie spędzał w łóżku i w łóżku pisał. Późniejsza jego metamorfoza w żołnierza jest tym bardziej zadziwiająca, jako triumf woli. Poezję jego od razu odczułem jako autentyczną ale też jako niesłychanie kruchą, jakby wyciągana była z płynnego szkła. Stale też udzielałem jej kredytu, mierząc ją najwyraźniej w niej zawartą obietnicą.

Antologia Jana Szczawieja *Poezja Polski walczącej*, Warszawa, 1974, dwa tomy, w której wytropił pan niedokładności, rzeczywiście nie może być uznana za całkowicie autorytatywną. Stanowi ona rozszerzenie *Antologii poezji podziemnej* tegoż autora, 1957 (gdzie niektóre postacie są nieobecne, jako orwellofskie *unpersons*) i jest znacznie bogatsza, dowodzi też poważnego wkładu pracy w archiwach. Kryteria doboru nie są jednak wyraźne i np. brak wierszy zanadto odbiegających od jednego wzoru walki patriotycznej (a przecie pisano wiersze i inne — przypomnijmy choćby antystalinowski okres Broniewskiego). Ograniczę się do paru sprostowań w zakresie spraw jakie znam z pierwszej ręki.

Wstęp nie wspomina o pierwszej bodaj próbie pisma literackiego w Warszawie okupowanej, w jesieni 1940 roku. Było ono przepisywane na maszynie w iluś tam egzemplarzach i czytane głośno w pewnej ilości „grup”. Inicjatorem i redaktorem był Jerzy Andrzejewski, wypełnialiśmy numery we dwójkę, wkładając różne autorskie maski. Może ta nasza współpraca, jak też wspólne trudzenie się nad sporządzeniem powielanego tomu

moich wierszy, skłoniły redaktora *Poezji Polski walczącej* do przypisania także antologii *Pieśń niepodległa* autorstwu Czesława Miłozza i Jerzego Andrzejewskiego łącznie? Zresztą, niezależnie od intencji Szczawieja, może to i ładnie wypadło, tym bardziej że spotykaliśmy się z Andrzejewskim często i niektóre teksty on zdobył. Niemniej, jeżeli nie zawodzi mnie pamięć, redaktor był jeden. Wybór wierszy i układ był ściśle mój własny, a przecie to jest w antologiach decydujące, mego pióra był też komentarz prozą. Natomiast osoba wydawcy, Zenona Skierskiego, założyciela podziemnej Oficyny Warszawskiej, który doglądał druku, triumfalnie powiewał długimi arkuszami korekt na ulicy pełnej Niemców etc. powinna być przypomniana, jako że on był sprawcą książki w jej kształcie fizycznym. Skierski też wydał anty-pétainowską książkę Maritain'a w moim przekładzie (*Drogami kłęski*, 1942).

Exemplarze *Pieśni niepodległej* są dzisiaj rzadkością, jeden tylko widziałem po wojnie ale dawno, więc dopiero przypisy w zbiorze Szczawieja przypomniły mi zawartość. Oto jak podają one spis rzeczy. Leopold Staff: *Dokoła noc, Nad światem, Wiosna kłęski*; Władysław Broniewski: *Bagnet na broń, Krzyk ostateczny, Żołnierz polski, Droga*; Julian Tuwim: *Kwiaty polskie, Modlitwa*; Antoni Słonimski: *Rozmowa, Syreny, Pozdrowienie dla autora „Drogi”, Niebo*; Stanisław Baliński: *Poranek warszawski*; Witold Hulewicz: *Warszawa; Światopełk Karpiński: W odlocie; Szedłem Tatarską z rozmachem... Gwiazdy*; Jerzy Zagórski: *Ballada o Serbii, Pieśń niewidomych Niemców*; Roman Kołoniecki: *Pieśń wiary*; Anna Świrszczyńska: *Rok 1941*; Józef Stachowski: *Opowiadanie*; Krzysztof Kamil Baczyński: *Bohater, Psalm o łasce, O miasto, miasto-Jeruzalem żalu...*; Czesław Miłozz: *Równina, Pieśń niedobrych synów, Postawy*. Autorzy dotąd nieznani: *Szedłem dzisiaj przez ogród, Bez tytułu, Modlitwa do Matki Boskiej Poczajowskiej, Kołędą*.

Autorzy nieznani? Coś dla historyczno-literackiego detektywa. Jakież to wiersz *Postawy*, mnie przypisany? Nie ma go w zbiorze Szczawieja, nie przypominam sobie takiego tytułu. Dlaczego został pominięty, podobnie jak anonimowa *Modlitwa do Matki Boskiej Poczajowskiej?* (Ze Poczajów na wschodzie?).

Rozszyfrowanie autorstwa niektórych pozycji nie przedstawia trudności i gdyby Szczawiej zajął do moich *Wierszy* w wydaniu Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1967, znalazłby tam *Szedłem dzisiaj przez ogród i Kołędę*. Wiersz *Bez tytułu* jest ładny, musiałem znać autora ale męczę się i nie mogę sobie przypomnieć. Spis nazwisk wskazuje jak szybko docierała do kraju poezja emigracyjna: Broniewski, Tuwim, Słonimski, Baliński. Fragmenty *Kwiatów polskich* Tuwima dostałem od rodziny



Melchiora Wańkowicza, która otrzymała ten tekst w liście z Portugalii — a ja, przynajmniej, byłem zdumiony i nie mogłem zrazu odgadnąć autora. Inne wiersze emigracyjne jakoś się znajdowało, ręcznie przepisywane. Z warszawskimi wierszami nie było kłopotów, brało się je wprost z rąk autorów. Wtedy to odwiedzałem Staffa: jakże miły, dobry, przyjazny. A inni to przecie kole-dzy. Z nich wysoko ceniłem (i cenię dzisiaj) Annę Świrszczyńską, jej wiersz *Rok 1941* uważałem za jeden z najlepszych w antologii.

Ale dość tego detektywistycznego przyczynkarstwa. Zasadniczy i niewdzięczny problem, od którego nie ucieknę badacz tego okresu, to, wyrażmy się trochę staroświecko, konflikt pomiędzy życiem i sztuką. Wielotomowy *Zbiór poetów polskich XIX wieku* w redakcji Pawła Hertza, liczący tysiące stronic, poucza nas o tym jak powszechne było w ubiegłym stuleciu pisanie patriotycznych wierszy ale zarazem jak rzadko szlachetne uczucia wystarczają do stworzenia czegoś, co ma trwać artystyczną wartością. W latach drugiej wojny światowej napisano po polsku zawrotną ilość utworów poetyckich — sam zbiór Szczawieja, obejmujący drobną ich część, poświęca im 1454 strony. Niewiele jednak spośród tej liczby wznosi się ponad doraźną użyteczność — zarówno dla ich autorów jak odbiorców, wtedy kiedy jedni i drudzy łączyli się dzięki słowu w wielkim porywie gniewu i nadziei. Niestety, gdyby dało się, stosując surowe kryteria, wybrać małą ilość utworów artystycznie nienagannych i do nich ograniczyć badania, rzecz byłaby względnie prosta. Ale ciągła *interferencja* treści po prostu ludzkich jest nieunikniona i sądy nasze są zabarwione moralnie — interferencja własnie jest odczuwana jako dodatnia, chłód potrzebny do wyłączenia tego, co nie ma wysokich artystycznych zalet otrzymuje notę ujemną.

Tam, gdzie działają potężne namiętności zbiorowe, jak w Polsce pod okupacją, zdaje się obowiązywać następująca zasada: im mniej utworów literacki odbiega od wzorów znanych, wyuczonych, „banalnych”, tym jest skuteczniejszy. Socjologiczną dokumentację tej zasady dał jeden z polskich autorów podziemnych (figuruje w zbiorze Szczawieja), Michał Borwicz, w swojej rozprawie doktorskiej na Sorbonie pt. *Les Ecrits des condamnés à mort*, 1954, które to dzieło nie powinno być przez żadnego badacza literatury okupacyjnej pominięte. Sam odkryłem tę zasadę empirycznie i wystarczająco już ją rozumiałem w 1942 roku, co przyczyniło mi żmartwień. Przecie materiału do *Pieśni niepodległej* miałem dużo, o wiele więcej niż zakwalifikowałem do druku, czyli nie mogłem oprzeć się mojemu fanatyzmowi jakości. Dlatego też ta antologia stała na wyższym poziomie niż poprzedzająca ją anto-

logia Kwiatka (tj. Jana Janiczka i Stanisława Miłaszewskiego) i kilka antologii wydanych później, natomiast była, właśnie dlatego, najmniej *użyteczna* — chyba że fakt ukazania się książki wybrednej, a przy tym o pięknej oprawie graficznej — gdzie i kiedy, w Warszawie 1942 roku, mógł działać pokrzepiająco.

Zbiorowość oczekuje pieśni — i poeta jej dostarcza, reagując jak medium na seansie spirytystycznym, stosując świadomie albo nieświadomie wspomnianą zasadę znanych i banalnych wzorów. Niektórzy poeci zawsze tak piszą i np. Broniewski był bodaj najlepiej do takich zadań przygotowany. Zdarzało się też, że siła uczucia wydzierała z ust poety o mniej konwencjonalnym stylu krzyk trafiający do odbiorców swoją autentycznością. Na ogół jednak przewaga należała do środków konwencjonalnych. Przyznam się, że myślę niezbyt życzliwie o swoich wierszach z lat 1939-1942, a niektórych wręcz się wstydzę i nie przedrukowuję, ponieważ nie każdemu dane jest występować jako medium, a kto nie ma po temu kwalifikacji biorąc na siebie taką rolę popada w fałsz czyli nie jest wtedy dostatecznie „sobą”. A popełniłem raz przykrą gafę drukując po wojnie w tomie *Ocalenie* wiersz zaczynający się od słów: „Upadli w ciemność pogardy”, który z założenia był napisany jako *głos cudzy*. Bo nie jest to wcale wiersz tylko fragment chóru z krótkiej sztuki wierszem popełnionej przeze mnie na zamówienie podziemnej organizacji aktorów (Wierciński, Schiller). Ta sztuka antycypowała przegraną Niemców, toteż chór recytuje: „I skończona jest próba przemocy”, co włożone w usta samego poety brzmi śmiesznie: ładnie skończona! Niestety i ten wiersz i inne tego pokroju umieszczono w dwutomowej antologii Grochowiaka i Maciejewskiego, gdzie niemal na narodowego barda jestem upozowany.

Uważam więc pewien typ swoich wierszy za przynależny do przedwojennego stylu, który należało w sobie pokonać. Przełożeniem były dla mnie *Głosy biednych ludzi* napisane w roku 1943. Nie ma ich w zbiorze Szczawieja, czyżby dlatego, że odbiegają od wzoru poezji patriotycznej? Gdyż, jeżeli za kryterium w tym zbiorze obrano rozpowszechnienie, przez powielanie albo wieczory autorskie, krążyły te wiersze w maszynowych kopiach. Pewien krakowski kolejarz w pociągu opróżnionym przez niemiecką łapankę znalazł walizę już bez właściciela, a w niej strój i kompletne przybory wędrownego magika, tudzież afisze tego magika występującego pod imieniem Kapitan Nemo. Walizka zawierała też rulon wierszy nieznanego autora, *Głosy biednych ludzi*. Kim był Kapitan Nemo i co się z nim stało? Czy zginął w Oświęcimiu? Kolejarz zabrał walizę do domu, do jednego z podkrakowskich miasteczek i umieścił na strychu — gdzie jej zawartość odkrył jego młodociany syn, interesujący się składa-



niem motocykla na powojnie, nie literaturą. Skrypt wywarł na nim takie wrażenie, że sam zaczął składać wiersze i został poeta — wszystko to opisał wiele lat później w liście do mnie.

Pozostaje mi jeszcze, stosownie do pana prośby, powiedzieć parę słów o Kazimierzu Wyce i jego „Liście do Jana Bugaja” czyli Baczyńskiego. Z Wyką ogromnie się przyjaźniłem, od chwili wizyty u niego w Krzeszowicach latem 1941 roku, kiedy to przegadaliśmy we trójkę (on, Andrzejewski, ja) kilka dni (pięknych) i ustanowiliśmy rodzaj triumwiratu. Zaznaliśmy rozkoszy rozumienia się w pół słowa, co przemawiałoby na korzyść tezy o wspólnocie pokoleniowej. Właściwie wyłonił się z tego niemal program działania zmierzający do odbudowy pod okupacją życia literackiego, z wydawaniem książek, krytyką literacką itd. Taki cel nie był wtedy czymś oczywistym, uznanym od razu przez „państwo podziemne”. Tak może wydawać się dzisiaj *ex post*. W istocie były to inicjatywy „od dołu”, natrafiające nieraz na duże trudności czyli na brak środków finansowych. Zarazem w nich to, myślę, wyrażała się cenna tradycja przechodząca i wzmocniona w Dwudziestoleciu, nakazująca troszczyć się o wspólne dobro ludziom zawodów „twórczych”. Przecie w okupacyjnej Warszawie odbywały się podziemne przedstawienia teatralne, ludzie teatru opracowywali szczegółowe plany reformy życia teatralnego, zespoły architektów szukały nowych rozwiązań w urbanistyce — i były to działania, twierdzą, socjalistyczne w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu. Co do literatury, to należało dbać o zachowanie ciągłości. Młodzi wtedy startujący nie mogli liczyć na poważną krytykę w politycznej prasie podziemnej, a wiadomo, że krytyka jest potrzebna. Podziemne wieczory autorskie i dyskusyjne, krytyka w formie prywatnych listów miały częściowo temu brakowi zaradzić, to także było głównym uzasadnieniem podziemnych pism literackich. Ogłoszony w roku 1943 w krakowskim konspiracyjnym „Miesięczniku Literackim” „List do Jana Bugaja” pozostaje dzisiaj klasycznym przykładem krytyki pojętej jako obowiązek zachowania ciągłości. Wyka po wojnie włączył go dopiero do książki *Rzecz wyobraźni*, 1959, jako że przez kilkanaście lat wolno było o poetach wojennej Warszawy odzywać się tylko półgębkiem.

Esej Wyki bardzo podkreśla potrzebę nowego początku, uwolnienia się od mentalności i stylu Dwudziestolecia. Jego zdaniem Baczyński już reprezentuje co innego, swobodnie dobierając sobie patronów w przeszłości, Słowackiego i Norwida, inaczej niż to robili jego poprzednicy. Z nowoczesnych Wyka go łączy z Józefem Czechowiczem i ze mną. Zarazem jest jasne, że Wyka nie lubi poezji szlachetnie-banalnej i że najbardziej ceni u Baczyńskiego wiersze w których aktualność uległa daleko idącemu przetworzeniu, choć nie na modłę przedwojennej awangardowości.

U jego rówieśników (stosowałoby się to do „Sztuki i Narodu”) zauważa „złe i zapóźnione echa tamtych lat. Jeszcze 'czysta' awangarda w narodowym sosie...”

Chciałby pan, żeby wypowiedział swój sąd teraz, po latach, o tym esej i zawartej w nim ocenie poezji Baczyńskiego. Wyka był krytykiem czujnym i miał ucho prawie niezawodne, tam więc gdzie się z nim różnię, w grę muszą wchodzić jakieś podstawowe założenia, których niestety nie będę mógł już z nim przedyskutować. Pewnie jak ktoś za swego patrona obiera Mickiewicza, mniej czy więcej będzie mu obcy sposób w jaki używał języka Słowacki (poza wczesną *Godziną myśli*). Że Baczyński reprezentuje w poezji co innego niż style Dwudziestolecia, można się zgodzić, powstaje jednak pytanie czy wskrzeszenie linii Słowackiego w ogóle może być płodne i czy w samym języku nie czai się wtedy pokusa „powrotu do łona” tj. do romantyzmu w jego ofiarniczej, męczeńskiej odmianie.

O poezji Baczyńskiego zupełnie nie wiem co myśleć, dlatego że wspomniana interferencja treści ludzkich jest niezwykle silna. Biorąc poezję naszego stulecia jako całość, i to nie tylko poezję polską, nie znajdzie się chyba przykładu poety, który by akt wyboru („Kochanka moja zwie się wola” czytaliśmy u Wyspiańskiego) obrał za główny temat. Wyka wywodzi go z „katastrofizmu” lat trzydziestych i te zależności istnieją, ale tylko warsztatowe, w istocie Baczyński ukazuje się dzisiaj jako mało spokrewniony zarówno z tym co go poprzedzało jak z nurtami w polskiej poezji po wojnie, zamieszkując enklawę w której jego odniesieniami są poeci „Sztuki i Narodu” z jednej strony, młodociany Borowski-poeta z drugiej, przy tym z nich wszystkich tylko Baczyński jest narodowo-romantyczny w duchu pierwszej połowy XIX-go wieku czyli zarówno sprzeciwia się nacjonalizmowi z drugiej połowy stulecia rodem, jak nihilizującej ironii. Zastosować tutaj polityczne analogie można tylko w przybliżeniu, ale wzór jest kuszący: poezja „Sztuki i Narodu” odpowiadałaby Narodowym Siłom Zbrojnym, Baczyński samemu centrum czyli najszlachetniejszym inspiracjom młodzieży AK, Borowski lewicy (w szerokim znaczeniu), która przecie wkroczyła w wojnę rozbita. Wszystkie te orientacje przegrały, a najgorszy może los przypadł tej ostatniej w osobie Borowskiego. Jak mi opowiadał Aleksander Wat, Borowski po wojnie, w r. 1950, 1951, a więc tuż przed swoją samobójczą śmiercią, przychodził do niego i oskarżał siebie, z nienawiścią odzywając się o tym co słał publicznie.

Główny mój spór z Wyką (nie pierwszy, bo przyjaźń nam w tym nie przeszkadzała) dotyczyłby jego interpretacji przedwojennego „katastrofizmu”. Twierdzi, że Baczyński z niego się wyzwolił i że „już jest po stronie nadziei”. Otóż ten katastrofizm,



jako nurt raczej niż jako szkoła, był czymś więcej niż zaszyfrowaną przepowiednią klęsk, jakie stały się rzeczywistością w latach 1939-1945. Zarówno tło jego było szersze jak dalej sięgały jego obawy, a i jego czarnowidztwo było tylko względne, skoro starając się dać eschatologiczny obraz XX-go wieku oczekiwał jakiegoś spełnienia ludzkich pragnień poza kresem nocy. Nie można wyczerpać jego zakresu zanadto myśl jego lokalizując i zwężając, skoro eschatologia XX-go wieku nie kończy się z drugą wojną światową.

Jak pan widzi, zaczynając niezbyt chętnie swoją odpowiedź, dotknąłem mnóstwa zagadnień ciernistych, i to tak ciernistych, że usprawiedliwiają moją wyrażoną na wstępie wątpliwość. Sceptycyzm mój był tak duży, że na przykład tylko pobieżnie przejrzałem zbiór Szczawieja kiedy się ukazał i pan dopiero zwrócił mi uwagę na szczegóły. Nie będę z góry przesądzać, po prostu dopuszczam możliwość, że jest to strefa zastrzeżona dla wieści gminnej i nieprzychylna dla badaczy.

Czesław MIŁOSZ

## Dziennik pisany nocą

Praga, 3 czerwca 1976

Ukłucie strachu, ostre i gwałtowne, odczułem natychmiast po wylądowaniu samolotu w Pradze. Mężczyzna w średnim wieku i o dość ponurawej fizjonomii, który od Rzymu siedział obok mnie zagłębiany w lekturze *Unità* i tylko od czasu do czasu zerkał na mój otwarty na kolanach egzemplarz angielski opowiadań Kafki, dotknąwszy ziemi lotniska podniósł do góry rękę ściskającą rulon gazety i pomachał nią wachlarzowato trzy razy. Z gromadki ludzi na tarasie dworca lotniczego wyprysnęła ręka również uzbrojona w gazetę i również zatoczyła trzy półkrygi. Machinalnie wyciągnąłem z kieszeni mój argentyński paszport (fałszywy, kupiony w Genui) i zasłoniłem nim twarz jak obronną tarczą. Co było odruchem, pogarszającym jeszcze sytuację: mój towarzysz podróży odezwał się do mnie po hiszpańsku, nie znając języka odburknąłem nieartykułowanym i rozdrażnionym bełkotem, do głowy podpłynęła mi fala gorącej krwi. Nie miałem wątpliwości, że zwariowana impreza zawałiła się na pierwszych krokach; byłem śledzony, i prawdopodobnie rozszyfrowany, od chwili przybicia wizy w konsulacie czechosłowackim w Rzymie. Strach wyłącza działanie rozumu, jakiegokolwiek wstępne podejrzenie — choćby błahie i kruche — rozpętuje niepowstrzymaną reakcję łańcuskową.

Wiedziałem o tym z doświadczenia, lecz doświadczenie niewiele pomaga i wydaje się niepowtarzalnym przypadkiem, gdy do serca wsącza się i rozlewa się w nim doznanie irracjonalne. Mimo to, włokąc się na waciastych nogach w grupie pasażerów, z uporem i jakby dla dodania sobie kurażu wspominałem moją wyprawę z roku 1955 do Wiednia. Paszporty, paszporty w wyz-



wolonej (także z moim skromnym udziałem) Europie, angielski *Travel Document* nie był wtedy najlepszym glejtem dla przybysza do podzielonej wciąż na strefy okupacyjne stolicy Austrii. Czekać w biurze włoskich linii lotniczych na znalezienie pokoju hotelowego, zobaczyłem nagle przez szybę wystawową dwóch oficerów sowieckich na przystanku tramwajowym. Cofnąłem się szybko do kontuaru i zagadnąłem urzędniczkę austriacką, czy pamięta że hotel ma być w strefie niesowieckiej. Odpowiedziała że pamięta, ale jednocześnie zdradziła coś w rodzaju zniecierpliwienia: ileż razy można nagabywać w sprawie tych nieszczęsnych stref! Wyrwało mi się, tytułem usprawiedliwienia, że jestem *staatenlos*. Przytaknęła i wróciła do swoich zajęć. W tym momencie przemknęła mi przez głowę myśl, że jeżeli zarabia na boczku u Rosjan, *dopiero teraz* znajdzie mi hotel w strefie sowieckiej i zawiadomi o tym kogo należy. Za telefon i do znajomego. „W których *Bezirkach* siedzą Rosjanie?”. „W drugim i czwartym”. W pół godziny potem kazałem się wieźć do hotelu *Apollo* w szóstym *Bezirku*. Przed zatrzaśnięciem drzwi taksówki postanowiłem się jeszcze upewnić u szofera, że *Apollo* znajduje się istotnie w szóstym *Bezirku*. Nie zdążył mi nawet odpowiedzieć, gdy w głowie pękła mi ze spóźnionym zapłonem myśl, że znowu popełniłem błąd. Jechałem, dotykając ledwie brzegu siedzenia i połykając na rogach numery *Bezirków* pod nazwami ulic. W pewnej chwili nasza landara zwolniła, i mój szofer krzyknął w biegu do jakiegoś obdartusa opartego o latarnię: *Ich gehe zum Apollo!* Chwyliłem jedną ręką za walizkę, a drugą za klamkę drzwiczek. Ostatniej nocy przed moim wyjazdem z Wiednia zgasło światło w całym skrzydle hotelu. Zamknąłem pokój na klucz, otworzyłem okno wychodzące na niższy dach sąsiedniej kamienicy i przeleżałem na łóżku, nie zmrzywszy oka, do świtu.

Więc ta pociecha (słabiutka) strachu o przesadnie wielkich ślepiach, autonadmuchanego w Wiedniu *Third Man* i *Four in the Jeep*, towarzyszyła mi w drodze do praskiej odprawy celnej i paszportowej.

Oficer czeski był uprzejmy, na szczęście mówił tylko po angielsku i kartkował mój paszport nieuważnie.

— Zawód?

— Badacz literatury.

— Cel wizyty?

— Kafka.

— Cmentarz żydowski jest czasowo zamknięty dla turystów ze względów porządkowych.

— Nie przyjechałem na grób Kafki. Przyjechałem na uroczystość w ambasadzie amerykańskiej w rocznicę jego śmierci.

Bez słowa podszedł do telefonu i nakręcił krótki numer. Rozmowa była równie krótka.

— Zgadza się. Ale wstęp wyłącznie za zaproszeniami.

Z ulgą położyłem przed nim kartonik, otrzymany od przyjaciela z ambasady amerykańskiej w Rzymie. Ambasada amerykańska w Pradze zawiadamiła w nim stylizowanym drukiem, że 3 czerwca o godzinie 17.30 odbędzie się uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci Kafki, *the great Czech-German-Jewish writer*, na frontonie pałacu ambasadzkiego; po odsłonięciu prelekcję o twórczości Kafki wygłosi w sali recepcyjnej Karel Popradek, b. profesor Uniwersytetu Praskiego; częstunek w tejże sali recepcyjnej zamknie uroczystość. W przeznaczonym do tego pustym miejscu wpisane było moje fałszywe nazwisko zaproszonego: Juan Gaspar Almendo. Obok nazwiska prelegenta widniała gwiazdka, a odsyłacz *petitem* u spodu kartoniku zawierał wyjaśnienie: „B. profesor Karel Popradek ogłosił część swych prac o Kafce pod pseudonimem Gregor Samsik”.

Wytlaczając stempel w paszporcie, oficer spojrział naraz na mnie z wyrazem nieukrywanej niechęci.

— Jak długo potrwa pana pobyt w Pradze?

Pokazałem mu bilet z zarezerwowanym na 4 czerwca, wieczornym przelotem do Mediolanu. Chytrym posunięciem (tak przynajmniej sądziłem) była prośba o wskazanie hotelu na jedną noc. Mruknął: *Zlata Praba*, napisał mi na świstku papieru adres, nie wyglądając jednak na udobruchanego. Śmieszna, niewolnicza przebiegłość: jak gdybym wsadzając z własnej woli łeb w chomątę kontroli, oczekiwał że obejdzie się bez bata!

Nic z tyloletnich marzeń o zobaczeniu Pragi, zarówno w przejeździe z Rużyne do miasta, jak w długim i pokrętnym przejeździe przez miasto, siedziałem wtulony w kącie taksówki w końskich okularach: nie usiłowałem nawet oderwać wzroku od pleców kierowcy. W hotelu było przepełnienie, z trudem ulokowano mnie w służbowym pokoiku na półpiętrze, bez okna (zastępował je lufcik pod sufitem) i tak małym, że mogłem się jedynie przenosić lekko przygarbiony z połowego łóżeczka na krzeselko obok brudnej muszli umywalni. Nad łóżeczkiem wisały dwa obrazki: na głównej ścianie landszaft z podpisem *Popradske Pleso*, nad wezgłowiem fotografia Husaka całującego w usta Breżniewa. W pokoiku było duszno i ciemno, upstrzona przez muchy żarówka rozmazywała w nim mdłe światło. W kleszczach dwóch uczuć, wspomnienia *odinoczki* i ataku klaustrofobii, wyrzebałem z torby tom Kafki, przewodnik po Pradze, notatnik, i zbiegłem na dół.

Dyżurny za hotelowym blatem odwiecił na mój widok słuchawkę telefonu i wręczył mi paszport. Uśmiechnął się przy



tym znacząco, czy mi się przywidziało? Tak czy owak, usłyszałem własny głos, drżący i obcy, który popsutą nagle i drewnianą angielszczyzną domagał się możliwie dokładnej informacji na temat możliwie krótkiego przemarszu z hotelu *Złata Praha* do ambasady amerykańskiej. Pieszko? Powiedziałem przecież o przemarszu. Wyrysował drobiazgowy planik, z nazwami ulic i strzałkami. „Dziesięć minut wolnym spacerem”. I dodał: „Jest pora obiadowa, wliczamy obiad do ceny pokoju”.

W sali restauracyjnej było tłoczno i gwarno, ale błyskawicznie, niemal od pierwszego rzutu oka wyłowiłem stolik zajęty przez mojego towarzysza podróży: był pogrążony w rozmowie z jegomościem który go oczekiwał na lotnisku, co jakiś czas nachylał się do niego i szeptał mu coś na ucho. Przechodząc (niezauważony) koło ich stolika, zorientowałem się że rozmawiają po czesku. Kelner, zapytawszy przedtem o pozwolenie biesiadników, przystawił mi krzesło do długiego i bardzo rozochoczonego stołu. Biesiadnikami byli Polacy. Wodzirej towarzystwa — gruby, spocony i wyraźnie pijany — wstał, konfidencjonalnie i z miną znawcy oświadczył: „Argentyniec”, skłonił mi się nisko i z kieliszkiem wódki w łapie wycharczał jednym tchem: *Peron kaput, Viva Zapata!* Rozległ się nieśmiały rechocik reszty. Spoteźniał jednak i zabrzmiał tonami basowymi, gdy wstałem i ja, ukloniłem się nisko zebranym, chwyciłem podany mi przez sąsiadkę kieliszek wódki i odpowiedziałem echem: *Peron kaput, Viva Zapata!* Uznano mnie odtąd za swojego, dano mi spokój i swobodnie w języku ojczystym rozprawiano o tym, co i za ile można kupić w Pradze.

Moim zamiarem było przesiedzieć w restauracji do piątej, ale przewlekłe libacje nie powstrzymały kelnerów od dość brutalnego opróżnienia sali o czwartej. Wpadłem na pomysł parokrotnego wypróbowania trasy. Było ładne letnie popołudnie, niewiele jeszcze przechodniów, dojrzałe słońce omiatało gałazkami cienia praskie kamienice, szedłem uspokojony i w euforii literackich reminiscencji. Na jaki użytek przeznaczono Zakład Ubezpieczeń, w którym śleczą nad pulpitem chory wiecznie na migrenę *Herr Doktor Franz Kafka*? Ile ocalało ze starej dzielnicy, gdzie krążył niegdyś *Golem* Gustawa Meyrinka? Planik zdał dobrze swój egzamin. Lecz na placyku przed ambasadą było wciąż pusto. Z wyjątkiem kilkunastu „smutnych panów” w załomach bram na przeciw fasady pałacu. Rozpoznaje ich się nieomylnie po jednym szczególnie w wyrazie twarzy: robią wrażenie cierpiących na chroniczne zaburzenia przewodu trawiennego. Wróciłem do hotelu, także *timing* spaceru był ściśły.

Kwadrans po piątej zebrał się już przed ambasadą spory tłum. Na wysokości tablicy pamiątkowej, wmurowanej między

oknami pierwszego i drugiego piętra i zasłoniętej białą płachtą, ustawiono podium ze sztandarem gwiazdzistym. Ambasador, ogorzwały i przystojny, podobny trochę do aktora filmowego Lancastera, wskoczył na nie sportowym susem z wybicciem oznaczonej godziny na pobliskiej wieży zegarowej. Trzymał w ręku arkusik papieru, zrezygnował jednak z czytania na rzecz improwizacji. I stało się zaraz jasne dlaczego. Kafka, którego przypuszczalnie przeglądał ziewając poprzedniego wieczoru, interesował go wyłącznie jako okaz *Central and East European melting pot*. Powtarzał bez przerwy słówko *pot*, delectował się nim, wysysał je jak karmelek napełniony rajsłym likierem, nie zważając na pot ociekający mu z opalonego czoła na mięsisty nos i przyćmione szczecinę policzki. Notowałem pośpiesznie: *Czech author of Jewish parents writing in German on universal subjects, what an amazing and — let me say modestly — inspiring example of this marvellous cultural melting pot we should all strive at; all of us, ladies and gentlemen, Americans and Europeans, Russians and Chinese*. Mówi się ostatnio o rozmaitych „doktrynach” politycznych, mówi się o nich — *let me frankly say* — bez dostatecznej znajomości rzeczy, na podstawie tendencyjnych i nieuczciwych interpretacji prasowych, lecz czy wolno nazywać „doktryną”, i to „doktryną” zagrażającą rzekomo wolności małych narodów, naturalne dążenie do organicznej jedności kulturalnej świata? Czy wolno źle rozumianym, ba — karykaturalnie wykrzywionym, terminem „integracja” degradować i zatruwać odwieczny sen ludzkości? Bohater naszej skromnej choć wymownej uroczystości, panie i panowie, gdyby podniósł się z grobu przyklasnąłby naszym wysiłkom. Robi to jego potężny duch, obecny wśród nas dzisiaj.

Zerwały się brawa, klaskali przeważnie urzędnicy amerykańscy powtykani w tłum jak rodzyнки. *Burnymi* (ale nie *produktelnymi*) *aplodismentami* nagrodziła też natchnionego oratora garstka wysłanników ambasady sowieckiej, natomiast nieporuszony stał jedyny przedstawiciel ambasady chińskiej. Władze czeskie zignorowały uroczystość. Czesi „z ulicy”, demonstracyjnie wepchnąwszy ręce do kieszeni spodni lub (w wypadku kobiet) skrzyżowawszy je na piersiach, nie odrywali oczu od białej płachty. W oknie drugiego piętra pojawiła się dłoń uzbrojona w nożyce i przecięła sznurek. Płachta obsunęła się, ujrzeliśmy tablicę bez medalionu, z wrytymi i napuszczonymi złotem literami, niestety nieczytelnymi na odległość. Równocześnie otworzyły się wrota pałacu ambasadzkiego. Dwie młode Amerykanki, pod dyskretnym nadzorem skwaśniałych „smutnych panów”, sprawdzały zaproszenia. Sala recepcyjna wypełniła się po brzegi, mnóstwo osób (zwłaszcza młodzieży) zadowolilo się podpieraniem



ścian po obu stronach. Reprezentantów ambasad umieszczono w pierwszym rzędzie, w pluszowych fotelach: w środku wysportowany gospodarz, na prawym skraju Rosjanin, na lewym (tuż obok wyjścia zapasowego) Chińczyk. Estrada była pusta: obciążony zielonym sukniem stolik z mikrofonem i karafką wody, zydelski bez oparcia.

Wyznaczono mi miejsce w ostatnim rzędzie, gdzie mogłem swobodnie rozłożyć na kolanach tom Kafki i notatnik. Przy mnie usiadła jedna z dwóch Amerykanek sprawdzających zaproszenia, śliczna dziewczyna. „Smutni panowie”, w roli miłośników twórczości Kafki również zaszczyconych zaproszeniami, obstawili wszystkie drzwi wejściowe za ostatnim rzędem. Śliczna Amerykanka, ośmielona moim angielskim egzemplarzem książki, zahaczyła mnie cichym okrzykiem: *He was great, wasn't he?* Zgodziłem się chętnie, że Kafka był wielkim pisarzem. Jej buzię zmarszczył grymas niezadowolenia: *No, I was thinking about our Ambassador.* Zgodziłem się mniej chętnie, że także ambasador był na swój sposób *great*. To ją nieco rozpogodziło i skłoniło do kontynuowania swiergotu. „Mój Boże, już jest pięć po szóstej, profesor Popradek zaklinał się na wszystkie świętości, że znacznie wykład o szóstej, *Mr. Ambassador is so terribly strict about punctuality.* Co się stało? Czy pan wie że profesor Popradek, odkąd usunięto go z uniwersytetu, pracuje w jednym z miejskich WC?”. *Not in the Ladies room, of course* — zachichotała filuternie. I dalej: „Straszne, prawda? Straszne i poniżające. Ale kto zrozumie te wschodnio-europejskie narody? Pan jest Anglikiem?”. Odpowiedziałem, że jestem Argentyńczykiem. Wzbudziło to jej zainteresowanie. „Mówi pan płynnie po angielsku. Wspomniałam o tych wschodnio-europejskich narodach. Nie jest to kwestia ustroju, nie należy popełniać tego błędu. *They are in some way ascetic and dogmatic by nature, that is what Mr. Ambassador says. And he is right, too. Gosh, how right he is! He knows absolutely everything about them.* Profesor Popradek był wykładowcą ich filozofii na uniwersytecie, wyparł się jej w roku 1968. *A bit unfair, I would say, filozofii nie zmienia się jak samochodów. Still, their government is also a bit unfair with him. Unfair and perhaps cruel.* Wybitny uczyony w miejskim klozecie! *He is brilliant, you know, absolutely brilliant. And very handsome, too. Mój Boże, dziesięć po szóstej!*”.

Dwadzieścia po szóstej rozległ się przy jednych z drzwi wejściowych lekki szum, ściągając błyskawicznie tyralierę „smutnych panów”. Rozgardiasz trwał minutę, po czym na salę wkroczył b. profesor Karel Popradek. Istotnie przystojny i po męsku kanciasty, z przystrzyżonym krótko jeżem, w cajgowym i popla-

mionym ubraniu podobnym do kombinezonu, szedł wolno ku estradzie powodując machinalne odchylenie się wymijanych po drodze słuchaczy. *He probably stinks, what a disgrace* — jęknęła śliczna Amerykanka. Kiedy odwrócił się przelotnie w stronę sali postawiwszy nogę na pierwszym stopniu schodków, dostrzegłem mimo dużego dystansu jak gdyby gniewny skurcz w jego kwadratowej i kamiennej twarzy.

We wstępie zabrzmiała nuta niedbałości a nawet nonszalanckiej, wypowiedział go twardo i cicho dukaną trochę angielszczyzną, naginając mikrofon i rozkładając kartki na zielonym suknie: „W tym domu w roku 1917, w roku Wielkiej Rewolucji Rosyjskiej, Kafka mieszkał kilka miesięcy; tu napisał swoje opowiadanie *Wielki Mur Chiński*. Koincydencja, w której kto ma ochotę i skłonności do kabalistycznej interpretacji dziejów, może się doszukiwać głębszego sensu. Co do mnie, poprzestanę na stwierdzeniu że *Wielki Mur Chiński* jest utworem genialnym, arcydziełem nie w pełni docenionym przez badaczy twórczości Kafki. Z arcydziełami skromnymi objętościowo bywa czasem tak, że wystarczy je na głos i wolno przeczytać, by audytorium uprzytomniło sobie ich piękno i mądrość. Lecz bywa i tak, że trzeba z nich wycisnąć sok, streścić je własnymi słowami bez słowa własnego komentarza; kosztem rozbicia formy, pozornego zlekceważenia trudu artysty, uzyskuje się wtedy coś w rodzaju odcedzenia drogocennej esencji do małej ampułki; esencji która krążyła dotąd, przed zabiegiem krytyka, w żyłach cudownego i tajemniczego owocu rozrzedzona, przemieszana z innymi substancjami. To właśnie zamierzam uczynić. Komu mój zamiar nie przypada do smaku, komu wydaje się nadużyciem w stosunku do uroczystych ram dzisiejszej ceremonii, niech czym prędzej skorzysta z uprzejmości licznych ochotniczych oddźwiernych”.

Nikt jednak nie zareagował na ostrzeżenie Popradka, tylko ambasador amerykański poruszył się nerwowo w centralnym pluszowym fotelu, a moje śliczne dziewczę westchnęło: *It sounds a little nasty and arrogant.* Popradek odczekał, po czym usiadł na zydli i pochylił się nad swoimi kartkami.

Nie silę się na rekonstrukcję wykładu Popradka, byłoby to streszczenie streszczenia *Wielkiego Muru Chińskiego*, czyli partacka imitacja koronkowej roboty. Ale parę głównych akcentów muszę przecież wypunktować. Jak wiadomo, opowiadanie Kafki dzieli się na dwie części. W pierwszej roztrząsane jest pytanie: dlaczego Wielki Mur Chiński budowano kawałkami — pół kilometra tu, pół kilometra tam — a nie jednym ciągiem, chociaż jego obronność przed napastnikami z Północy stawała się przy takim systemie budowy dość problematyczna? U Kafki wyjaśnienie tej zagadki jest bardzo drobiazgowo, prawie pedantyczne,



Poprądek natomiast w sposób olśniewająco misterny doszedł ściągami na przełaj do formuły, którą z grubsza dałoby się ująć tak: problematyczni byli napastnicy z Północy, Mur budowano nie tyle w obronie przed nimi, co dla samej idei Muru, dla wpojenia poddanym Imperatora wiary, przekazywanej z pokolenia na pokolenie, że Mur odgradzający od świata jest celem samym w sobie, najwyższą wartością życia zrzeszonego. Poprądek napomknął o dzieciach, zaprawianych od żłóbka do budowy Muru, oraz dosłownie przytoczył zdanie Kafki o dorosłych już murarzach, którzy dzięki takiej nieustannej i cierplivej zaprawie wznosili się na poziom doskonałości absolutnej: „Kładąc pierwszy kamień na ziemi, czuli się częścią Muru”. Zapewne, nie można było uniknąć jednej ludzkiej ułomności: wśród budowniczych Muru, gdy strudzeni zabierali się do wieczery, często rodziła się skryta wątpliwość czy Władze Imperium są w swych dekretach imperialnych nieomyłne. Lecz (zacytował Poprądek znowu Kafkę) czysto ludzką ułomność pokonywała „sekretna i mądra maksyma: staraj się ze wszystkich sił zrozumieć dekrety Góry, nie posuwaj się jednak poza określoną granicę; potem wystrzegaj się dalszej medytacji”. Zwróćmy uwagę (ciągnął Poprądek) jak kończy się pierwsza część *Wielkiego Muru Chińskiego*: „Imperialna Góra istniała wiecznie, decyzja zbudowania Muru również. Łatwowierni mieszkańcy Północy, którzy wyobrażali sobie że to oni są przyczyną budowy Muru! Poczciwy, łatwowierny Imperator, który wyobrażał sobie że to on ją zadekretował! My, prości murarze, wiemy że tak nie jest i trzymamy nasze języki za zębami”. Według Poprądką współczesna epoka zmieniła nieco optykę w lekturze opowiadania Kafki: nie jest już ono, jak było przypuszczalnie w roku 1917, opowiadaniem o przeważającym ładunku metafizycznym. Pomyślałem w tym momencie, że b. profesor Uniwersytetu Praskiego i obecny asenizator ustępu miejskiego naruszył jednak, choć stosunkowo delikatnie, obietnicę powstrzymywania się od własnych komentarzy.

Obowiązek kronikarza każe mi nadmienić, że w tej partii wykładu Poprądką zaszło kilka znaczących, jakkolwiek z tylnych rzędów ledwie zauważalnych incydentów. Szef delegacji sowieckiej i delegat chiński podnosili się parokrotnie ze swoich miejsc, ale — obserwując się wzajemnie z ukosa — natychmiast przysiadali; był to swoisty pojedynek siedzeń, z wynikiem remisowym. Za to po zdaniu „Kładąc pierwszy kamień na ziemi, czuli się częścią Muru” wstał energicznie jakiś pękaty sztywniak i skierował się ku wyjściu zapasowemu obok estrady. Śliczna Amerykanka zbliżyła zapłonioną twarz do mojej i pisnęła: *Heaven, this is East German Consul General.*

W drugiej części *Wielkiego Muru Chińskiego* Kafka opisuje Imperium. „Jest tak rozległe — zacytował Poprądek — że żadna bajka nie potrafi mu oddać sprawiedliwości, że niebo rozpina się nad nim z trudem; Pekin stanowi w nim zaledwie kropkę, Pałac Imperialny mniej niż kropkę”. W tych okolicznościach (na ustach Poprądką pojawił się lekki uśmiech, jakby przeproszenie za powtórny komentarz) modny dziś problem integracji i organicznej więzi imperiów znalazł w Kafce prekursora — Legenda głosiła, że pewnego dnia Imperator wysłał gońca umyślnego do najpokorniejszego ze swych poddanych, z wiadomością przeznaczoną wyłącznie dla niego; miały jednak tysiąclecia, a gońcowi nie udało się nawet wydobyć z labiryntów Pałacu Imperialnego, cóż dopiero dotrzeć do adresata w wiosce na przeciwległym krańcu Imperium! To sprawiało, że terażniejszość zacierała się stopniowo w umysłach poddanych: dawno umarłych Imperatorów uważali za aktualnie i miłościwie im panujących. Posłuchajmy Kafki: „W najstarszym Imperium świata rząd nie umiał, lub na skutek lekceważenia nie chciał, doprowadzić instytucji Imperium do takiej precyzji, by jego oddziaływanie sięgało bezpośrednio i nieprzerwanie do najdalszych rubieży kraju. Z drugiej wszakże strony wchodzi tu w grę nie nazbyt zakorzeniona wiara i nie nazbyt rozwinięta wyobraźnia poddanych, dwa niedostatki które uniemożliwiają im podniesienie Imperium z jego stagnacji w Pekinie i przyciśnięcie go w całej żywej rzeczywistości do własnych piersi; a przecież niczego tak nie pragną, jak raz bodaj poczuć to dotknięcie i umrzeć. Taka postawa nie jest, rzecz jasna, cnotą. Tym godniejszy zastanowienia i niezwykły wydaje się fakt, że właśnie ta nasza słabość musi być uznana za jedną z największych jednoczących sił w łonie naszego narodu; więcej, jeśli wolno użyć takiego wyrażenia, za grunt pod naszymi nogami”.

Wyglądało na koniec prelekcji, bo ręce preleganta zajęły się składaniem kartek. Ale Poprądek nagle wstał, odrzucił głowę w tył i z niespodziewaną mocą wyskandował: „Nasza słabość jest jedną z naszych największych sił jednoczących... Niczego tak nie pragniemy jak raz bodaj, przed śmiercią, przycisnąć do własnych piersi nasz kraj w całej jego żywej rzeczywistości”.

Co działo się potem, przekracza możliwości opisowe przygodnego kronikarza. Czesi „z ulicy”, bijąc nieprzytomnie brawa (kobietom płynęły łzy z oczu) i przesadzając jak popadło rządy krzesel, runęli ku Poprądkowi i otoczyli go zwartym kołem. Ambasador amerykański (w asyście mojej ślicznej Amerykanki, która dała nura w tłum i wynurzyła się między rzędem pluszowych foteli i estradą) ścisnął kolejno dłonie wystannikom ambasady sowieckiej, po czym przeszedł szybko na przeciwny skraj



i uściśnął dłoń przedstawicielowi ambasady chińskiej. Dyplomaci obu mocarstw, niemi i zachmurzeni, opuścili niebawem salę różnymi wyjściami. Woźni ambasady amerykańskiej wyciągali gorączkowo rzędy krzesel do obszernej poczekalni, ich koledzy wtaczali równocześnie z poczekalni stołki na kółkach z jadłem i napojami. Piłem dużo, tym zachłanniej i wścieklej, im daremniejsze okazywały się moje usiłowania przedarcia się do otoczonego przez rodaków Popradka.

Nie pamiętam kto odwiózł mnie do hotelu: gdyby nie załatywało to tanim efektem nowelistycznym, przysięgłbym że mój towarzysz podróży z samolotu. Spałem na moim łóżeczku źle, przewracałem się z boku na bok, wciąż majaczył mi się na ścianach i na suficie ogromny karaluch pokryty szlamem. Obudziłem się wreszcie o trzeciej po północy z krzykiem: „Samsik, Gregor Samsik!”. Wymoczyłem rozboląły łeb w zimnej wodzie, przyglądałem się długo landszaftowi przedstawiającemu Jezioro Popradzkie i sięgnąłem po notatnik. Gdy kończę ten zapis jest piąta, nad Pragę (sądząc ze światła w lufciku) wstaje anemiczny świt.

*Maisons-Lafitte, 4 czerwca*

Wszystko to jest naturalnie zmyśleniem, płodem imaginacji powstałym z notatki we wczorajszym *Le Monde*: „Pięćdziesiąta druga rocznica śmierci Kafki została upamiętniona 3 czerwca 1976 w Pradze, mieście rodzinnym pisarza, wbudowaniem tablicy w Pałacu Schoenborn, siedzibie ambasady Stanów Zjednoczonych w Czechosłowacji. Kafka mieszkał wiele miesięcy w tym domu w roku 1917 i tam napisał *Wielki Mur Chiński*. Ceremonia odbyła się z inicjatywy amerykańskiej, bez oficjalnego udziału czeskiego. Rząd praski, wbrew „rehabilitacji” (w roku 1963) pisarza uważanego przez długi czas za „dekadenta”, nie odznaczał się nigdy szczególnym upodobaniem do autora *Procesu*. Dwie wystawy, poświęcone mu w roku 1964, starały się przedstawić go głównie jako patriotę i nacjonalistę: stuknięcie pazurka, które nie uszło uwadze specjalistów”.

*Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI*

**Kraj**

**WOŁANIE NA PUSZCZY**

## Mój głos w dyskusji \*

Dowiedziałem się, że powinienem zabrać głos w ogólnonarodowej dyskusji na temat zmiany cen spożywczych i ich struktury. Ano — jak trzeba, to trzeba. Mam różne opory, przede wszystkim dlatego, że jestem uformowany na sposób dialektyczny i hipotrudno mi zastanawiać się nad problemami wyizolowanymi, hipotetycznie czy umownie wyłączonymi z całokształtu zjawisk. Według mnie wszystko jest połączone: polityka z gospodarką, historia z psychologią, psychologia z wydajnością pracy i reakcjami społecznymi. Zastanawiać się nad jednym tylko, „zadaniem” odcinkiem to czynność trudna, nieco sztuczna, nieco nazbyt, z jednej strony, „użytkowa” i okazjonalna z punktu widzenia danej sytuacji politycznej, z drugiej zaś strony jakoś seminaryjna, laboratoryjna, boć właśnie na uczonych seminariach czy w laboratoriach rozpatruje się komórkę organizmu wyosobnioną, spreparowaną taką, aby nadawała się do badań mikroskopowych. Stąd i opory u człowieka, nawykłego myśleć całościowo.

Inna znów grupa oporów jest natury personalnej. Ostatnio zdarzyło się, że do finałów mistrzostw Polski w lekkoatletyce nie dopuszczono paru dobrych zawodników, bo okazało się, że są oni... niestowarzyszeni. Oto bardzo ważna sprawa: co z obywatelami niestowarzyszonymi, *outsider*’ami, działaczami indywidualnymi — liczą się czy nie?! Zdarzały się wypadki, że nawet bardzo wybitni specjaliści, wręcz eksperci, zdobywszy sobie w poprzednim okresie pechową opinię indywidualistów, niezbyt realne swymi dyskusjami osiągnęli rezultaty. Że wspomnę tu takie nazwiska jak prof. dr Oskar Lange, prof. dr Michał Kalecki, prof. dr Franciszek Drewnowski, prof. dr Edward Lipiński, prof. dr Czesław Bobrowski, prof. dr Włodzimierz Brus, prof. dr Stefan Kurowski i inni. Cóż wobec takich mocarzy znaczy głos dyktanta-szaraka w rodzaju niżej podpisanego i czy w ogóle indywi-

\* Cotygodniowy felieton Stefana Kisielewskiego napisany dla *Tygodnika Powszechnego* i skonfiskowany przez cenzurę. (Red.).



dualne głosy będą przez kogokolwiek zauważone, nie mówiąc już o ich uwzględnieniu?!

Ale jednak, oceniając moment jako osobliwy i traktując siebie oraz swą powinność obywatelską poważnie, spróbuję odrzucić kompleksy oraz opory i poczynić parę luźnych uwag w związku z naszą aktualną sytuacją rynkowo-cenową. Uwag luźnych i dyletanckich, bo na to, aby były one inne, trzeba by znać całokształt stanu inwestycyjno-kredytowego państwa, zwłaszcza warunki towarzyszące zagranicznym pożyczkom kooperacyjnym oraz sposób wykorzystania pewnych sum, tudzież amortyzacji nabytych za nie urządzeń produkcyjnych. Nie stać mnie na tę wiedzę, a więc, powtarzam, parę tylko luźnych uwag, skoro już zaapelowano do mnie o spełnienie tej obywatelskiej powinności i skoro nie zamierzam zaślaniać się niewątpliwą niekompetencją i wykręcać sianiem.

Truizmem jest już twierdzenie, że w rzeczywistości rozwiniętym kraju nie może być zwichnięta równowaga między intensyfikacją procesów inwestycyjnych a rozwojem i w ogóle poziomem usług. Otóż u nas równowaga ta wydaje się zwichnięta gruntownie. Długi czas, w minionych okresach, usługi były w ogóle lekceważone, wręcz „nie nazwane” i spychane na ostatni plan. Od paru lat więcej się o nich mówi, a nawet sporo zrobiono, jednak przeważnie w dziedzinie „konsumpcji zamkniętej”, zakładowej czy wewnątrz związkowej. Jeśli chodzi o usługi publiczne, to pozostają one nadal w tyle, w stanie chronicznego niedoinwestowania i zaniedbania, poziom ich jest jednym z najniższych w Europie, co stanowi nasz poważny handicap również wobec innych krajów Demokracji Ludowych. Aby przekonać się o stanie naszych publicznych usług wystarczy wysiąść z samochodu i wybrać się „w Polskę” samodzielnie, bez zapasów, przydziałów, „pomocy zagranicznej”, a tylko z własnymi złotówkami w kieszeni. Zaostrzenie rynku, dystrybucja, handel, gastronomia wielka i mała, komunikacja, transport morski, lotniczy, rzeczny, łączność, hotelarstwo i zakwaterowanie, informacja, kultura życia codziennego (alkoholizm!), wszystko to są sprawy katastrofalnie zaniedbane, niedoinwestowane i przede wszystkim cierpiące na dotkliwy brak ludzi, nie mówiąc już o niedostatku wyszkolonych, wyspecjalizowanych kadr. Ten stan rzeczy sprawia, że po pierwsze, nie możemy rozwijać turystyki zagranicznej przyjazdowej (najniższy wskaźnik wśród krajów socjalistycznych), co pozbawia nas nowoczesnie i elastycznie zarabianych dewiz, zmuszając do coraz to nowych, „ciężkich” i mozolnych inwestycji górniczo-hutniczych, utrwalających jednostronny charakter rozwoju kraju i wytwarzających błędne koło w zatrudnieniu, bo masy, które płyną do górnictwa i metalurgii już dla innych, „nieprodukcyjnych” (stary i szkodliwy termin!) dziedzin pracy nie wrócą. Po drugie zaś, niedowład publicznych usług jest dla wielu ludzi pracy powodem zdenerwowania i frustracji, zwłaszcza w okresie wakacji i urlopów, kiedy to właśnie poziom usług decyduje w istocie o ocenie osiągniętej stopy życia.

Tu właśnie decydujące okazują się względy psychologiczne, a także „drugorzędne” rzekomo, nie doceniane przez planistów przemysłu problemy usługowe. Przekonany jestem, że podniecenie i powszechna gorączka, wywołane ostatnio kwestią cen, spowodowane zostały nie tyle problemem pieniężnym, ile coraz to bardziej ostatnio dokuczliwym stanem naszego handlu, chimernością zaopatrzenia i dystrybucji, złą obsługą klientów przez nieliczny i niewykwalifikowany personel, niedoborem sklepów w nowych osiedlach, ogólną przestarzałością sieci handlowej, złą organizacją skupu i tysiącem innych plag tego rodzaju. Klient wiedzący na pewno, że za określone pieniądze dostanie w określonym czasie i miejscu, bez czekania i awantur określony towar, niechybnie z mniejszą nerwowością podszedłby do problemu wyżki czy uelastycznienia cen. Wierzę chętnie, że w obecnej sytuacji wyłoniła się rzeczywista potrzeba owej reformy, że nawet sprawa jest nieunikniona. Ale reformie takiej, zwłaszcza gdy nadano jej wielki rozgłos, towarzyszyć muszą przygotowania i ulepszenia natury społeczno-organizacyjnej i psychologicznej. Dodatki do pensji mogą rzeczywiście zrekompensować podwyżkę, ale pracujący chce wiedzieć, że za swoje pieniądze na pewno dostanie określony towar, bo dolegliwości codziennych, związanych z chaosem w handlu i dystrybucji nie zrekompensuje nic. Czas i nerwy stracone w ogonkach to też są pieniądze, choć się u nas tego nie przelicza i nie umieszcza w budżecie.

Produkcja rolno-spożywcza to w Polsce w dużym stopniu dziedzina „wolnorynkowa” i niewątpliwie oddziaływać na nią należy bodźcami i regulatorami pieniężnymi, ale po pierwsze, regulacja cen to nie jest sposób jedyny, po drugie zaś, istnieje jeszcze cały arsenał innych środków i sposobów. Wśród nich często u nas wymienianym, ale nie stosowanym jest „zmiana struktury konsumpcji”. Niewątpliwie jada się u nas w sposób niehigieniczny i przestarzały, niewątpliwie pichcenie w domu staje się anachronizmem i wręcz niemożliwością, niewątpliwie są tu ogromne możliwości zaoszczędzenia marnującego się nieraz nazbyt tłustego mięsa i przekształcenia konsumpcji w bardziej nowoczesną, zdrową, ekonomiczną. Ale żeby tak zreformować „rynek konsumenta” trzeba w jego publiczne urządzenia mocno zainwestować, przekształcając i urozmaicając na wielką skalę naszą archaiczną gastronomię. Potrafili to zrobić (zdopingowani z zagranicy) Bułgarzy, tworząc wielką sieć barów szybkiej konsumpcji typu *self service*, gdzie przyzwyczajono ludzi do jedzenia np. przeróżnych znakomitych potraw z fasoli i papryki, sterując w ten sposób w dziedzinie produkcji rolnej zarówno „rynkiem producenta” jak i „rynkiem konsumenta”. U nas wydawałoby się to niemożliwe: brak ludzi do przedsięwzięć „nieprodukcyjnych”, brak środków, brak odpowiednich ekspertów, brak zainteresowania i przyzwyczajenia. A przecież byłby to jeden z najskuteczniejszych, dalekosiężnych i nowoczesnych sposobów uzdrowienia sytuacji żyw-



nościowej u nas. I właśnie nie w zamkniętych stołówkach przyzakładowych czy przyfabrycznych, lecz w publicznych, masowych zakładach „zbiorowego żywienia” — to dopiero jest reformatorskie i demokratycznie wychowawcze!

Albo sprawa konsumpcji ryb, wobec której zarówno handel jak i jego klienci mieli długi czas opory, choć podobno jesteście już krajem morskim. Niejednemu wydawało się, że reforma cen będzie okazją do preferowania ze wszech miar ważnej i polecanej konsumpcji ryb. Tymczasem nic z tego: ryby poszły w górę tak jak i mięso! Na pytanie w tej sprawie przeczytałem gdzieś odpowiedź, że nie dało się tu zmienić proporcji cen, bo „połowy morskie są dziś bardzo drogie”. Odpowiedź taka nie może nikogo zadowolić: wszystko dziś na świecie jest drogie, natomiast struktura, organizacja, doinwestowanie oraz rynkowa skuteczność naszego rybołówstwa morskiego winna na pewno stać się jednym z ważnych motywów tak polecanej publicznej dyskusji.

Proponowałem tu przykładowo tematy i ujęcia nietypowe, jak powie zapewne niejedyn nasz ekonomista, „drugorzędne”. A moim zdaniem, jeśli dyskusja ma dać coś nowego, jeśli mamy wyplątać się ze scholastycznego koła rozważań czysto pieniężnych (pensje-podwyżki-ceny), jeśli życie posuwa się jednak naprzód — szukać trzeba właśnie takich nietypowych, na pozór ubocznych („nieprodukcyjnych”), a w istocie z samego miąższu codziennego życia wyrosłych problemów. Szukać nowych spojrzeń, wyrwać się ze schematu — oto chyba cel dyskusji, jeśli ma być ona użyteczna dla rządzących.

KISIEL

## Wokół represji

(LIST Z WARSZAWY)

W jednej ze swoich niedrukowanych mów do „aktywu” (mowy takie różnią się nieco od tych z pierwszej strony *Trybuny Ludu*) Gierek oznajmił, że nie będzie karał krnąbrnych polskich inteligentów za ich kolejne wybryki (czyli za opozycję wobec dalszego sowiezowania konstytucji PRL). Jednocześnie nie powstrzymał się przed postraszeniem: że niby starczyłoby poskarżyć się na niewdzięcznych uczonych i literatów klasie robotniczej, rozmiłowanej, jak wiadomo, w reżymie, a ta by im już pokazała...

Niewiele wody upłynęło w Wiśle — i klasa pokazała (nie po raz pierwszy zresztą), kto naprawdę powinien się obawiać jej złego humoru. I wcześniej jeszcze, nim przebrzmiały oklaski

„aktywu” po mowie wodza, podległy mu aparat (tenże „aktyw”), nie licząc widać na spontaniczny gniew ludu, rozpoczął akcję represyjną wobec nieproszonych uczestników dyskusji nad konstytucją.

Sekretarz KC Łukaszewicz osobiście sporządził listę proskrybowanych twórców, prezes radia i telewizji Szczepański — drugą, nie całkiem identyczną, ale podobną, ktoś tam jeszcze — trzecią. Redakcje i wydawnictwa, biura kolportażu i biura koncertowe, wydziały rad narodowych i agendy cenzury otrzymały czarne listy jako instrukcje do wykonania — i oto nie śpiewa już na estradzie ani na falach eteru Wojciech Młynarski, nie reżyseruje w żadnym teatrze (o radio i telewizji nie ma co mówić) Jerzy Markuszewski, nie drukują wierszy w czasopiśmiech Andrzej Mandalian, Jerzy Ficowski, Barbara Sadowska i inni poeci, pół setki pisarzy nie uczestniczy w tegorocznych kiermaszach książki i spotkaniach autorskich (wśród nich Marii Kornitowiczównie, wnuczce Sienkiewicza, zakazuje się wygłoszenia prelekcji o autorze „Trylogii”), iluś tam autorom gotowych książek w ten czy inny sposób (zerwanie bądź niepodpisanie umowy, wycofanie z planu, rozsypanie składu drukarskiego) uniemożliwia się ich wydanie (wymieńmy tu nazwiska, o których wiemy: Stanisław Barańczak, Ewa Bieńkowska, Janusz Bogucki, Kazimierz Brandyś, Andrzej Drawicz, Witold Dąbrowski, Julia Hartwig, Aldona Jawłowska, Andrzej Kijowski, Irena Lewandowska, Jan Józef Lipski, Bogdan Madej, Jerzy Narbutt, Marek Nowakowski, Anna Pawełczyńska, Jarosław Marek Rymkiewicz, Jan Józef Szczepański, Małgorzata Szpakowska, Jacek Trznadel, Wiktor Woroszyński, Janina Zając, Juliusz Żuławski), sztuka Jerzego S. Sity przed premierą w teatrze poznańskim zostaje zdjęta z afisza, redakcja *Rocznika literackiego* rezygnuje ze współpracy Seweryna Pollaka, PIW zawiadamia Pollaka, Drawicza i Annę Kamieńską, którzy zredagowali dwa tomy antologii poezji rosyjskiej, że redakcję tomu trzeciego powierza innemu zespołowi, cenzura konfiskuje tomu trzeciego powierza innemu zespołowi, eseje w prasie m.in. szkice literackie Artura Międzyrzeckiego, eseje filmowe Jacka Bocheńskiego, teksty Zagajewskiego i Kornhausera, a także jakiegokolwiek pozytywne powołanie się na Herberta, Barańczaka, Woroszyńskiego... W zamian za to ukazują się w *Literaturze i Kulturze* warszawskiej zamówione paszkwile: A. Wasilewskiego na Słonimskiego, Sandauera na Herberta, Putramenta na Stefana Kisielewskiego.

Tak u literatów i artystów. Tymczasem na Uniwersytecie Warszawskim wyrzuca się z pracy stażystów-socjologów: mgr Mirosławę Grabowską, mgr Pawła Spiewaka, mgr Tadeusza Szawiela (cała trójka podpisała tzw. „studentcki” list w sprawie konstytucji). Operacja przechodzi bezszmerowo, więc w kilka tygodni później w Instytucie Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji otrzymują wymówienie: dr Marek Tabin, dr Jacek Kurczewski, mgr Andrzej Celiński. Zwierzchność każe zredukować również doc. Stefana Kurowskiego z Instytutu Geografii PAN. Na Uni-



wersytecie Łódzkim usunięty zostaje ze studiów, po uprzednim różnorakim nękanu przez UB i inne urzędy, słuchacz IV roku polonistyki, utalentowany poeta Zdzisław Jaskuła. Na Uniwersytecie Wrocławskim wytacza się sprawę dyscyplinarną — tym razem bez osłonek: o podpis na „liście 101” — romaniście, dr. Aleksandrowi Labudzie (sprawa chwilowo nie ma zakończenia, bo Labuda zostaje nagle wzięty do wojska). Z równą otwartością — za inny list w sprawie konstytucji — Zrzeszenie Prawników usuwa ze swego grona łódzkiego adwokata Karola Głogowskiego. Doc. dr Włodzimierz Zawadzki, fizyk, nie otrzymuje na leżnej nominacji na profesora UW i nie wyjeżdża na konferencję naukową do Wiednia, profesorem nie zostaje również docent Jacek Sempoliński w warszawskiej Akademii Sztuk Plastycznych, a na konferencje naukowe bądź wykłady za granicą nie mogą wyjechać m.in.: prof. dr Władysław Kunicki, biolog, oraz dr Ryszard Herczyński, matematyk. Lekarz medycyny Wiesława Czerniawska-Beylin musi zrezygnować z kontraktu afrykańskiego: „trudno, pani doktor, albo podpisuje się listy, albo jedzie na praktykę zagraniczną...”. Skoro jesteśmy przy próbach wyjazdów (i po co one komu, nie lepiej to siedzieć cicho na PRL-owskich śmieciach?), paszportów odmówiono także ludziom pióra: Witoldowi Dąbrowskiemu, Irenie Lewandowskiej, Tadeuszowi Mazowieckiemu, Camilli Mondral (tłumaczce z węgierskiego, która wybierała się do Budapesztu po przyznanej jej tam nagrodę), Zygmuntovi Mycielskiemu, Jackowi Woźniakowskiemu, Helenie Zaworskiej, Juliuszowi Żuławskiemu.

Żeby zaś nie było w kraju za nudno, w różnych dyrekcjach i komitetach, no i, ma się rozumieć, w UB, toczą się dziesiątki „rozmów” z sygnatariuszami listów — perswazyjnych, karzących, wypytujących — a kto zbierał podpisy? a jakie podpisy już były na tym egzemplarzu, który pan miał w rękach? — i przypierających do muru: proszę się wycofać. Marii Kornitowiczównie ubecy składają kurtuazyjną wizytę w domu, osiemdziesięcioletnich małżonków Jabłońskich („list 25”) wzywają do urzędu, plastyków Annę Grocholską i Henryka Błachnio maglują na raty, Madejowi w Lublinie tłumaczą, że akurat przypadkiem przechodzili koło jego domu, w Łodzi dla Sułkowskiego i Nowickiego są uprzejmi, a wobec Jaskuły brutalni, krzyczą, grożą wpakowaniem do czubków, jednocześnie zaś szantażują jego lekarza, oskarżając go o „krycie przestępcy”...

Tak wyglądają represje — albo ściślej: uchwytna i dostrzegalna część represji — wobec inteligencji w kraju, w związku z zamianowanym oporem wobec zmian w konstytucji. Represje? Ejże, czy naprawdę represje? Przecież jacyś sygnatariusze listów dostali mimo wszystko paszporty, ktoś gra na scenie, komuś pozwala się drukować, komuś zatrzymano wprawdzie trzy książki w wydawnictwach i kilka tekstów w czasopiśmie, ale jeden tekst w jednym piśmie puszczono... Ironiści nazywają to biciem przez szmatę, żeby śladu nie zostało, owe wyjątki — to właśnie

zatarcie śladów i alibi wobec postronnych: nie ma żadnych represji, sami widzicie, X drukuje, Y w podróży. Może jeszcze coś: mają one skłócić środowisko, zasiać podejrzenia — dlaczego właściwie X drukuje, Y ma paszport? (A wszystko w sytuacji, kiedy w gruncie rzeczy zasięg represji wobec tego środowiska jest rozleglejszy i bardziej dotkliwy niż kiedykolwiek).

A jednak: czy naprawdę represje? Albo: czy tylko represje? Docent Władysław Krajewski nic nie podpisał, ale na lotnisku zabrano mu paszport i bez dania racji odesłano do domu. Zabrano mu maszynopisy, rozsypane składy drukarskie książek, trzymane są sygnatariuszami listów w sprawie konstytucji: Igora Newerlego, Hanny Krall, Edwarda Hołdy, Jerzego Krzysztonia i innych. Doktora medycyny Marka Edelmana nieprzyjemności w pracy i notoryczne odmowy paszportu spotykały z nim złożył swój podpis pod „listem 101” — a po złożeniu ponowiły się tylko. A masakra tygodnika *Literatura*? Ogłoszono w nim stenogram dyskusji krytyków o książkach roku 1975 — i wnet okazało się (wykryły to dzienniki *Trybuna Ludu* i *Życie Warszawy*), że chwalono niewłaściwych autorów (J.J. Szczerpańskich, Strykowski, Zagajewski) i zlekceważono właściwych (Kabatka, Kuśniewicza, Auderską) — za karę natychmiast usunięto z redakcji Janusza Maciejewskiego i nie narażającego się nigdy nikomu Ryszarda Matuszewskiego, po jakimś czasie zaś Rafała Marszałka, Wojciecha Skrodzkiego i inne jeszcze osoby, wprowadzając na to miejsce *treuhänderów*: pierwszego zastępcę redaktora naczelnego Jerzego Kossaka, tudzież niejakiego Łowickiego (instruktora KC), Melkowskiego (któremu na zebraniu wypadł z kieszeni rewolwer — to straszak, wyjaśnił podnosząc i chowając z powrotem) i Solińskiego. Przerażony Putrament — nominalnie jeszcze redaktor naczelny *Literatury* — pragnąc wkuć się w łaski nowej ekipy i jej mocodawców, skrobnął ów paszkwil na Kisielewskiego, o którym już była mowa. Insynuował tam publicyście pogląd (wyrażony przezeń rzekomo na łamach NRF-owskiego *Spiegla*), iż Polska w 1939 roku powinna była się sprzymierzyć z Niemcami. Kisiel podał Putramenta do sądu w Zaksie — ale Putrament, prywatnie przyznając, że w ogóle nie czytał artykułu Kisielewskiego w *Spieglu*, publicznie odwołał kalumnii — jakże by mógł to uczynić, skoro powtórnie odwołał matką, za samym towarzyszem Łukaszewiczem — a twierdzenia tak wysoko postawionych towarzyszy nie podlegają w PRL sprostowaniom.

Otwórzmy nawias dla towarzysza Łukaszewicza, bo wszystko, o czym mowa w tym sprawozdaniu — kampanie ideologiczne, decyzje personalne, represje — leży w gestii tego działacza. Ten czterdziestoletni (z małym hakiem) eks-zetempowiec w marcu 1968 był sekretarzem jednego z komitetów dzielnicowych PZPR w Warszawie. Jako człowiek towarzysza Kępy energicznie organizował pałowanie studentów, gnojenie intelektualistów (a Kisiela wtedy właśnie pobito na ulicy — ciekawe, kto i z czyjego roz-



kazu?), radosne odżydzanie stolicy. Odbijając się od marcowej trampoliny, wylądował w komitecie wojewódzkim, później w centralnym, później w sekretariacie KC, a na ostatnim zjeździe partii wkroczył triumfalnie do biura politycznego. Już nie jest po prostu człowiekiem Kępy — jest własnym człowiekiem, przywódcą grupy nacisku, ze swoimi aspiracjami, koncepcjami strategicznymi, powiżaniami w metropolii oraz w terenie. Ten to Łukaszewicz, jako partyjny *Führer* od ideologii, kultury i propagandy, wygłosił w pierwszej połowie roku 1976 kilka mów do „aktywu” (ciągle ten „aktyw” — inni mówią, a on słucha i klaszcze), w których zajął się sytuacją w literaturze i sztuce. Na dowód, jak jest zła — jak bezkarnie szaleją w życiu kulturalnym PRL wrogowie partii i narodu polskiego (wedle partii, jak wiadomo, są to dziś synonimy) — przytoczył ową rzekomą wypowiedź Kisiela. Sprawnemu Putramentowi rzeczywiście nie pozostawało nic innego, jak rozrobienie „skandalu” w felietonie.

Nie tylko na Kisielewskiego grzmiał Łukaszewicz w swoich mowach. Pomstował na ślepotę ideologiczną wydawców — Sodomę i Gomorę w instytucjach kulturalnych — opętanie twórców przez wszelkiego rodzaju zwyrodnienia i deprawujące wpływy burżuazyjnego Zachodu. Wyszło na jaw, że cenzura w PRL jest wciąż jeszcze zbyt łagodna, wydawcy i inni funkcjonariusze „frontu ideologicznego” za mało zamordystyczni i czujni, ponieważ mimo ich zabiegów (nie dość, jak stąd wynika, gorliwych) ciągle jeszcze ukazują się jakieś książki oprócz wspomnień szpiegowskich towarzysza Czechowicza i łózkowo-politycznych romanów towarzysza Bratnego. Jako przykłady książek, które nie powinny się być ukazać, sekretarz KC podał m.in. „1859 dni Warszawy” Bartoszewskiego, książkę o masonerii Chajna i tomik poezji Witolda Dąbrowskiego „Arrasowanie”... Ten wątek był następnie kontynuowany na spotkaniu samego Gierka z wydawcami. Zasepiony szef partii, z towarzyszymi Szydłakiem i Łukaszewiczem u boku, kategorycznie wzywał wydawców do... oszczędności papieru, co zostało zrozumiane jednoznacznie: już nazajutrz wykreślono z planów ostatnie niedobitki tytułów, należących do źle widzianych autorów. Na spotkaniu, o którym mowa, zwracała uwagę nieobecność dyrektorów i redaktorów naczelnych kilku głównych wydawnictw — zamiast nich zaproszono sekretarzy organizacji partyjnych. Oznaczało to nielaskę potężnych dotychczas Bębenków i Kurzów — i którzy z nich nie zadrzał, i nie zaprzysiągł w duchu większej jeszcze wierności wygibasom linii partyjnej, jeśli ujdzie cało tym razem? „Przenosząc” spotkanie Gierka z wydawcami na niższe nieco szczeble „aktywu”, towarzysz Klimczak — jeden z ludzi Łukaszewicza, kierownik wydziału pracy ideowo-wychowawczej KC PZPR — potwierdził ową nielaskę i wyjaśnił ją lakonicznie: nasi wydawcy zbyt do brzo żyli z autorami, żebyśmy mogli im nadal ufać. (Autorzy nie zauważyli chyba swojej dotychczasowej idylli z wydawcami, ale skoro towarzysz Klimczak tak twierdzi...). I oto zastępca

redaktora naczelnego „Czytelnika” Irena Szymańska — o której zresztą nie same miłe rzeczy dałoby się powiedzieć — z dnia na dzień przeniesiona została na emeryturę, a funkcję jej przejął sekretarz POP, towarzysz Bidakowski. Kiedy Jerzy Andrzejewski, składając Szymańskiej hołd pożegnalny w swojej stałej rubryce na ostatniej stronie *Literatury*, napomknął, że przez wiele lat piastowała ona kierownicze stanowiska w wydawnictwach, cenzura wykreśliła tę niewczesną informację: skoro Szymańskiej nie ma, to zgodnie z partyjnym pojęciem prawdy nigdy jej też nie było. Wolno się spodziewać dalszych operacji tego rodzaju w oficynach wydawniczych Warszawy oraz prowincji.

Towarzysz Łukaszewicz, jako niezłomny komunista, wie (o czym niektórzy jego koledzy jakby zapomnieli), że front ideologiczny obejmuje nie tylko sfery wypowiedzi słownej, lecz również plastykę, muzykę i wszelką dziedzinę ludzkiej twórczości. Toteż — bodaj że po raz pierwszy w Polsce od czasów stalinowskich — dygnitarz ten zajął się malarzami, potępił ich niezrozumiałość, niezdrową sztukę, obcą masowemu odbiorcy i snobistyczność, nie naśladową zachodnie mody. Wszystko to znalazło się w tych samych programowych mowach, w których sekretarz KC rozprawiał się z niedość czujnymi wydawcami i z antypolską działalnością Stefana Kisielewskiego — było więc również znaczące i nie do przeoczenia przez wykonawców. Niebawem kazano zamknąć przed terminem i nie bez groźnych akompaniamentów — wystawę dwóch znanych nie tylko w Polsce malarzy: Romana Opałki i Kajetana Sosnowskiego. Kierownictwo galerii, w której wystawa ta miała miejsce, zaproponowano podanie się do dymisji.

To zapewne nie wszystko, co dałoby się opowiedzieć o burzliwej działalności „małego polskiego Żdanowa”, jak ktoś nazwał towarzysza Łukaszewicza, w pierwszej połowie roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego. Ale to dość chyba, żeby wątpiłość, czy represje za listy konstytucyjne były rzeczywiście reakcją na te właśnie listy, nie wydawała się bezsensowna. W świetle innych wydarzeń, nie związanych bezpośrednio ze sprawą konstytucji, wygląda bowiem na to, że represje są po prostu fragmentem — nie da się zaprzeczyć, że istotnym — wielkiego przykrecenia śruby, zainicjowanego przez kierownictwo partii (a zapewne uzgodnionego też z superkierownictwem moskiewskim i związanego z „integracją ideologiczną” obozu) niezależnie od takich czy innych, zawsze mile widzianych, pretekstów. Jako element tego przykrecenia (czyli nienowej, ale najwidoczniej obdarzonej w tym czasie nowym napędem, polityki partii) wypada też chyba potraktować samą obłąkaną akcją zmiany konstytucji. Reakcje na nią środowisk intelektualnych, Kościoła, a także — co jest mniej znane — niektórych załóg fabrycznych na nieopatrznie zwołanych przez partię zebraniach, raczej przyhamowały impet ideotwórczy zajętych tym towarzyszy. Ale że żadna energia w naturze nie ginie — ta, która miała zostać zużytkowana na przeforsowanie ostatecznie zsovietyzowanej konstytucji PRL,



obróciła się między innymi w moc poruszającą tryby maszyny represyjnej przeciw niepokornym polskim inteligentom. Dopatrywanie się rzeczywistego źródła represji poza ich bezpośrednim powodem nie zmienia, oczywiście, faktu że są one dla obiektów partyjnej pedagogiki wcale dotkliwie.

Albin POPOWSKI

## O metodzie podwyżki cen i... rządzenia

Od jesieni zeszłego roku było wiadome, że sytuacja rynkowa PRL jest katastrofalna i że kierownictwo partii jedyne wyjście widzi w drastycznej podwyżce cen, która odbierze społeczeństwu niemal w całości wzrost płac realnych osiągnięty w ostatnim pięcioleciu i wynoszący według oficjalnych danych aż 40 %.

Robotnicy polscy byli doskonale zorientowani co im grozi i wyrażali swoje nastroje już jesienią po słynnych „Siedmiu pożarach na VII Zjazd Partii”. Powtarzano wtedy z wisielczym humorem aforyzm, będący swego rodzaju groźbą: „Jak przyjdą podwyżki, fabryki spłoną jak szyszki”.

Na szczęście do tego nie doszło. Groźba strajku generalnego, który w ciągu jednego dnia ogarnął Polskę jak płomień, spowodowała, że premier Jaroszewicz potrzebował jedynie 24 godzin, by odwołać decyzje powzięte po długotrwałych dyskusjach, przygotowaniach i studiach (sic!) budżetów rodzinnych. W kraju było wcześniej wiadome, że zarówno ZSSR, jak NRD sprzeciwiają się drastycznym podwyżkom w Polsce: Rosja w obawie by płomień buntu nie przeniósł się na jej teren, a Niemcy Wschodnie z obawy przed wykupieniem przez Polaków towarów i żywności na ich rynku.

Tymczasem rząd polski niewiele wiedział o nastrojach społeczeństwa. Gierk trzymał się w drażliwej sprawie podwyżek zdecydowanie w cieniu, do jej reprezentowania w Sejmie wysunął Jaroszewicza i Babiucha. Sejm zaś na tym samym posiedzeniu składał Gierkowi hołd za sukcesy odniesione w Niemczech. I-szy Sekretarz PZPR otaczany jest stale rosnącym „kultem jedynostki”. W ramach kreowania Gierka na nieomylnego przywódcę narodu zaczęto w połowie lipca upowszechniać pogłoskę, że rząd dążył do uchwalenia podwyżki cen już na posiedzeniach Sejmu 24 czerwca, ale I-szy Sekretarz wymógł dwa dni zwłoki. Pozwoliły one wycofać się z błędnej decyzji w obliczu protestu robotników. Gdyby Sejm, jak chciał Jaroszewicz, powziął decyzję już 24 czer-

ca, następnego dnia, kiedy odwołano decyzję, premier znalazłby się w impasie. Ale rzekomo — tylko dzięki Gierkowi — partia mogła odwołać podwyżkę już 25 czerwca, a planowane na 26 czerwca drugie posiedzenie Sejmu po prostu odwołano.

Jaroszewicz ma pecha, bo stale jakoś jest dezawuowany. W przerażeniu, wywołanym czynnym wystąpieniem klasy robotniczej, oznajmił, że „przygotowanie” zasad nowej wersji podwyżki potrwa „wiele miesięcy”, podczas gdy w czasie późniejszej kampanii za podwyżką, trwającej od początku lipca, dawano do zrozumienia, że niezbędne są szybkie decyzje. Niemrawy przebieg wielu spotkań z robotnikami, a szczególnie wiecu w Warszawie spowodował, że w kierownictwie partii dochodziły na przemian do głosu raz momenty racjonalno-ekonomiczne, to znów nastroje paniki.

Argumentacja rządu za koniecznością podwyżki była na ogół przekonywująca, choć nie mówiła całej prawdy o sytuacji gospodarczej w kraju. Wielu ludzi w Polsce zadawało sobie jednak zasadnicze pytanie. Skoro tak poważne względy przemówiły za zmianą cen, to dlaczego nie przeprowadzono nad nimi dyskusji ze społeczeństwem i zdecydowano się na konsultację dopiero po niebywałej kompromitacji partii i rządu, które zostały „rzuczone na kolana” przez robotników, jak napisał jeden z komentatorów zagranicznych.

Zróbmy teraz kilka uwag o metodzie podwyżki cen i nie tylko podwyżki, ale w ogóle postępowania ze społeczeństwem i rządzenia.

Pan Jaroszewicz uznał za celowe powiedzieć w Sejmie 24-go czerwca:

„Tylko nieliczni ludzie, pozostający na marginesie wielkiej pracy naszego narodu, chociaż częstokroć sówicie korzystający z narodowego dorobku, tylko nasi nieprzejednani przeciwnicy oraz ludzie słabego ducha, mogli cieszyć się z naszych przejściowych niepowodzeń w rolnictwie i kłopotów w handlu zagranicznym, przepowiadając załamanie się polityki przyjętej na VI Zjeździe partii. Nie sprawdziły się ich nadzieje.

Ku ich zmartwieniu nie zahamowaliśmy tempa rozwoju Polski, nie wprowadziliśmy polityki zaciskania pasa z powodu odcinkowych trudności i napięć. Przewycięzamy je w szybkim marszu naprzód, czyniąc wszystko, aby nie zwalniać, lecz odwrotnie — utrzymywać osiągnięcia i nadal szybko unowocześniać kraj. Jest to zadanie niełatwe, ale jedynie słuszne. Rozwiązujemy je pomyślnie dzięki poparciu klasy robotniczej i całego społeczeństwa.

Nie zejdziemy z drogi, którą pod przewodnictwem partii, związanej sojuszem ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym, kroczymy ku realizacji ambitnych celów społeczno-gospodarczych, służących ludziom pracy i sile Polski Ludowej. Zawsze liczyć będziemy w tej mierze na poparcie przytłaczającej większości narodu”.

Przytłaczająca większość narodu odmówiła owego poparcia tak szybko i tak drastycznie, że rozeszły się pogłoski o rychłym ustąpieniu premiera. Zostały one szybko zdemontowane. Nastąpiło nie uderzenie w stosunku do robotników, a szczególności wobec



zwycięskiej załogi Ursusa, w ton którego próbkę dał Jaroszewicz w cytowanym przemówieniu. Sprzeciwiających się robotników obrzucono błotem. Co gorsza wśród załogi Ursusa nastąpiły przesłuchania i aresztowania.

Przytoczmy jeszcze jeden najbardziej załgany urywek z sejmowej mowy premiera:

„Na drodze rozwoju Polski stanął niełatwy problem. Rozwiążemy go razem, w jedności, w nierozdzielnej więzi partii i rządu z całym narodem.

Jak zawsze, tak i tym razem, partii i rządowi przyświeca dobrze pojęty interes klasy robotniczej, rolników, inteligencji, całego naszego narodu. Nie ma dla nas i nie może być innych celów.

Niczego nie ukrywamy, zasięgamy opinii narodu, szczerze i otwarcie mówimy mu o tym, co myślimy i co zamierzamy zrobić”.

„Niczego nie ukrywamy, zasięgamy opinii narodu” — te słowa Jaroszewicza były największym kłamstwem i one najbardziej wzburzyły robotników. Od VII Zjazdu trąbiono o konsultacji z załogami zakładów pracy. Gierek w przededniu swojej podróży do Federalnych Niemiec w wywiadzie dla *Der Spiegel* powiedział, że o ile planowane zmiany zostaną w ogóle przeprowadzone, to tylko po uprzedniej konsultacji z klasą robotniczą. W kilka dni po jego powrocie z Niemiec ceny podniesiono drastycznie i bez żadnej konsultacji. Ktoś tu z kogoś zakpił. Nie można wykluczyć, że na nowo ożywiające się „układy” czyli frakcje partyjne zakpiły z Gierka, ale cała partia zakpiła ze społeczeństwa. Ta kpina właśnie przebrała miarkę. Robotnicy obserwują bowiem od dłuższego czasu kilka niepokojących ich zjawisk. Rosną wymogi wobec nich i stałe żądania zwiększenia wydajności pracy. Z początkiem czerwca jednostronne podwyższenie norm pracy napotkało na protest załogi Zakładów im. Kasprzaka w Warszawie. Doszło do kilkudniowego, pełnego napięcia, strajku. Władze musiały ustąpić, przywrócono dawne normy.

Wzrastającemu wysiłkowi społeczeństwa towarzyszyła od dwóch lat pogarszająca się sytuacja rynkowa, katastrofalne zaopatrzenie w żywność, co w końcu przyznał sam Jaroszewicz. Następowaly także stałe podwyżki cen na nieomal wszystkie — poza podstawowymi — artykuły żywnościowe, a także na artykuły przemysłowe powszechnego użytku. Ludzie opowiadali sobie niemal codziennie, że coś podrożało. Te mniej lub bardziej ukryte (np. w nowych opakowaniach) podwyżki cen tworzyły klimat podrażnienia. Wzmagaly go niekończące się kolejki w sklepach żywnościowych. Gdy w tej atmosferze podjęto drakońską, bo w niektórych wypadkach 100-procentową podwyżkę cen podstawowych produktów żywnościowych reakcję robotników można było przewidzieć. Nie przewidziała jej, a może nie chciała przewidzieć, tzw. „Spółdzielnia Ucho”, czyli bezpieka, będąca teoretycznie partyjnym instytutem badania opinii publicznej. Ostatnią kroplą przelewającą miarkę było kłamstwo o konsultacji z robotnikami. Robotnicy od wypadków na wybrzeżu w grudniu

1970 roku są świadomi swej siły i chcieli konsultacji, a nade wszystko prawdy o sytuacji gospodarczej w kraju. Nie mogli bowiem zrozumieć jak się to dzieje, że widzą na własne oczy rozwój i rozbudowę kraju, a jednocześnie dokonywanymi po cichu podwyżkami cen i zamierzonymi podwyżkami cen na podstawowe artykuły żywnościowe odbiera im się to, co osiągnęli w wyniku przelanej krwi i porywu z grudnia 1970 roku.

Zagadka dynamicznego rozwoju Polski i pogarszających się w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy warunków bytowych społeczeństwa nurtowała nie tylko robotników, ale także ekonomistów i wszystkich obserwatorów sceny polskiej. Wyjaśnienie jest prostsze niżby mogło się wydawać. Prasa zachodnia od pięciu lat piała zachwyty nad tempem rozwoju Polski. Krajowe środki masowego przekazu dosłownie się nim zachłystywały ku niesmakowi i irytacji społeczeństwa. Zagraniczne i polskie zachwyty stały się śmieszną nicością, gdy po ogłoszeniu podwyżki cen w ciągu jednego dnia ostre zaburzenia i strajki ogarnęły Polskę. Jakże więc było z tym nieszczęsnym dynamicznym rozwojem gospodarczym?

Rozwój jest faktem, ale dokonywał się w niewłaściwym kierunku. Był związany z olbrzymimi obciążeniami gospodarki polskiej na rzecz Związku Sowieckiego i RWPG. Deklarowana przez partię produkcja na potrzeby rynku była jednym wielkim kłamstwem. To prawda, że wice-premier Pyka otrzymał zadanie koordynowania produkcji rynkowej, a od zakładów przemysłu lekkiego i spożywczego żądano wysiłków ponad jego możliwości. Sedno sprawy polega jednak na tym, że nie te przemysły miały priorytet w uzyskiwaniu środków inwestycyjnych i dewizowych, decydujących o rozwoju. Nikt nie wie w Polsce jak zostały wykorzystane wielomiliardowe kredyty zagraniczne. Polskich wyrobów przemysłowych nikt nadal nie chce kupować. W rozmowach z wszystkimi partnerami zachodnimi Gierek główny nacisk kładł na niekorzystny dla nas bilans handlowy. Wszystkich namawiał, aby kupowali w Polsce. Tylko co mieli kupować? Żywności brak nam samym, a produkty przemysłowe nie odpowiadają normom światowym. W cenie na świecie są wytwory pracy, a nie tylko surowce. Przykładowo biorąc wychwalana wizyta Gierka w Niemczech pozwoli nam sprzedać tam tylko surowce: siarkę i miedź. Jedynie w sprawie chemizacji węgla zarysowała się możliwość współpracy przy jego chemizacji na licencji i przy pomocy technologii niemieckiej. Gdzież jest więc tajemnica owego fantastycznego rozwoju Polski, dlaczego społeczeństwo nie odczuwa jego skutków? Brak dobrodziejstw społecznych impo-nującego rozwoju ma kilka przyczyn gospodarczych i jedną, ale za to najważniejszą, polityczną. Wśród przyczyn gospodarczych należy wymienić fatalną politykę rolną, niekorzystną dla gospodarstw chłopskich, stałe za niskie ceny skupu — dopiero teraz planuje się ich radykalniejszą podwyżkę, brak priorytetu dla tych gałęzi przemysłu, które można by rozwijać w oparciu



o własne surowce, niekoncentrowanie się na określonych dziedzinach produkcji opartej o wysoką technologię, lecz rozwijanie wielu dziedzin wytwarzających złe produkty. Kardynalny grzech polskiej gospodarki poza rolnictwem łączy się z polityką i polega na dawaniu priorytetu produkcji nierynkowej. Wynika ona z założeń ZSSR i RWPG. Tymczasem w kraju rośnie nacisk pieniężny na rynek, spędzający sen z oczu rządzących.

Postawmy kropkę nad „i”. Neostalinizm panujący w Polsce powoduje nie tylko zwiększające się uzależnienie naszej gospodarki od Rosji, ale także wzrost polskich świadczeń gospodarczych na rzecz „obozu państw socjalistycznych” czyli imperializmu sowieckiego.

Robotnicy polscy wiedzą o tym wszystkim dokładnie. W niektórych częściach Rosji panuje głód. Wobec czego wysyłamy tam wszystko, nie wyłączając mięsa, którego nam samym brak. Codziennie z Zakładów Mięsnych na Służewcu (a więc tylko z jednego zakładu) wyjeżdżają do Rosji 24 ciężarówki-chłodnie z przyczepami — każda po 8 ton. Te ciche wyjazdy o świcie są znane nie tylko w Warszawie, ale i w innych licznych punktach w Polsce. Czy można się dziwić, że gdy robotnikom kazano płacić za wędliny o prawie 100 % więcej kłamiąc jednocześnie, że to z nimi skonsultowano, to rozkręcili szyny pod Warszawą, zorganizowali manifestacje w Łodzi, Płocku i Radomiu, strajki w tysiącach zakładów, okupacje stoczni itd., itd.

Metoda rządzenia Polską, metoda ostatniej podwyżki cen, sposób informowania społeczeństwa — wszystko to polega na kłamstwie. Goebbels naszej propagandy — pan Łukaszewicz — osiągnął nie byle jaki rezultat rozwścieczając społeczeństwo nieustannym gadaniem, że jest nam wspaniale, podczas gdy od miesięcy każdy dobrze wie, że jest coraz gorzej. Nawet szefowie od propagandy powinni wiedzieć, że ludzie bardziej wierzą własnym żołądkom niż najemnym pismakom. Gdy wreszcie głodnawi robociarze i zmęczone „ogonkami” ich żony usłyszeli superkłamstwo, że podwyżki z nimi konsultowano — wybuch był nieunikniony.

Skoro zaś po wybuchu rząd się cofnął ale nie chciał ponieść żadnych konsekwencji politycznych, nie pozostało nic innego jak przedstawienie robotników jako łobuzów i uzupełnienie agitacji terrorem stosowanym wobec przywódców robotniczych lub ludzi za nich przez władze uważanych. Tegoroczny lipiec w Polsce był gorący. Wypełniły go intensywna agitacja i energiczna infiltracja oraz próba zastraszenia środowisk robotniczych. Bezpieczeństwo miało pełne ręce roboty. Uruchomiono wszystkie mechanizmy państwowe i „społeczne”, kontrolujące większe skupiska pracownicze.

Powstaje pytanie: co dalej? Jeśli władze pójdą drogą terroru robotnicy będą musieli cofnąć się na pewien czas. Ale nie odwróci to nastrojów i potencjalnej groźby wybuchu przy pierwszej nadarzającej się okazji. Pierwszym warunkiem zmiany nas-

tawienia społeczeństwa jest zmiana metody rządzenia — zastąpienie kłamstwa prawdą i wprowadzenie rzetelnych zasad porozumienia się ze społeczeństwem. W tydzień po kapitulacji rządu w przemówieniu w Katowicach, Gierek zrobił krok w kierunku prawdy. Kompleksowa reforma cen i płac w Polsce jest konieczna i niemal wszyscy, nie wyłączając robotników, to rozumieją. Oczywiście zasady i proporcje tej reformy muszą być inne niż te, jakie zaproponował Jaroszewicz 24 czerwca.

Gierek pośrednio uznał to wszystko w czasie swego wystąpienia w Katowicach. Zagrał tam rolę zatroskanego ojca narodu, który nie odejdzie od zasad swej polityki, ale realizację jej uczyni przedmiotem dyskusji ze społeczeństwem. W chwilach kryzysów komuniści nigdy nie szczędzą tego rodzaju zapewnień. Jest oczywiste, że nie mogą przyznać się do rozbratu z narodem. Gierek zrobił wysiłek dla przekonania opinii, ale błędu partii jasno nie potępił. Ciekawszym symptomem była manifestacja wyreżyserowana dla Gierka, skandowanie najwpierw „Partia-Polska”, a potem „Gierek-Polska”. Charakterystyczna była ranga nadana temu spotkaniu w środkach przekazu. Tu chodziło już nie tylko o przekonanie i zdobycie społeczeństwa. Wyrażna była chęć pokazania frakcjom partyjnym i aparatowi, że ekipa Gierka mimo kompromitacji nie odejdzie, nie da za wygraną i *nie ma alternatywy politycznej*.

W dwa dni po wystąpieniu Gierka Jaroszewicz ogłosił na ogół rozsądne zasady zmiany cen, do których przy rzeczywistej chęci konsultacji ze społeczeństwem można było dojść wcześniej i bez zaburzeń. Ceny na mięso, wędliny, drób i cukier będą podwyższone rozsądniej, mniej drastycznie, wprowadzi się za to konieczną podwyżkę cen chleba i pieczywa, by nie karmiono nimi trzody chlewnej. Zapowiedziano wreszcie zmianę mechanizmu zachowania proporcji między cenami i dochodami realnymi ludności.

Zmianie musi ulec jeszcze jedna rzecz mająca znaczenie decydujące. Polska musi się uwolnić od przerastających nasze możliwości obciążeń na rzecz Rosji. Edward Gierek musi wreszcie zrozumieć, że partiotyzm w dzisiejszej Polsce, o którym nieustannie i do znużenia deklamuje, oznacza pewien opór wobec żądań sowieckich. Gierek ma na to obecnie ostatnią szansę. Za żądań sowieckich. Gierek ma na to obecnie ostatnią szansę. Za żądań lub dwa będzie już za późno. Manifestacja ku czci I-go Sekretarza miała dowiedzieć, że nie ma on alternatywy politycznej, że po nim może przyjść tylko gorszy. Co to znaczy gorszy? Jeśli Gierek będzie nadal tak ustępliwy i bezwolny wobec Rosjan, to tak czy inaczej zostanie wysadzony z siodła. I tak będzie z każdym jego następcą. Społeczeństwu jest obojętne czy namiestnik Rosji nazywa się Gierek, Kępa, Olszowski, Babiuch lub Kania. Jeśli wszyscy ci ludzie będą wykorzystywali pożyczki zagraniczne i fundusze inwestycyjne zgodnie z interesem sowieckim, a nie polskim, to opinia skieruje się kolejno przeciw każdemu z nich, ponieważ wszyscy staną się jednakowo pozbawieni autorytetu. Gierek okadzany pochwałami swoich ludzi łudzi się, że



zachował jeszcze dawny autorytet z końca 1970 roku. Obietnic danych narodowi nie dotrzymał, dopuścił do gospodarczego i politycznego uzależnienia Polski od Rosji, jakiego nie było od połowy lat pięćdziesiątych, pomógł narzucić krajowi haniebną konstytucję, nie sprzeciwia się niszczeniu kultury narodowej i wszechwładzy kłamstwa w życiu publicznym. Owozem rządów Gierka są nie tylko ostatnie strajki i zaburzenia, ale także projekt usunięcia z programów szkolnych „Dziadów” Mickiewicza, „We-sela” Wyspiańskiego i wszystkich dzieł Żeromskiego. Sowietyzacja kraju robi szybsze postępy niż w jakimkolwiek okresie trzdziestolecia. Czy w tej sytuacji społeczeństwo zechce bronić Gierka przed wyrastającymi mu powoli konkurentami? Niby w imię czego? Z całą pewnością nie w imię polskości, która jest deptana i lekceważona. Nie funkcjonuje także argument, że ktoś inny, na przykład pan Kępa, będzie jeszcze gorszy. Możliwe. Ale im będzie gorszy tym szybciej zmiecie go fala społeczna. Grudzień 1970 i czerwiec 1976 dowodzą, że nikt nie będzie rządził Polską dowolnie i bezkarnie. Naród, klasa robotnicza, Kościół, intelektualiści mają pełne poczucie swej siły. Każde kierownictwo w kraju musi się z tym liczyć.

W dniach szoku po niedawnych wydarzeniach w Polsce wielu ludzi zadawało sobie pytanie, czy wypadki czerwcowe 1976 roku nie staną się dla Gierka tym, czym były dla Gomułki wypadki marcowe 1968 roku. Początkiem końca. No cóż, Gierek jest zasobniejszy w wiedzę, wie dlaczego po marcu musiał przyjąć grudzień. Trzeba mu też przyznać, że w ostatnim czerwcu potrafił dostatecznie szybko zatrąbić do odwrotu. *Nota-bene* komunistom niedługo zabraknie miesięcy w kalendarzu na oznaczenie wszystkich kryzysów politycznych w PRL. Dlatego z pewnością chcą z programów historii w dziesięciolecie w ogóle usunąć dzieje powojenne, historię rządów komunistycznych.

Obecnie Gierek ma poważną szansę uniknięcia błędów swego poprzednika Gomułki. Paradoksalne, że szansę tę dała mu dostatecznie szybka kapitulacja przed robotnikami. A mogło być dużo gorzej. Byliśmy w kraju o krok od nowego rozlewu krwi. Rozlew krwi żadne kierownictwo komunistyczne w Polsce nie przetrzymało. Gierek dobrze o tym wie i w tym jego siła. Pytanie tylko czy starczy mu charakteru, by nie oszukańczy, w chwili strachu o władzę, ale konsekwentnie i na co dzień wrócić do dialogu ze społeczeństwem. Drugie pytanie dotyczy stosunku do Sowietów. Jest oczywiste, że Gierek i każdy przywódca komunistyczny w Bloku Wschodnim ma stosunkowo małe pole manewru. Natomiast wyzyskanie go w pełni związane jest z ryzykiem utraty władzy. Ryzyko to jest jednak mniejsze niż mogłoby się wydawać. Ludzie w partii gotowi przeciwstawić się Gierkowi są dla Rosjan bardzo problematyczni. Mogą się nimi posługiwać, ale trudno przypuścić, żeby chcieli na nich serio postawić. Są to przecież dawni moczarowcy i nacjonałści z awanturniczej frakcji policyjnej PZPR. Poza tym Rosjanie i cały Blok Wschodni

mają kłopoty grożące załamaniem równowagi gospodarczo-politycznej. Katastrofa Rosji w rolnictwie jest już powszechnie znana. Mniej znany jest fakt, że zadłużenie państw Bloku Wschodniego na Zachodzie wynosi ponad 32 miliardy dolarów i w najbliższym czasie ma wzrosnąć do sumy 40 miliardów. Zadłużenie to powstało w ciągu ostatnich 3-4 lat, co zaalarmowało rządy zachodnie. Rządy te stwierdzają, że Rosja niemal niczego nie robi dla krajów Trzeciego Świata i w zachodnich krajach uprzedmiotowionych zwolna dojrzewa przekonanie, że tam właśnie znajduje się sensowniejszy politycznie teren kooperacji gospodarczej. Rosjanie nie mogą liczyć na niekończące się wzmacnianie swego nieefektywnego systemu gospodarczego zachodnimi kredytami inwestycyjnymi. W tej samej sytuacji jest Gierek i ma wobec Rosjan poważne argumenty za reformami gospodarczymi i politycznymi.

Formalne złamanie jedności świata komunistycznego na konferencji w Berlinie Wschodnim budzi w Rosji pokusę zacieśnienia stalowej obręczy wokół swej bezpośredniej strefy wpływów. Ale Gierek ma wobec Rosjan poważny argument, że w Polsce zawsze prowadziło to do wybuchu społecznego.

Krótko mówiąc, jeśli Gierek i jego otoczenie naprawdę uważają, że nie ma on alternatywy politycznej, to w sytuacji przez nas omówionej może być wobec Rosjan twardszy. Powinny pozbyć się kompleksu, że tylko im zawdzięcza władzę i odsuniecie swoich rywali. Pozycja ruchu komunistycznego w ogóle i w Rosji szczególnie jest taka, że Rosjanie są w sytuacji przymusowej i muszą iść na ustępstwa. Trzeba tylko chcieć ich do tego skłonić. Trzeba bardziej kierować się interesem Polski niż imperializmu rosyjskiego, nawet uznając konieczność pozostawiania w Bloku Wschodnim.

Nie ma już jednej wiary komunistycznej. Ostatnie miesiące przyniosły dwa wydarzenia, które każdemu myślicemu politykowi muszają zmienić optykę. Głównie partie komunistyczne na Zachodzie zrzuciły protektorat Rosji i uznały zasady demokracji i pluralizmu. Nie ważne czy ich przywódcy są szczerzy. Ich nowa linia przynosiła do świadomości mas partyjnych i to ma znaczenie decydujące.

Drugim ważnym momentem dla komunizmu światowego jest fakt, iż ostatni etap rozgrywki w Chinach o spadek po Mao udoświadnił, że nie ma tam frakcji prosowieckiej, a pojednanie z Rosją nie wchodzi w rachubę. Zarówno frakcja ekstremistyczna jak i pragmatyczna jest antyrosyjska. Widmo światowego komunizmu, jednolitego, uniwersalnego systemu totalnego zeszło ze sceny. Zepchnęły go ruchy ze sobą sprzeczne, jak soc-imperializm chiński, pluralistyczny komunizm zachodni i demokratyczna opozycja o różnych barwach ideowych w samym Bloku Wschodnim.

Jednolity i uniwersalny światowy system totalizmu komunistycznego był zawsze niezgodny z prawami wielości kultur, ze zróżnicowaniem społecznym i cywilizacyjnym ludzkości. Rosja



jeszcze przez pewien czas będzie oddawać cześć bożkowi fikcyjnej światowej jedności komunistycznej. W praktyce politycznej jednak kieruje się już tylko i wyłącznie swymi interesami imperialnymi.

Jeśli komuniści polscy chcą mieć jakiś tytuł do władzy, poza plenipotentcją sowiecką, muszą stanąć na gruncie polskich interesów narodowych.

Gierek w pierwszym roku swych rządów zdobył nieco zaufania społecznego. W następnych czterech latach roztrwonił je bez reszty. W piątym roku już miał rozruchy i niemal strajk generalny. Było to chyba ostatnie ostrzeżenie historii. Tylko od Gierka zależy czy przetrwa jeszcze tylko jak Gomułka po 1968 roku, dwa do trzech lat, czy też wyciągnie wnioski z sytuacji i zwróci się na stronę społeczeństwa.

Trzeba zmienić nie tylko metodę podwyżki cen. Należy zmienić metodę rządzenia. Społeczeństwo nie jest dzieciniałe i na nowym kłamstwie pozna się natychmiast.



Wydarzenia będą tak szybko, że w pewnej mierze korygują tezy tego artykułu już w trakcie jego pisania. Co prawda Gierek przemówił po czerwcowych wystąpieniach robotniczych jak gołąb, ale prokuratorzy i sędziowie w czasie procesów przywódców robotników przywdziali szaty jastrzębi.

Te sprzeczności kursu partii można wytłumaczyć tylko jedną z dwóch możliwości. Albo pan Gierek jest tak naiwny, że uważa iż można jednocześnie słodkimi słówkami uśpić opinię publiczną, a procesami zastraszyć robotników, albo I-szy Sekretarz PZPR jest poddawany i ulega naciskowi frakcji dogmatycznych aparatczyków.

Byłbym skłonny wierzyć w tę drugą ewentualność. Nie wróży ona jednak ekipie Gierka niczego dobrego. W końcu obywatelom państwa jest raczej obojętne czy szef partii skłania się do terroru z własnej woli, czy pod wpływem układów wewnętrzno-partyjnych. Fakt wejścia na drogę terroru redukuje do minimum nadzieje, że Gierek wyciągnie z wydarzeń czerwcowych jedyny rozsądny wniosek, jakim byłoby wprowadzenie reform i dialog ze społeczeństwem. Alternatywą reform i dialogu jest właśnie terror. A terror obudzi wcześniej czy później solidarność robotników z ich dyskryminowanymi kolegami, skończy się nowymi wstrząsami społecznymi i zaburzeniami w państwie i w rezultacie wysadzi Gierka z siodła, czego najbardziej pragną ci, którzy skłaniają go do wejścia na tę ryzykowną drogę.

Spotkałem niedawno obcokrajowca żywo interesującego się sprawami polskimi. Zapytał mnie, jak pan sądzi, dlaczego w Polsce komuniści rządzą gorzej niż w innych krajach Bloku Wschodniego, czy wynika to ze specyfiki polskiej partii, ze stopnia przeobrażeń cywilizacyjnych i związanych z nimi przemian

mentalności społecznej, czy też po prostu z polskiego charakteru narodowego?

W odpowiedzi na to pytanie można by napisać i książkę. Z pewnością na złe rządy komunistów w Polsce składają się wszystkie trzy wspomniane współczynniki. Ale najważniejszą wydaje mi się przyczyna jeszcze inna. Są nią Rosjanie, a raczej ich polityka w stosunku do Polski. ZSSR chce rządzić ponad 340-milionowym narodem polskim, zupełnie tak samo jak rządzi w innych krajach Bloku Wschodniego. A to się nie może udać i musi prowadzić do spięć i wstrząsów występujących w Polsce już regularnie co kilka lat.

Naród tak duży, z takimi tradycjami historycznymi i z tak wysokim poczuciem swej odrębności duchowej, nawet osłabiony latami sowietyzacji i zjawiskami wykorzenienia dużych grup społecznych w wyniku przemian cywilizacyjnych nie jest i nie będzie podatny na manipulacje rządów totalnych narzuconych przez obce mocarstwo. Komuniści rosyjscy muszą pojąć, że stosując wobec Polski tę samą miarkę co wobec innych mniejszych i z różnych przyczyn mających słabą odporność kulturową narodów z Bloku Wschodniego — igrają z ogniem i godzą nie tylko w interesy polskie, ale i własne. Edward Gierek musi zaś pojąć, że znalazł się w sytuacji granicznej, że albo wywalczy sobie prawo do nawiązania dialogu ze społeczeństwem, albo grozi mu katastrofa, której nic nie odwróci. Procesy robotników i masowe szkolenie milicji i bezpieczeństwa do walki z tłumem niczemu nie zapobiegnie. Jeśli partia rozjątrzy klasę robotniczą, to będzie miała wkrótce w kraju strajk generalny. Robotnicy coraz rzadziej będą popełniali błąd uciekania się do aktów gwałtu, coraz częściej będą występować spokojnie i masowo w skali całego kraju.

Pan Gierek ma swój los w ręku, tak jak miał go Gomułka po wydarzeniach marcowych 1968 roku. Sam Gierek rozstrzygnie o swoim losie. Nie powinien grać ani z losem, ani z narodem, bo to się źle skończy.

Leo BREIT

## Próba rozbicia "Znaku"

Najbardziej popularnym człowiekiem w 1976 roku w Polsce jest prof. Stanisław Stomma, który jako jedyny odważył się nie głosować w Sejmie PRL za nową konstytucję. Sprawa Stommy największy rozgłos uzyskała w prasie zachodnio-niemieckiej, gdyż przywódca ZNAKU od lat brał czynny udział we wszystkim,



co mogło przyczynić się do pojednania polsko-niemieckiego. Ale o odważnym głosowaniu Stommy i próbach rozbicia ZNAKU pisała niemal cała prasa europejska z *Le Monde*, *Informations Catholiques Internationales*, *Financial Times*, *The Tablet* i wieloma innymi.

O ile można się zorientować chęć rozbicia ZNAKU wiąże się nie tylko z głosowaniem Stommy w sprawie konstytucji, ale jest próbą złamania tego, stosunkowo małego, jednakże niezależnego politycznie środowiska katolickiego. Wygląda na to, że jest to prowokacja aparatu manipulującego nieznaną sprawą Gierkiem i dążącego do usunięcia z polskiego życia środowiska, które dysponuje dużym rozgłosem na Zachodzie. Podejrzenie prowokacji wynika z odpowiedzi jakie uzyskują dziennikarze zachodni od władz PRL na pytania dotyczące ZNAKU. Słyszy się mianowicie, że ZNAK jest powiązany z opozycją, z tzw. „komandosami” z marca 1968 roku, z elementami kosmopolitycznymi (?), itp. Tymczasem śledząc publicystykę uplasowanego niewątpliwie na lewicy posoborowej, naczelnego redaktora *Tygodnika Powszechnego*, Jerzego Turowicza, czy pozytywistyczną linię Stanisława Stommy w Sejmie zarzuty te trzeba uznać za fantastyczne. Choć naturalnie ZNAK znalazłby łatwiej wspólny język z pluralizmem p. Berlinguera czy nawet Marchais, niż z dogmatyzmem pp. Susłowa i Werblana. Wydaje się, że aparat partyjny dąży po prostu do zastąpienia prawdziwych i niezależnych katolików oportunistami. Gra ta prowadzona jest w sposób wyrafinowany. Podobno prof. Stomma miał propozycję pozostania nadal w Sejmie mimo swego stanowiska w sprawie konstytucji. Warunkiem było jednak by pozostali czterej posłowie rekrutowali się z ludzi, którzy właśnie w sprawie konstytucji odstąpili od Stommy i przez lata rzucali mu kłody pod nogi. Naturalnie przywódca ZNAKU nie mógł się na to zgodzić i zrezygnował z mandatu poselskiego, nie chcąc dawać swego nazwiska do fałszywej gry. Przyzwyczajony do ustępliwości ZNAKU aparat partyjny był tym dość zaskoczony i na prędkę powołano Koło Poselskie ZNAK złożone z trzech przeciwników Stommy, którzy głosowali za konstytucją: Łubieńskiego, Zabłockiego i Auleytnera, oraz z dwóch ludzi nowych o których sądzono, że będą przyjęci życzliwie przez Episkopat: prof. Ozdowskiego i docenta Bendera. Z całej tej piątki za jedyne poważnego polityka uchodzi Janusz Zabłocki, który stara się być możliwie najbliższy kardynała Wyszyńskiego i dąży do powołania w Polsce organizacji laikatu katolickiego, związanego z biskupami. Koncepcja ta jest zupełnie nierealna, ale tolerowano ją, aby wygrać Zabłockiego przeciwko Stommie i większości ZNAKU. Obecnie jednak Zabłocki natrafia na pewne trudności, mimo że prowadzi bezwzględnie walkę przeciwko ludziom niemiłym aparatowi partyjnemu. Wobec kilku tysięcy członków wszystkich środowisk ZNAKU, Zabłocki i jego przyjaciele dysponują grupką złożoną zaledwie z 30-40 osób. Wyłoniona przez nich reprezentacja sejmowa przywłaszczyła sobie nazwę

ZNAK i teraz szermując hasłem jedności katolików dąży do tego, by wszystkie środowiska uznały ją za swoje koło poselskie. Oczywiście nie wchodzi to w ogóle w rachubę. Aparat partyjny jest w dość kłopotliwej sytuacji, bo wszystkie osoby związane z administracją państwową znalazły się faktycznie poza środowiskami ZNAKU. ZNAK jest dziś bardziej jednolity niż kiedykolwiek w przeszłości. Wobec tego posłowie pseudo-ZNAKU są inspirowani do publikowania listów otwartych z postulatami jedności, gdyż partii zależy na wlanu wszystkiego ponownie do jednego kotła, by móc w nim dowolnie mieszać i manewrować ludźmi i konfliktami. Partii tak dalece na tym zależy, że daje zezwolenie posłom pseudo-ZNAKU na utworzenie 2-3 Klubów Inteligencji Katolickiej, by potem zainspirować jakoś ich zjednoczenie.

Tymczasem w nowym kole poselskim narastają też nieporozumienia. Jeden z posłów cieszy się całkowitą nieufnością pozostałych, jeden jest uważany za manipulowanego z zewnątrz i schorowanego, a dwóch ma opinię mało zorientowanych oportunistów. Decydujące znaczenie ma fakt, że posłowie są w ruchu katolickim całkowicie izolowani. Także Episkopat widząc grę aparatu partyjnego postanowił chwilowo zachować dystans wobec środowisk świeckich, prowadząc jednakże rozmowy z poszczególnymi ludźmi, aby być zorientowanym w sytuacji.

Środowiska ZNAKU potrafiły obronić swoją jedność i próba ich rozbicia dotąd nie powiodła się. Narażone są jednak na szykany. Uderza się w przedsiębiorstwo „Libella”, finansujące Kluby Inteligencji Katolickiej. Władze bezpieczeństwa wywierają naciski na ludzi, próbują organizować grupki odśrodkowe i werbować agentów. Niektórym przywódcom moralnej utrudnia się wyrazistej bezkompromisowej postawie moralnej utrudnia się kontakt z zagranicą. I tak odmówiono paszportów redaktorowi naczelnemu *Więzi Mazowieckiego*, dyrektorowi wydawnictwa ZNAK — Woźniakowskiemu, czy członkowi zarządu Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie prof. Andrzejowi Grzegorzewskiemu.

Przyszłość ZNAKU zależy oczywiście od rozwoju sytuacji ogólnej w Polsce. Gierek pod wpływem aparatu zaangażował się osobiście w lansowanie Konstantego Łubieńskiego, przyjmując go na oficjalnej rozmowie i czyniąc członkiem Rady Państwa. Ale chory i przedwcześnie postarzały Łubieński nie ma żadnego znaczenia w świecie katolickim i powszechnie przyjmuje się jego karierę jako wyraz fałszywej gry ze strony partii. Władzom trudno także poprzeć posła Zabłockiego, który — bezwzględny w zwalczaniu obecnego ZNAKU — chciałby stworzyć prawdziwy ruch katolicki typu wychowawczo-kościelnego, ideowo zbliżonego do lewicy chadeckiej. Wykluczając takie rozwiązanie władze chcą jednak manewrować osobą Zabłockiego, licząc na jego pochłą jednak manewrować osobą Zabłockiego, licząc na jego pochłą jednak manewrować osobą Zabłockiego, która ostatnio uległa poważnej zycję u kardynała Wyszyńskiego, która ostatnio uległa poważnemu zachwianiu. Pogodzenie się partii z prawdziwym ZNAKIEM



jest też trudne, bo przez całe lata nastawiano aparat przeciwko niemu jako głównemu wrogowi socjalizmu w świecie katolickim. Wreszcie oparcie się tylko na agentach lub ludziach naiwnych jest dla partii bardzo niebezpieczne, bo są to elementy nieobliczalne i społecznie izolowane.

Próba rozprawy aparatu partyjnego ze ZNAKIEM postawiła partię w sytuacji nieco śmiesznej. Wyprowadzić z niej partię mogliby chyba inni ludzie niż ci, którzy dotąd robili politykę wyznaniową. Wydaje się, że w te sprawy powinno wglądać kierownictwo partii, które jest przez aparat dezinformowane. Gierkowie zupełnie nie zdaje sobie sprawy ile traci w opinii europejskiej z powodu ostatecznie zupełnie dla niego niegroźnej i niewielkiej grupy ZNAKU. Na Zachodzie środowisko to posiada rozległe stosunki we wszystkich krajach, w których ma znaczenie świat katolicki. Autorytet moralny ZNAKU jest poważny, a pozycja szczególnie Jerzego Turowicza w dialogu wewnątrz-kościelnym bardzo wysoka. Wszyscy pamiętają też, że *Tygodnik Powszechny* został zlikwidowany w okresie stalinowskim, a jego nazwą posługiwał się PAX. Jest to analogia dla p. Gierka raczej nieprzyjemna.

W oczach obserwatora zagranicznego sprawa ZNAKU wydaje się drobna na tle trudnej sytuacji gospodarczo-politycznej w Polsce. Jednakże jest ona papierkiem lakmusowym oceny tendencji panującej w Polsce. Rezonans zagraniczny tej grupy i znaczenie laikatów w kościele posoborowym czyni z niej dużo poważniejszy problem polityczny niż zdawało się polskiej partii, gdy podejmowała ostatnie decyzje wobec ZNAKU. Rozbijanie jedynej prawdziwej grupy katolickiej w Polsce odbiera wiarygodność całej rzekomo otwartej i pojednawczej polityce państwa wobec Kościoła katolickiego.

*Pierre OLFENIUS*

*(Przekład z francuskiego Z.H.)*

## Dokumenty

### LIST TRZYNASTU DO INTELEKTUALISTÓW ZACHODNICH

Warszawa, lipiec 1976.

Dnia 20. 7. 1976, ogłoszono wyrok w procesie toczącym się w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie, przeciwko siedmiu uczestnikom robotniczej manifestacji, która miała miejsce w fabryce traktorów „Ursus” pod Warszawą, 25. 6. 1976. Uczestnicy tej manifestacji, jednej z wielu odbywających się w tych dniach w naszym kraju na znak protestu przeciw drastycznym pod-

wyżkom cen, skazani zostali na kary od 3 do 5 lat więzienia. Rozprawa odbywała się w warunkach sprzecznych z zasadą jawności postępowania sądowego. Na salę nie wpuszczono nikogo poza najbliższą rodziną, udaremniono dostęp na rozprawę zarówno zagranicznym dziennikarzom jak licznie zgromadzonym intelektualistom i studentom. Robotnicy byli sążeni za czynny udział w „chulięskich zajściach” (*Życie Warszawy*, dn. 17/18 lipca). Bronili ich wyłącznie adwokaci wyznaczeni z urzędu. Jednocześnie odbył się w Radomiu proces uczestników innej manifestacji. Oskarżonych skazano na karę do 10-ciu lat więzienia. Prasa zapowiada kolejne procesy.

Uważamy za swój obowiązek sprzeciwić się określeniu mianem „zajść chulięskich” robotniczego protestu wobec niesprawiedliwej polityki społecznej i autorytatywnych metod sprawowania władzy. Z uwagi na faktyczną tajność rozprawy, niepodobna merytorycznie ustosunkować się do zarzutów podniesionych w akcie oskarżenia. Należy jednak stwierdzić z całą mocą, że odpowiedzialność za naruszenie przepisów prawa w władze administracyjne, w „Ursusie” i innych miastach Polski, spada na władzę administracyjną, które swoim postępowaniem doprowadziły do zniszczenia podstawowych form demokracji robotniczej, unicestwienia powstałych po Październiku 1956 roku Rad Robotniczych, przekształcenia związków zawodowych w martwy i fikcyjny organizm, podległy aparatowi władzy. Jesteśmy zdania, że drogą do uniknięcia podobnych dramatycznych wydarzeń w przyszłości nie mogą być represje wobec uczestników strajków i innych wystąpień robotniczych, lecz walka społeczna o prawa — walka której przejawem były również masowe protesty w sprawie zmian Konstytucji PRL — jest walką o demokratyczny socjalizm, w którym człowiek jest istotą poniżoną, ujarzmioną, opuszczoną i godną pogardy”.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że głos nasz nie może dotrzeć normalną drogą do polskiej opinii publicznej, mimo że jesteśmy głęboko przekonani, że treść naszego apelu wyraża intencje przytłaczającej większości polskiego społeczeństwa. Dlatego też zwracamy się za pośrednictwem Waszej Redakcji do wszystkich ludzi, którzy konsekwentnie bronią praw klasy robotniczej, będących integralnym składnikiem powszechnych praw człowieka.

Apelujemy: pomożcie uwięzionym polskim robotnikom. Wedle powtarzających się uprzejmych relacji, przenikających z więzienia i sali sądowej, organy bezpieczeństwa zastosowały przemoc fizyczną w czasie śledztwa. Podobne, powszechnie znane są fakty masowego zwalniania z pracy innych robotników podejrzanych o udział w manifestacjach strajkowych. Oznacza to dla nich i dla ich rodzin zagrożenie egzystencji materialnej.

Apelujemy do wszystkich, którym droga jest sprawa demokratycznego socjalizmu, do wszystkich, którzy bronili prześladowanych w Chile i w Hiszpanii, w Czechosłowacji i w ZSRR. Zwracamy się do Jean-Paula Sartre’a, pani, w Czechosłowacji i w ZSRR. Zwracamy się do Jean-Marie Domenecha do André Malraux, Eugène Ionesco, Louis Aragona, Jean-Marie Domenacha do Claude Roy, Jean Daniela, Laurent Schwartza. Zwracamy się do Guenthera Grassa, Heinricha Böella, do Arthura Millera i Saula Bellowa, do Eugenio Montale i Ignazio Silone, do Stephena Spendera i Roberta Conquesta. Zwracamy się do wszystkich ludzi, którzy solidaryzują się z walką robotników całego świata o wyzwolenie pracy. Domagajcie się uwolnienia uczestników robotniczego protestu w Polsce.

List podpisali: *Stanisław Barańczak, Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys, Andrzej Kijowski, Stefan Kisielewski, Ryszard Krynicki, Edward Lipiński, Jan-Józef Lipski, Adam Michnik, Halina Mikołajska, Marek Nowakowski, Julian Strykowski, Ks. Jan Zieja.*



## LIST JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO DO PRZEŚLADOWANYCH UCZESTNIKÓW ROBOTNICZEGO PROTESTU

Pełen troski i przygnębienia z powodu krzywdy oraz niesprawiedliwości, jakie Was dotknęły, a także w przekonaniu potwierdzonym co dzień i zewsząd, że moje myśli i uczucia podziela wielu moich przyjaciół pisarzy oraz szerokie rzesze polskiej inteligencji postępowej, zwracam się do Was w tych ciężkich dla Was dniach z wyrazami szacunku i solidarności, a także ze słowami otuchy i nadziei.

Zdaję sobie sprawę, że w obliczu wyroków sądowych, skazujących Was na wieloletnie więzienie, w obliczu gwałtu i przemocy fizycznej, jaką wobec Was zastosowano, w obliczu upokorzeń, jakich zaznacie i w poczuciu bezsilności, która stała się Waszym codziennym chlebem, a która należy przecież do porażek najcięższych wśród ludzkich poniżeń, wreszcie w obliczu zagrożenia Waszej materialnej egzystencji w wyniku masowych zwolnień z pracy, jakie z każdym dniem stają się Waszym udziałem — moje słowa są tylko słowami, ich ciężar jest niewspółmiernie słaby wobec Waszych cierpień. Są one jednak jedyną formą, w jakiej mogę wyrazić swój związek z Wami, moje współczucie i mój sprzeciw.

Pragnę więc, abyście wiedzieli, że w chwili, kiedy władze za pośrednictwem prasy, radia i telewizji, chcąc wprowadzić w błąd opinię publiczną i odwrócić jej uwagę od rzeczywistych przyczyn powstałego kryzysu, pomawiają Was o społeczne szkodnictwo, destrukcyjny anarchizm a nawet chuli-gaństwo — istnieją w Polsce ludzie, którzy uodpornieni na fałsz i obłudę, zachowawszy zdolność odróżniania prawdy i kłamstwa, widzą w Was, prześladowanych robotnikach, nie tylko rzeczników konkretnej i doraźnej sprawy lecz przede wszystkim bojowników o prawdziwą demokrację socjalistyczną oraz swobody społeczne bez których wolność zamiera, oszukane frazes zaczyna rządzić życiem publicznym, Naród w niebezpieczeństwie, życie jednostek bez oddechu.

Myśli i serca tych ludzi skierowane są ku Wam, a cała postępową Europą i Świat z niepokojem patrzą, czy polskie władze odważą się zrzucić z siebie odpowiedzialność na ludzi, którzy przed skutkami błędnych decyzji przestrzegali i swym protestem nie dopuścili do natychmiastowego wprowadzenia ich w życie.

Chciałbym Wam przyrzec osobiście, a także w imieniu grona moich przyjaciół, polskich pisarzy, którzy w Waszej sprawie wystosowali już pisma do wielu wybitnych przedstawicieli świata kultury i polityki w Europie, że nie ustaniemy w staraniach, aby położony został kres prześladowaniom, jakich padliście ofiarami i na jakie nadal jesteście narażeni. Domagamy się amnestii dla niewinnie skazanych i uwieczonych, zwolnienia bezpodstawnie aresztowanych, rehabilitacji skrzywdzonych i oskarżonych, przywrócenia możliwości pracy tym, którzy zostali jej pozbawieni. Dopóki choć jeden z Was, uczestników robotniczego protestu, będzie narażony na przemoc i gwałt, przymusowo oddzielony od rodziny i społeczeństwa, lub szycanowany w pracy oraz w życiu cywilnym — będziemy wedle naszych, niestety bardzo ograniczonych możliwości, stawać w obronie Waszej. Polska jest nie tylko naszą wspólną Ojczyzną, lecz również wspólną własnością. Bronimy jej!

Jerzy ANDRZEJEWSKI

Warszawa, lipiec 1976

## LIST OTWARTY JACKA KURONIA DO BERLINGUERA

„Zwracam się do Pana, jako szefa partii robotniczej, jako do polityka, który walczy o socjalizm zgodny z prawami ludzkimi, jako do komunisty, ponieważ w moim kraju komuniści piastują niepodzielnie władzę.

Zwracam się do Pana z wezwaniem o pomoc dla robotników polskich oczernianych przez prasę, radio i telewizję, bitych przez milicję, aresztowanych, oskarżonych przed sądami o sabotaż, skazanych na długie kary pozbawienia wolności.

Jak Pan z pewnością wie, 24 czerwca premier PRL Piotr Jaroszewicz, członek Biura Politycznego i sekretariatu KC PZPR, przedstawił projekt ogólnej podwyżki cen artykułów żywnościowych. Według tego projektu nowe ceny wielu artykułów miały ulec wyższości o blisko sto procent. Dla dużej części rodzin robotniczych oznacza to — wskutek struktury cen i płac w Polsce — obniżenie poziomu życia poniżej niezbędnego minimum.

Dyskusja w Sejmie ograniczyła się do wypowiedzi posła Edwarda Babiucha, członka Biura Politycznego i sekretarza KC PZPR. Babiuch w imieniu wszystkich grup i klubów poselskich poparł projekt rządowy i zapowiedział konsultacje z robotnikami. Na konsultacje te przeznaczono mniej niż 48 godzin. Świadczy to dostatecznie o fikcyjnym charakterze zapowiedzianych konsultacji.

W tych warunkach robotnicy spontanicznie zareagowali niemal powszechnym wstrzymaniem się od pracy i w różnych miejscowościach odbyły się demonstracje uliczne. Podczas tych demonstracji 25 czerwca około dziesięciu robotników fabryki traktorów rolniczych „Ursus” na przedmieściu Warszawy okupowali linię kolejową Warszawa-Łódź i Warszawa-Poznań przerywając ruch pociągów. Po południu rozebrali szyny i jedna lokomotywa została wykołejona.

W Radomiu przez kilka godzin toczyły się starcia między robotnikami i specjalnymi oddziałami policji. Podczas tych starć podpalono budynek wojewódzkiego komitetu PZPR oraz wzniesiono barykady na ulicach.

Pod naciskiem demonstracji robotniczych władze zrezygnowały z projektu podwyżek cen w 24 godziny po przedstawieniu tego projektu. Komunikat Biura Politycznego PZPR, ogłoszony 14 lipca o zmianach w projekcie podwyżek cen pośrednio przyznaje rację demonstrantom.

Wydarzenia czerwcowe są objawem ciężkiego schorzenia naszego życia społecznego. Cała odpowiedzialność za ten stan rzeczy spada na władze, które pozbawiły klasę robotniczą i całe społeczeństwo jakichkolwiek sposobów wyrażania swych poglądów i obrony swoich interesów.

Historia powtarza się po raz trzeci. W czerwcu 1956 roku w Poznaniu i w grudniu 1970 roku na Wybrzeżu Bałtyckim robotnicy polscy płacili własną krwią za błędy tych, którzy są u władzy. Nie wyciągnięto żadnych wniosków z tych doświadczeń. Także i tym razem nie mówi się bynajmniej o odpowiedzialności władz, lecz jedynie odpowiada się represjami skierowanymi przeciw robotnikom.

Przestępstwa powinny być karane, lecz jest niedopuszczalną rzeczą karanie demonstrantów stawiających opór milicji, jeśli sprawcy krwawej masakry robotników na Wybrzeżu Bałtyckim uszli jakiegokolwiek karze. Zrzucanie na uczestników demonstracji robotniczych odpowiedzialności moralnej i prawnej za szkody spowodowane wskutek niemożności dobrego zorganizowania przez nich demonstracji, nie ma nic wspólnego z praworządnością. Chodzi tu jedynie o odwet ze strony ludzi, którzy przez trzydzieści lat rządzenia nie nauczyli się i nie rozumieli niczego.



W prasie, w radio i w telewizji demonstracje, które zmusiły władze państwowe do zmiany swych błędnych poglądów, określa się jako wyczyny chuliganów, jako akty bandytyzmu i wandalizmu. W różnych miejscowościach rozpoczęto masowe represje przeciw uczestnikom demonstracji i strajków. Ponieważ te demonstracje miały charakter spontaniczny, władze i milicja utraciły panowanie nad sytuacją a represje są teraz skierowane często przeciw osobom, które jedynie przez przypadek znalazły się na miejscu zajść. Wszędzie zwalnia się z pracy robotników; w Radomiu i Ursusie aresztowano wiele osób; ci, co wracają z komisariatów policji, mają na sobie ślady pobicia, niekiedy bardzo poważne.

16 i 17 lipca odbył się w Warszawie proces przeciw 7 robotnikom Ursusa, oskarżonym o sabotaż (art. 220 polskiego kodeksu karnego). Sabotaż, który według aktu oskarżenia, polegał na wykolejeniu przez grupę osób lokomotywy ważącej 40 ton. Oskarżeni nie mogli widzieć swoich rodzin, każdemu oskarżonemu wyznaczono arbitralnie obrońcę z urzędu. Na proces, który formalnie nie toczy się przy drzwiach zamkniętych, nie dopuszczono ani publiczności, ani dziennikarzy, oprócz osób wyznaczonych. Odpowiedzialność oskarżonych jest udowodniana jedynie fotografiami zrobionymi przez milicję. Jeden z oskarżonych dwukrotnie próbował powiedzieć, że w czasie śledztwa pobiło go, lecz przewodniczący sądu nie pozwolił na złożenie tej deklaracji. Jest to pierwszy proces za wydarzenia czerwcowe w Warszawie. Ale w więzieniach znajduje się wielu robotników podejrzanych o podobne czyny.

Robotnicy, nie posiadający własnych organizacji i pozbawieni informacji, są całkowicie bezbronni wobec represji. Reakcja władz zaostrza nastroje nie-nawiści i desperacji. Następny wybuch mógłby stać się tragedią dla narodu polskiego i oznaczać polityczne bankructwo całej lewicy w Europie.

Gdy chodzi o mniejsze miejscowości absolutnie nie posiadamy możliwości nadzoru nad metodami śledztwa ani nad sądami, które są całkowicie uzależnione od władz politycznych.

Jedynie generalna amnestia dla wszystkich uczestników demonstracji czerwcowych może położyć kres terrorowi antyrobotniczemu. Opinia publiczna w krajach, gdzie opinia ta jest prawdziwie niezależna, może podjąć walkę o amnestię.

Wiem, że Europa zachodnia liczy się z Pańskim zdaniem, tak samo jak władze w Polsce.

Zwracam się do Pańskiego sumienia. Oby nie było obojętne wobec tej sprawy.

Jacek KURON

### LIST ELŻBIETY BORUCKIEJ-KURON DO MON'U

Elżbieta Borucka-Kuron  
Warszawa, ul. Mickiewicza 27 m. 64  
w sprawie męża Jacka Kuronia

Warszawa, dnia 20 lipca 1976.

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ  
Biuro Skarg i Zażaleń

Zwracam się z prośbą o rozpatrzenie w trybie pilnym sprawy mojego męża, Jacka Kuronia, ur. 3. III. 1934 r., zam. w Warszawie ul. Mickiewicza 27 m. 64.

Mąż mój w pierwszych dniach lipca br. został wezwany przez WKU Warszawa Żoliborz, gdzie poinformowano go, że zostanie powołany na trzy-miesięczne przeszkolenie wojskowe. Po badaniach internistycznych w Przychodni Rejonowej lekarz uznał go za niezdolnego do odbycia ćwiczeń. W dniu 7 lipca wezwano mojego męża do Garnizonowej Wojskowej Komisji Lekarskiej. W trakcie badań lekarz internista (dr Jerzy Wygowski) zgłosił potrzebę przeprowadzenia badań dodatkowych (EKG, prześwietlenie serca, badania dna oka). Ponieważ wyniki tych badań były niepokojące dr Wybadania zgłosił wniosek o konsultację kardiologiczną. Konsultacja kardiologiczna nie odbyła się, natomiast zmieniono lekarza internistę, który to bez konsultacji kardiologa orzekł nerwicę serca oraz skłonność do nadciśnienia.

Męża mojego poinformowano, że jest zdolny do odbycia służby wojskowej z ograniczeniami. Wręczono mu kartę powołania do odbycia ćwiczeń w terminie od 19. VII. - 17. X. br. w Białymstoku.

Zaniepokojeni złym samopoczuciem męża oraz wynikami przeprowadzonych badań — wobec braku konsultacji kardiologicznej, mimo wniosku lekarza prowadzącego badanie — udaliśmy się do Szpitala Miejskiego w Łodzi na Oddział Intensywnej Terapii i Reanimacji. Stwierdzono w trakcie badań poważną chorobę serca, przeżyty zawał i znaczne nadciśnienie. Zlecono leczenie i oszczędzający tryb życia.

Pełną dokumentację badań kardiologicznych wraz z odwołaniem złożył mąż w dniu 15 lipca br. w WKU Warszawa-Żoliborz. 16 lipca WKU poinformowała męża, że odwołanie wraz z załącznikami zostało przekazane do GWKL. Dnia 18 lipca mąż mój, wobec nie wycofania karty powołania — był zmuszony pojechać do Białegostoku.

Dotychczasowy tryb załatwiania sprawy mojego męża uważam za wysoce niepokojący. Wzięto do wojska człowieka bardzo chorego, któremu w każdej chwili grozi zawał. Zdrowie mojego męża wymaga ciszy, spokoju, odpowiedniej atmosfery. Czy w razie tragicznego obrotu spraw GWKL będzie w stanie podtrzymać swoją decyzję? Czy ceną przeszkolenia wojskowego musi być życie ludzkie?

Elżbieta BORUCKA-KURON

### LIST CZTERNASTU SOLIDARYZUJĄCY SIĘ Z ROBOTNIKAMI

Decyzja o podwyżce cen artykułów żywnościowych, masowe strajki i wystąpienia robotnicze, które wywołała, oraz cofnięcie jej po 24 godzinach — to fakty, które w sposób dramatyczny ujawniły poważną chorobę naszego życia społecznego. Na wysoką ocenę zasługuje rozważa władz, które szybko potrafiły skorygować swoje stanowisko. Dzięki temu udało się uniknąć powtórzenia tragicznych wydarzeń z Poznania 1956 i Wybrzeża 1970 roku.

Wyrażamy solidarność z polskimi robotnikami. Poczucie odpowiedzialności za losy narodu i państwa wymagają uświadomienia sobie powagi sytuacji. Wypadki ostatnich dni dowiodły, że w panującym systemie sprawowania władzy jedyną formą ujawniania się rzeczywistych postaw obywateli są groźne w skutkach wybuchy niezadowolona społeczność. System ten nie może być konstytuowany bez ryzyka nieobliczalnej katastrofy.

Prezes Rady Ministrów zapowiedział wnikliwe rozpatrzenie wniosków i uwag dotyczących struktury cen, oraz ponowne przeanalizowanie sprawy.



Uważamy, że dyskusji nie da się zamknąć w urzędowych gabinetach. Dialogu tego nie można prowadzić w warunkach represji, w czym niektórzy zdają się upatrywać sposób przywrócenia zachwianego autorytetu. Dla autentyczności ogólnonarodowej debaty niezbędne jest istotne poszerzenie swobód demokratycznych. Na porządku dnia stoi powołanie rzeczywistej reprezentacji pracowniczej, bez której nie można dziś miarodajnie rozpatrywać potrzeb i dążeń społeczeństwa. Nie spełniają tej roli związki zawodowe w swej dotychczasowej postaci. Ostatnie wypadki pokazały raz jeszcze ich zupełną fikcyjność. Nie da się również pomyśleć o jakiegokolwiek poważnej i skutecznej dyskusji społecznej bez niezawisłej prasy. Swobodne kształtowanie i wyrażanie opinii publicznej jest niemożliwe bez zagwarantowania wolności zrzeczeń.

Przed paroma miesiącami w dyskusji nad zmianą Konstytucji postulaty te były wyrażane w wielu listach, memoriałach i wystąpieniach obywateli. Głosów tych nie publikowano, autorów szykanowano, a ostatnio zapoczątkowano wobec nich represje. Bieg wydarzeń szybko i dobitnie wykazał niezbędność realizacji przemian postulowanych w debacie konstytucyjnej.

Nikt nie powinien traktować koniecznych reform jako jednostronnych koncesji udzielanych przez władzę. W trudnej sytuacji naszej państwowości są one wyrazem wspólnego narodowego interesu. Są też jedyną gwarancją, że podstawowe sprawy naszego bytu narodowego będą rozstrzygane przez nas samych.

Nakłada to na wszystkich bezwzględny obowiązek zarówno obywatelskiej aktywności, jak i wzmoczonej odpowiedzialności za słowa i czyny.

*Ludwik Cohn, Jakub Karpiński, Stefan Kisielewski, Jacek Kuroń, Edward Lipiński, ks. Stanisław Małkowski, Adam Michnik, Jan Olszewski, Józef Rybicki, Władysław Siła-Nowicki, Aniela Steinsberg, Adam Szczypiorski, Wacław Zawadzki, ks. Jan Zieja.*

## OŚWIADCZENIE JEDENASTU SOLIDARYZUJĄCE SIĘ Z ROBOTNIKAMI

Zdecydowany i masowy protest robotników doprowadził do cofnięcia decyzji drastycznej podwyżki cen. Na szczęście uniknięto tym razem powtórzenia krwawych wydarzeń grudniowych. Jednak rozpetana następnie kampania propagandowa nie różni się od znanych nam z 1956, 1968, 1970 roku. Słyszmy te same epitety: zarzuty o warcholstwo, egoizm, cynizm. Szczególnie oburzające jest, że dziś słowa te padają wobec milczącej rzeszy spędzanej na stadiony inteligencji. A przecież poprawę sytuacji w ciągu ostatnich sześciu lat zawdzięczamy głównie walce robotników. W znacznym stopniu ich zasługą jest to, że władza wykazywała więcej rozsądku, a szykany były bronią rządu stosowaną.

Solidaryzujemy się z polskimi robotnikami. To prawda, że należy karać wybryki chuliganów, które być może towarzyszyły demonstracjom. W pierwszej jednak kolejności powinni być ukarani ci, którzy strzelali na Wybrzeżu w 1970 roku.

Protest robotniczy doprowadził do władzy ekipę 1956 roku i zmiótł ją w roku 1970. Nadal jednak funkcjonuje ten sam mechanizm podejmowania

decyzji za społeczeństwo. Obecne wydarzenia jeszcze raz pokazują, że droga ta prowadzi do nikąd. Nie może rozwijać się kraj, w którym jedyną formą kontroli społecznej są strajki i uliczne demonstracje. Nie ma bowiem chleba bez wolności. Zrozumieli to zarówno studenci w 1968 roku jak i robotnicy Szczecina i Gdańska w roku 1970 żądając autentycznej reprezentacji pracowników. Dlatego sądzimy, że kryzysu, w którym znajduje się nasz kraj, nie niczej. Dlatego sądzimy, że kryzysu, w którym znajduje się nasz kraj, nie rozwiążą fasadowe wiece i fikcyjne konsultacje. Jeśli obywatele mają akceptować podejmowane decyzje, muszą mieć możliwość stałej kontroli poczynania rządu. Rozwiązań należy więc szukać w demokratycznych formach sprawowania władzy: niezależnych związkach zawodowych, wolnych wyborach, wolnej prasie...

Obowiązek wskazywania rozwiązań spada na wszystkich. Zwłaszcza jednak dotyczy inteligencji, której zadaniem jest analiza i ocena sytuacji. Głos nasz potrzebny jest szczególnie dzisiaj, gdy protest robotniczy ujawnił słabość dotychczasowych metod rządzenia. Jeżeli teraz będziemy milczeć — jutro wszystko może powtórzyć się od nowa. Za losy Ojczyzny odpowiadamy bez względu na to, czy dano nam możliwość publikacji w prasie. Piszmy listy otwarte do władz, gazet, osób cieszących się społecznym zaufaniem. Społeczeństwo i władze muszą znaleźć demokratyczną drogę wyjścia.

*Wojciech Arkuszewski, Marek Barański, Seweryn Blumsztajn, Andrzej Celiński, Wiktor Górecki, Antoni Libera, Jan Lityński, Antoni Macierewicz, Marek Majle, Tadeusz Szawiel, Kazimierz Wóycicki.*

Tekst ten przesyłamy na ręce prof. Edwarda Lipińskiego, oraz do wiadomości dzienników centralnych.

*Dokumenty z Kraju docierają do nas często z bardzo dużym opóźnieniem. Spowodowane to jest trudnościami komunikacji i czasami — złą wolą pośredników. Na początku roku bież. projektowaliśmy wydanie w formie książkowej wszystkich tekstów opozycyjnych, tak jak robiliśmy to w poprzednich okresach. Niestety nasi przyjaciele w Kraju z wielu powodów nie mogli tego dla nas opracować. Pragnę jednak zabezpieczyć dokumentację, która może być ważna w przyszłości, publikujemy również teksty, otrzymane z wielomiesięcznym opóźnieniem. Do nich należą trzy drukowane poniżej. (R e d a k c j a).*

## LIST CZTERNASTU DO KOMISJI SEJMOWEJ

Warszawa, 25 stycznia 1976 r.

Adresat: Komisja Sejmowa przygotowująca projekt zmian ustawy konstytucyjnej.

Na posiedzeniu Sejmu w dniu 19 grudnia 1975 roku Edward Babiuch w imieniu Klubu Poselskiego PZPR zapowiedział, że „konstytucyjnego potwierdzenia wymagają również zasady międzynarodowej polityki Polski Ludowej, jej przynależność do światowego systemu socjalistycznego, jej nienaruszalna braterska więź ze Związkiem Radzieckim”.

Prawomocność traktatowych zobowiązań międzynarodowych PRL nie budzi wątpliwości. Jednakże przeniesienie postanowień traktatu sojuszniczego do ustawy konstytucyjnej i nadanie im rangi podstawowej zasady ustrojowej uznawane jest powszechnie jako ograniczenie suwerenności państwa.



Współczesne prawo międzynarodowe upatruje istotę suwerenności w równości praw i obowiązków wszystkich państw. W imię tej zasady w ciągu powojennego 30-lecia społeczność międzynarodowa uznała pełną niezawisłość kilkudziesięciu krajów kolonialnych i półzależnych, znalazła ona ostatnio pełne potwierdzenie w treści układu w Helsinkach.

Proponowana zmiana Konstytucji PRL jawnie przeciwstawia się tym dążeniom współczesnego świata. Jednostronne ustanowienie konstytucyjnej zasady nienaruszalności politycznego sojuszu z sąsiednim mocarstwem jako obowiązującego przepisu prawa wewnętrznego sprowadzałoby PRL do roli państwa o formalnie ograniczonej suwerenności. Realizacja tej anachronicznej koncepcji polityczno-prawnej groziłaby degradacją międzynarodowej pozycji naszej państwowości.

Poczynając od Wielkiej Rewolucji Francuskiej zasada zwierzchnictwa narodu stała się niekwestionowanym dorobkiem postępowej myśli politycznej, przyświecała ona walce naszego narodu o niepodległość państwową i nierozdzielnie z nią związane wyzwolenie społeczne ludu polskiego. Legła ona u podstaw odrodzonej państwowości polskiej, znajdując swój wyraz w pierwszej Konstytucji Rzeczypospolitej z dnia 17 marca 1921 roku. Respektuje ją również artykuł 1 obowiązującej Konstytucji PRL. W tej tradycji historyczno-ustrojowej nie mieści się zasada utrwalania prawnego kierowniczego roli innego państwa, ani też jednostronne wyrzekanie się prerogatyw suwerennej polityki międzynarodowej. Tak bowiem musi być rozumiane uznanie między państwowego sojuszu za normę ustrojową tylko jednego z partnerów.

Niepodważalna zasada zwierzchnictwa narodu nie uprawnia jakiegokolwiek jego reprezentacji do stanowienia praw z tą zasadą sprzecznych. Tragiczne doświadczenie dziejowe naszego narodu, począwszy od „sejmu niemego” w roku 1717, przez kolejne rozbiory, do ostatecznego upadku państwowości, nie pozwalają Polakom zapominać o przestrojach historii. Każą pamiętać, że zgoda na przyjęcie jednostronnych gwarancji ustrojowych i sojuszniczych mocarstwa ościennego była wstępem do wymazania imienia Rzeczypospolitej z mapy politycznej Europy.

Bezmiar cierpień i poniżenia, jakie te wydarzenia przyniosły, wycisnęły trwały ślad w charakterze narodowym. Polacy dobrze znają cenę pokoju i bezpieczeństwa narodowego. Przeszło 30-letni okres obowiązywania traktatu między PRL a ZSSR ukształtował nowe historyczne stosunki między naszymi narodami. Dlatego proponowane w tym zakresie zmiany Konstytucji są zbędne.

List podpisali (odtworzone w porządku alfabetycznym):

*doc. dr Stefan Amsterdamski, Władysław Bartoszewski, adv. Ludwik Cohn, Jerzy Ficowski, dr Maria Hopfinger, Jacek Kuroń, prof. Edward Lipiński, dr Jan Józef Lipski, dr Zdzisław Łapiński, Adam Michnik, prof. Zbigniew Raszewski, Antoni Stonimski, adv. Aniela Steinsbergowa, dr Jacek Trznadel.*

## PROTEST STUDENTÓW PRZECIW ZMIANOM KONSTYTUCJI

*Jest to krząjący w odpisach list 92 studentów Warszawy, Lublina i Wybrzeża, przestany po uchwaleniu poprawek na ręce marszałka Sejmu*

*z wyjaśnieniem, że list z oryginalnymi podpisami znajduje się u profesora Edwarda Lipińskiego, zaś odpisy zostały przestane do sekretariatu episkopatu Polski, do Jerzego Andrzejewskiego i do posta Stanisława Stommy. Oto treść listu:*

„Szanowny Panie Marszałku!

Składamy na Pańskie ręce protest dotyczący trybu uchwalenia treści poprawek konstytucji PRL. Tak ważna dziedzina legislacji jak zmiana ustawy zasadniczej, jest sprawą całego społeczeństwa i musi być poddana ogólnonarodowej dyskusji. Tymczasem społeczeństwo miało możliwość zapoznania się z projektowanymi zmianami dopiero 26 stycznia, a już 10 lutego Sejm uchwalił poprawki. Tak więc od momentu ogłoszenia do uchwalenia minęło 15 dni — okres zbyt krótki, aby wszyscy mogli się wypowiedzieć. Nieporozumieniem bowiem jest twierdzenie jakoby sprawę tę dyskutowano od 4 lat. Dla nie związanych z centrami dyspozycji państwowej czy partyjnej zajęcie stanowiska stało się możliwe dopiero po opublikowaniu ogólnych zarysów zmian, a więc dopiero po 26 stycznia. Nigdzie zresztą nie ogłoszono całości projektu, a jedynie jego fragmenty. Pozorowana zaś dyskusja, którą przeprowadzono w masowych środkach przekazu, była zbyt jednostronna, aby mogła pozwolić posłom na zorientowanie się w stanowisku opinii publicznej. Nie dopuszczono w czasie jej trwania do publikacji żadnych głosów krytycznych.

Nowelizacja konstytucji spowodowała cały szereg zmian budzących obawy, a mianowicie: 1) Instytucjonalizację PZPR jako przewodniej siły politycznej, który to fakt nie ma nic wspólnego z demokracją, także socjalistyczną. PZPR zgodnie ze swym statutem jest partią ateistów, zatem jej instytucjonalizacja stanowi zagrożenie wolności religii i jest faktycznym przekreśleniem równouprawnienia wierzącej części narodu. 2) Jednostronne konstytucyjne zagwarantowanie związków z państwem ościennym, prowadzące do ograniczenia suwerenności.

*Stefan J. Adamski, Aleksander Augustyn, Mieczysław Balicki, Edward Balawajder, Janusz Białach, Irena Bil, Ireneusz Bobrowski, Bogdan Borusewicz, Stanisław Borucki, Antoni Bosak, Andrzej Budzisz, Anna Chojnicka, Gerard Czech, Tadeusz Daniszewski, Piotr Dyk, Krzysztof Fafiński, Mieczysław Fedyk, Tadeusz Fila, Zygmunt Gatecki, Tadeusz Gańko, Adam Gerbatowski, Krzysztof Gebura, Franciszek Girjatowicz, Leonard Górski, Ireneusz J. Gust, Aleksander Hall, Wojciech Hryniewicz, Marzena Jakubowska, Piotr Jaroszyński, Paweł Jaszczuk, Brunon Jędrzejczyk, Czesława Jucewicz, Andrzej T. Jurmakowski, Romuald Kaczmarek, Małgorzata Kaleta, Ewa Kalinowska, Danuta Kędzierska, Wojciech Kępka, Krzysztof Kiszki, Anna Kotakowska, Jacek H. Kominek, Antoni Kraus, Urszula Kropornicka, Maria Krze-Janusz Lewandowski, Paweł Lipowski, Jan Makara, Andrzej Malinowski, Jan Malek, Jerzy Michalak, Anna Młynik, Janusz Molke, Mariusz Olbromski, Piotr Oleś, Jan Paszkiewicz, Andrzej Pawelczyk, Tadeusz Pega, Marian Piłka, Ryszard Pisarski, Adam Plezio, Grzegorz Piłszka, Marek Podgórczyk, Arkadiusz Rybicki, Wojciech Z. Samoliński, Jan Samsonowicz, Jan Skutnik, Ks. Bronisław Sroka S.J., Marian Surdacki, Dorota Szewczuk, Eugeniusz Szymańczyk, Andrzej Szymanik, Krystyna Szymańska, Robert Topola, Krzysztof Trafalski, Jacek Wagner, Teresa Waskowska, Małgorzata Winca, Hanna Wiszniewska, Jerzy Wolszczak, Andrzej Wójcik, Antoni Wrega, Magda Wrega, Lucyna Zajder, Leszek Zdybel, Michał Zdybel, Bohdan Zieliński, Anna Zórawska, Maciej Zylicz, Waldemar Żylik.*



## LIST ADAMA WOJCIECHOWSKIEGO W SPRAWIE OBNIŻANIA JAKOŚCI PRODUKTÓW MIĘSNYCH

Katowice, 3. grudnia 1975 r.

Sejmowa Komisja Rolnictwa  
i Przemysłu Spożywczego.

### MEMORIAŁ

w sprawie systematycznego obniżania jakości przetworów mięsnych  
na skutek zmian w recepturach produkcyjnych.

Obywatele Posłowie.

Celem niniejszego memoriału jest przedstawienie zmian w recepturach do wyrobu wędlin i kiełbas wprowadzonych w ostatnim okresie przez resort przemysłu spożywczego i skupu, jak również zobrazowanie niektórych skutków społecznych, które zmiany te powodują. Żeby należycie ocenić sytuację, trzeba zestawić dwa zarządzenia Naczelnego Dyrektora Centrali Przemysłu Mięsnego: jedno z dnia 1 marca 1972 (PN-13/72), drugie z dnia 15 października 1973 (PN-44/73) — obydwa dotyczące receptur na wędliny i kiełbasy. Pogorszyć jakość wędliny nie trudno, można to uzyskać w dwójki sposób: zastępując lepsze gatunki surowca, gorszymi, czy wprost zastępując mięso tłuszczem, bądź zwiększając w wyrobieniu ilość wody, co fachowcy nazywają „zwiększeniem wydajności”.

Dajmy przykład.

Receptura stara, z 1972 roku, przyjmowała dla kabanosów średnią wydajność 54 %, co znaczyło że ze 100 kg. mięsa należało wyprodukować średnio 54 kg. kabanosów.

Receptura nowa, z 1973 roku, podwyższyła wydajność do 64 %, nakazując produkować z tej samej ilości surowca 64 kg. kabanosów, czyli o 10 kg. więcej!

Proceder, niesłusznie nazywany „wzrostem wydajności”, nie ma nic wspólnego ze wzrostem sprawności, czy organizacją pracy wędliniarza, gdyż polega tylko na zmianie receptury, w wyniku której wędlina zawiera więcej wody — powiedzielibyśmy jest mniej sucha. Proceder ten obniża w sposób oczywisty dla każdego jakość wędliny, ale pomnaża zysk wytwórcy — państwa, pozwalając przy okazji „zaoszczędzić” deficytowy surowiec jakim jest mięso.

Wiemy zatem kto zyskuje, zobaczymy kto traci i ile?

Obliczając stratę nabywcy, należy zwrócić wpierrw uwagę na dodatkową okoliczność. Twórca nowej receptury nie zadowolilił się w tym przypadku „wzrostem wydajności”, ale zmienił proporcję surowców. W starej recepturze wieprzowina Kl. I stanowiła 40 %, zaś wieprzowina Kl. II — 60 % surowca. W nowej recepturze proporcja jest: 30 % — 70 %, czyli że powiększono udział mięsa niższej klasy o 10 %.

WNIOSEK: Nowa receptura pogorszyła jakość kabanosów w ten sposób, że zmieniła proporcję lepszego i gorszego gatunku surowca i zwiększyła ilość wody w produkcji.

Stratę nabywcy obliczyć łatwo.

### RECEPTURA KABANOSÓW

1972 r.

wydajność 54 %: 1 kg. wyrobu — 1,85 surowca

		Cena		
Wieprzowina I Kl. — 40 %	0,74 kg.	39,63 zł.		
Wieprzowina II Kl. — 60 %	1,11 kg.	50,30 zł.		
<b>Razem: 100 %</b>	<b>1,85 kg.</b>	<b>89,93 zł.</b>		<b>I.</b>

1973 r.

wydajność 64 %: 1 kg. wyrobu — 1,56 kg. surowca

		Cena		
Wieprzowina I Kl. — 30 %	0,47 kg.	25,17 zł.		
Wieprzowina II Kl. — 70 %	1,09 kg.	49,29 zł.		
<b>Razem: 100 %</b>	<b>1,56 kg.</b>	<b>74,56 zł.</b>		<b>II.</b>

RÓŻNICA I — II = 15,37 zł.

Strata nabywcy na 1 kilogramie kabanosów wynosi 15,37 zł., co oznacza w stosunku do ceny detalicznej wzrost o 12,8 %, o tyle samo w praktyce wzrosła cena kabanosów, z tym że jest to podwyżka ukryta. Można zapytać ile kosztowała nabywcom podmianna gatunków surowca, a ile woda w wędlinie? Obliczenie jest nietrudne.

### RECEPTURA KABANOSÓW

1973 r.

wydajność 64 %: 1 kg. wyrobu — 1,56 kg. surowca

		Cena		
Wieprzowina I Kl. — 40 %	0,62 kg.	33,20 zł.		
Wieprzowina II Kl. — 60 %	0,94 kg.	42,60 zł.		
<b>Razem: 100 %</b>	<b>1,56 kg.</b>	<b>75,80 zł.</b>		<b>III.</b>

RÓŻNICA III — II = 1,24 zł.

WNIOSEK: Gdyby poprzestano na „zwiększeniu wydajności” nie dokonując podmiany gatunków nabywca straciłby o 1,24 zł. mniej, z czego wynika, że za wodę w wędlinie nabywca płaci od października 1973 roku 14,13 zł.

Podaję dla przykładu, za nowymi normami, „wzrost wydajności” niektórych wyrobów:

Nazwa	Ilość mięsa		Różnica
	1972 r.	1973 r.	
Jałowcowa	73 %	78 %	5 %
Krakowska sucha	65 %	69 %	4 %
Myśliwska	60 %	66 %	6 %
Litewska	84 %	90 %	6 %

Co się tyczy wędlin popularnych, czyli wędlin grupy I (cena do 49 zł. za kilogram), nowe receptury nie zwiększyły wydajności. Tłumaczy się to



w ten sposób, że dotychczasowe normy były i tak wyrubowane. Na przykład, średnia wydajność mortadeli wynosi 140 %, czyli ze 100 kg. surowca produkuje się 140 kg. wyrobów! Nowe receptury obniżyły natomiast ilość mięsa na korzyść tłuszczu i tak np.:

Nazwa	Ilość mięsa		Różnica
	1972 r.	1973 r.	
Mortadela .....	69 %	62 %	7 %
Zwyczajna .....	80 %	65 %	15 %
Serdelowa .....	65 %	58 %	7 %

Rok 1974 przyniósł dalsze pogorszenie jakości wędlin popularnych. Na przykład, w produkcji kiełbasy litewskiej i zwyczajnej, dopuszczono do zastąpienia mięsa wołowego Kl. I lub Kl. II wieprzowiną Kl. IV (Zarządzenie Dyrektora Woj. Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego w Katowicach z dn. 20. I. 1974 Nr 2/74).

Pan Dyrektor uczynił to — jak czytamy w zarządzeniu — „... w celu zagospodarowania mięsa wieprzowego Kl. IV” — nie trzeba dodawać, że podmiana gatunku nie pociągnęła za sobą obniżenia ceny wyrobu. Jakość wędlin popularnych pogarsza stosowanie tzw. emulsji tłuszczowo-kolagenowych. Są to mieszaniny elementów odpadowych, takich jak: pachwina, kój międzymięśniowy, skórki, gorsze gatunki tłuszczów, które dodaje się do wyrobów w znacznych ilościach np. przy produkcji kiełbasy serdelowej w ilości 5 kg. na każde 100 kg. surowca. Zapewniams, przykłady można by mnożyć, proceder pogarszania jakości wędlin rozwija się w najlepsze. Pora położyć temu kres, mając na uwadze skutki społeczne, które za sobą pociągają. Oto niektóre z nich.

1. Istnieje poważne zagrożenie zdrowia u spożywających gorsze jakościowo gatunki wędlin. Wędlina uwodniona, z dodatkiem elementów odpadowych jest podatniejsza na zepsucie i wymaga staranniejszego przechowywania. Zwłaszcza wędliny popularne, jeżeli nie przechowywane w lodówce łatwo się psują. Wzrasta możliwość zatrucia jadami kiełbasianymi wśród tych, którzy lodówek nie posiadają, przede wszystkim wśród mieszkańców hoteli robotniczych. Trzeba podkreślić, że gorsze gatunki wędlin, nie nadają się do długiego przechowywania nawet w lodówkach. Bywa, że w momencie sprzedaży, wędlina nie nadaje się do spożycia, gdyż była za długo przechowywana w sklepie, czy kiosku przyzakładowym.

2. Receptury mają zasięg ogólnopolski, lub regionalny, nabywca nie ma zatem wyboru, jest w sytuacji bez wyjścia. Może zostać jaroszem, albo kupować tylko najlepsze gatunki wędlin. Tymczasem wiadomo że ceny serów znacznie przewyższają ceny wędlin popularnych, natomiast lepsze gatunki wędlin są reglamentowane. Dotyczy to wszystkich regionów w Polsce.

Należy obalić mit o rzekomo bogatym zaopatrzeniu Śląska w przetwory mięsne. W I-szym kwartale bieżącego roku władze województwa katowickiego wydały zakaz sprzedaży wędlin lepszej grupy niż I w kioskach przyzakładowych, także tych funkcjonujących przy kopalniach. Górnik, hutnik czy metalowiec na Śląsku, mógł więc kupić sobie na śniadanie wędlinę, której cena nie przekraczała 49 zł. za kilogram.

3. Nowe receptury demoralizują pracowników zakładów masarniczych. Receptura nakazująca uwadnianie wędliny i zastępowanie lepszych gatunków mięsa, gorszymi *nolens volens* zachęca wędliniarza, by przechylał miarkę bez ograniczenia, zastępując surowiec wodą. Jest to najłatwiejsza droga do malwersacji i przywłaszczenia mienia społecznego, tym łatwiejsza że znajdująca pozorne usprawiedliwienie jednostkowe, w oficjalnej polityce pogarszania jakości wędlin.

#### 4. Wreszcie skutki polityczne.

Po wydarzeniach grudniowych w 1970 roku, cofnięto szkodliwą podwyżkę cen podstawowych artykułów żywnościowych, w tym wędlin. Także Sejm w niedawnej uchwale zapewnił społeczeństwo, że ceny nie zostaną podwyższone przynajmniej do końca 1975 roku. Uchwałę podjęto już wówczas, gdy *de facto* nastąpiła ukryta podwyżka cen, wskutek pogorszenia jakości wędlin. Proceder ten trwa już 2 lata! Zysk państwa i straty społeczeństwa należy obliczać w miliardach złotych.

WNIOSEK: Należy bądź powrócić do receptur z marca 1972 roku, bądź obniżyć cenę wędlin stosownie do cen używanych surowców. *Tertium non datur!*

Władnym do przeprowadzenia tych zmian jest Sejm, piastujący najwyższą władzę w P.R.L.

Jako obywatel i wyborca wzywam was, Obywatele Posłowie do zainteresowania Ministra Przemysłu Spożywczego i Skupu w sprawie nowych receptur na wyroby wędliniarskie, oraz do powołania Komisji Sejmowej na mocy art. 21 Konstytucji dla zbadania sprawy.

Adam WOJCIECHOWSKI

## Kronika

W końcu listopada 1975 roku do Zakładu Techniki Biurowej „Predom-O.R.G.” w Warszawie, przy ul. Bema 77 przyszło dwóch funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa. Po przedstawieniu się dyrektorowi wyrazili życzenie sprowadzenia do jego gabinetu Janusza Krzyżewskiego, pracownika umysłowego w tym zakładzie, sążonego w procesie „Ruchu” w 1971 roku i skazanego wówczas na 2 lata, którą to karę odbył w całości i opuścił więzienie w Strzelcach Opolskich w 1972 roku.

Po wstępnej rozmowie, funkcjonariusze odwieźli Krzyżewskiego do Pałacu Mostowskich. Tam, grożąc pozbawieniem pracy, indagowali o kontakty z kolegami i proponowali współpracę.

Ni to rozmowę, ni to przesłuchanie prowadził p. Kijowski, od wielu lat zajmujący się inwigilacją osób podejrzanych o myślenie i działanie odmiennie od urzędowego. Mimo stanowczej odmowy Krzyżewskiego co do rozmawiania w przyszłości na jakikolwiek temat ze służbą bezpieczeństwa, Kijowski zapowiedział powtórne spotkanie.

Po kilku miesiącach Krzyżewski został zaproszony na rozmowę, która tym razem odbyła się poza Pałacem Mostowskich, bo w kawiarni „Domu Chłopa”. Kijowski w towarzystwie drugiego funkcjonariusza ponowił groźby i propozycję współpracy. Groźby dotyczące pozbawienia pracy opierały się na fackie, że Krzyżewski jest jedynym żywicielem rodziny utrzymującym żonę i dwoje dzieci. I tym razem Krzyżewski odmówił. W kilka tygodni później, już w marcu 1976 roku, zjawił się w mieszkaniu Edwarda Staniewskiego w Warszawie przy ul. Grochowskiej funkcjonariusz służby bezpieczeństwa i wypytywał o jego kontakty z kolegami proponując równocześnie współpracę. I tu spotkano się z odmową. Edward Staniewski był więziony w sprawie „Ruchu” przez półtora roku, wcześniej natomiast, w czasach stalinowskich, spędził już kilka lat w więzieniu. W pierwszej połowie marca



1976 roku, służba bezpieczeństwa zwróciła się do dyrekcji Technikum Kolejowego na Szczęśliwicach w Warszawie, aby wymówiono pracę Andrzejowi Czumie, wykładającemu tam kilka godzin tygodniowo specjalistyczną tematykę taryf przewozowych i zatrudnionemu na podrzędnym etacie na kolei. Dyrekcja nie oparła się naciskowi i zwolniła Czumę. Andrzej Czuma był głównym oskarżonym w procesie „Ruchu” i został skazany na 7 lat więzienia, które opuścił jesienią 1974 roku. Pod naciskiem służby bezpieczeństwa, dyrekcja Zakładu Techniki Biurowej w Warszawie, gdzie pracują Janusz Krzyżewski i Emil Morgiewicz wydała rygorystyczne zarządzenia ograniczające dostęp pracowników zakładu do maszyn powielających. Nie poprzestając na tym, służba bezpieczeństwa zaczęła wywierać presję aby zwolniono z pracy przynajmniej Morgiewicza. Emil Morgiewicz spędził 4 lata w więzieniu za uczestnictwo w „Ruchu” a później, po wyjściu, kiedy przedstawił memoriał o stanie polskiego więzienia został 27 sierpnia 1975 roku wraz z Adamem Wojciechowskim uwięziony ponownie. Choć w kilka tygodni później obaj zostali zwolnieni, śledztwo w ich sprawie trwa nadal. W związku z tą sprawą szczególnie terrorowi policyjnemu został poddany Adam Wojciechowski zamieszkały w Katowicach, pracujący w Oddziale Zaopatrzenia Górniczego Przedsiębiorstwa Przemysłu Gastronomicznego w Katowicach. Służba Bezpieczeństwa nakazała zabezpieczenie wszystkich maszyn do pisania w biurze oddziału, nadto prowadzi ustawicznie i demonstracyjnie inwigilację jego osoby. Nie dość na tym, funkcjonariusze służby bezpieczeństwa w Katowicach wywierają presję na kolegów Adama Wojciechowskiego i członków jego rodziny, żądając aby oni wyperswadowali jemu szkodliwość takiego zachowania.

Nadto, 5 marca 1976 roku Adam Wojciechowski został skreślony z listy aplikantów arbitrażowych mocą decyzji Prezesa Okręgowej Komisji Arbitrażowej w Katowicach p. Krawca. Decyzja ta została utrzymana w mocy przez Prezesa Państwowego Arbitrażu Gospodarczego. Wreszcie nastąpiło wypowiedzenie pracy z dniem 1 kwietnia 1976 roku. 18 marca 1976 roku wezwano Adama Wojciechowskiego do Komendy Miejskiej M.O. w Katowicach, gdzie major M.O. oświadczył, że władza ludowa nie może mu zapewnić bezpieczeństwa osobistego.

W tydzień potem, dnia 25 marca 1976 roku Wojciechowski został potrącony przez samochód na ulicach Warszawy i ze wstrząsem mózgu przewieziony na oddział chirurgii urazowej szpitala wolskiego.

## „P A X”

Z kraju dochodzą wiadomości, że szef „Paxu” Bolesław Piasecki jest poważnie chory. Jego ludzie powiadają, że jest to choroba ze zmartwienia.

„Pax” znalazł się w politycznym ślepych zaułku. Przyczyny są głębsze niż znane powiązania Piaseckiego z Moczarem, a potem ze Szlachcicem. Ekipa Gierka chcąc wykazać się wobec ZSSR ofensywnością ideologiczną, a nie mogąc uderzyć w Kościół, postanowiła ograniczyć ugrupowania katolickie, a w tym „Pax”. Paxowska doktryna wieloświatopoglądowości komunizmu została potępiona. „Pax” jest ograniczany i poddawany różnym szykanom. Kazano mu zmienić statut. Zniesiono tzw. Sekretariat „Paxu”, będący instytucjonalnym naśladowaniem instancji partyjnej. Piasecki nie jest już wybierany przez Walne Zebrania, ale przez Zarząd. Partia wskazała mu kogo ma mianować wiceprezesem. Został nim Stefanowicz, który nie uzyskał niezbędnej ilości głosów, by wejść do Zarządu. Wobec czego wybory

sfalszowano. Piasecki ratował się wyborem jeszcze dwóch wiceprezesów: Przetakiewicza i Reiffa. Do organizacji „Paxu” wprowadza się agentów. Nawet jeden z posłów „Paxu” ma taką opinię. Jednocześnie „Pax” nie zdołał znormalizować swoich stosunków z Episkopatem i nadal obstaje przy najbardziej dogmatycznej frazeologii socjalistycznej.

## „... JESZCZE O CENZURZE W PRL'u”

Jakkolwiek sprawie cenzury, jej działaniu i mechanizmom zarówno *Kultura* jak i inne emigracyjne pisma poświęcały w przeszłości sporo uwagi i miejsca, sprowokowany notatką *Kultury* nr 7/8 (1976) z 12-topunktowym „zapisem” tematycznym cenzury w PRL'u, gwoli uzupełnienia podaję kilka najnowszych informacji dotyczących tego podwórka.

Aktualnie istnieją dwa rodzaje zapisów cenzury. Pierwszy to mniej lub bardziej trwale utrzymująca się w czasie lista tematów co do których istnieje zakaz publikacji. Aktualnie liczy ona około 400 pozycji. Przy czym, zakaz publikacji w tym przypadku nie obejmuje samego tematu, bo jego tytuły brzmią bardzo często zupełnie niewinnie, ale dotyczą określonego sposobu czy sposobów merytorycznego czy formalnego ujęcia tych tematów.

Ten rodzaj zapisów, który w praktyce umożliwia jeszcze co bardziej znanym i „ustawionym” redaktorom dyskusje z cenzorem, czasami nawet skuteczne, ma służyć (i służy!!!) jako mechanizm zdalnego sterowania bracią piszących. Nic więc dziwnego, że w środowiskach dziennikarskich nikt się z tym zawodem nie utożsamia a koleżeńskie odezwanie się „per dziennikarz” od lat uznawane jest za obraźliwe.

Drugi rodzaj zapisów, to zakazy publikacji, jak się to popularnie w Warszawie mówi — przez biały dom. Tworzone są na gorąco *ad hoc*, metodą telefonicznych zleceń do urzędów cenzury. Zakazowi w tym przypadku podlega już sam temat, stanowi on nienaruszalny tabu i nawet „wzięci” czy „znani” słysząc z ust cenzora „miałem telefon” — nie podejmują dyskusji. Nie trzeba dodawać, że szereg zapisów tego rodzaju to kurioza nie tylko w historii dziennikarstwa, ale i w historii... cenzury. Ostatnio np., już po rewolucyjnych czerwcowych wydarzeniach w PRL'u, pojawił się nowy zapis w postaci zakazu publikacji na temat... „Jubileusz”.

Zrozpaczonym dziennikarzom, którzy „wpadli” w tym czasie na ten „dobry” pomysł napisania landrynkowych, w końcu, laurkowatych i zupełnie odpolitycznionych artykułów na temat takiego czy innego jubileuszu i to nie często na zlecenie swoich naczelnych, cierpliwie wyjaśniano, że nie można w aktualnej sytuacji denerwować robotnika opisami takiego czy innego „świętowania”, skoro wiadomo... że każda taka impreza oprócz medali, orderów i dyplomów posiada w swoim porządku bankiet, ze stołem daleko odbiegającym w treści od skromnego robotniczego czy urzędniczego.

Nie mnie kuriozalny jest fakt, że zapisy cenzury nie tylko nie są podawane do wiadomości publicznej, ale również nie są oficjalnie znane ich bezpośrednim adresatom tj. dziennikarzom!!!

Znany urząd z ul. Mysiej nie wydaje żadnych biuletynów informacyjnych w tej sprawie. Informacja ludzi prasy i pióra, ogranicza się jedynie do okazjonalnych konferencji cenzury z redaktorami naczelnymi (nie wszystkim), na których podaje się do wiadomości i omawia jedynie pewne grupy tematyczne objęte zapisem, i z takich czy innych względów uznane za szczególnie ważne.



Taką metodą zmusza się dziennikarza nie tylko do „samodyscypliny politycznej” ale i do „wszechstronnego ciągłego samokształcenia politycznego”. — Zmusza, bo każdy dziennikarz „może” pozwolić sobie na pięciokrotne zdjęcie artykułu przez cenzurę w roku. Sześć interwencji cenzora to w konsekwencji zaproszenie „na rozmówkę”, a do tej... jakoś nikt z piszących się nie pali.

MAREK

ZAPRENUMERUJ **“AN  
POLITYCZNY  
KWARTALNIK EKS”** A N E K S  
do ocenzurowanej prasy  
w Polsce

W nr. 11 m.in.: PRZECIWKO LEGALIZACJI BEZPRAWIA — A. Smolar, Protesty; St. Gomułka: Uwagi do planu 1976-80; Zb. Brzeziński: Stosunki międzynarodowe — kryzys i przemiany; St. Morawski: Cenzura wobec sztuki.

Wkrótce w nr. 12 m.in.: A. Chcielewska: List do przyjaciół; Cz. Krzysztofor: Katolicyzm a sprawa polska; M. Korybut: Refleksje o opozycji; J. Walecki: O niebezpieczeństwie politycznej neutralizacji dewocyjnych katolików w Polsce; T. Baczan: Religia a ludzie marginesu.

Rocznie — cztery numery, ok. 640 s.: Skr 36; dol. 10.

Zamówienia wraz z wpłatą prosimy przesyłać na adres:

**ANEKS, P.O.Box 23057, 750 23 Uppsala, SWEDEN.**

## Archiwum polityczne

### Korespondencja z Rzymu

W interesującym szkicu, zamieszczonym w czerwcowym numerze pt. „Imperializm sowiecki a przemiany w ruchu komunistycznym”, Zbigniew Byrski twierdzi, że nie można walczyć skutecznie równocześnie z sowieckim imperializmem i komunizmem, mając na myśli jego zachodnią postać, czyli tzw. eurokomunizm. Uważa przy tym, że priorytet należy dać walce z imperializmem sowieckim ponieważ partie komunistyczne Europy Zachodniej przeszły ewolucję i mogą — jego zdaniem — odegrać istotną rolę w dywersji antysowieckiej jako „rzeczywisty sojusznik Zachodu”. Alternatywa ta jest, moim zdaniem, fałszywie postawiona. Takie rozszczepianie może służyć — nie neguję — roboczym, hipotetycznym rozważaniom. Na płaszczyźnie jednak operatywnej nie ma sensu — może nawet prowadzić do złudnych, co więcej, niebezpiecznych konsekwencji. Być może za oceanem optyka ulega pewnym załamaniom w tej materii tak żywo interesującej amerykańskich sowietologów, zachęcając właśnie do tego rodzaju sztucznego rozszczepienia.

Nie da się oczywiście zaprzeczyć że główne, zachodnie partie komunistyczne (zwłaszcza włoska) przeszły poważną ewolucję w ciągu powojennego 30-lecia. „Proces socjaldemokratyzacji” włoskiej partii umożliwił jej niemal podwojenie głosów (ok. 18 % w roku 1947, 34 % w czerwcu bież. roku). Reformistyczny program społeczno-gospodarczy o charakterze interklasowym i odwrócenie „dyktatury proletariatu” nie zmieniły w niczym wewnętrznej struktury i życia tej partii. „Centralizm demokratyczny” obowiązuje nadal, nie ma mowy o jakimkolwiek *dissenso*, a krytyka kierownictwa ogranicza się — podobnie jak w PZPR — do nieistotnych szczegółów. Doły partyjne przejmują obecną „nową linię” przekazywaną przez rygorystycznie zhierarchizowane ogniwka aparatu i akceptują ją, to prawda, bo przynosi sukcesy, pozwalając komunistom na obsadzenie licznych instancji adminis-



tracji terenowej, a po ostatnich wyborach umożliwiając zwiększony udział w prezydium i komisjach parlamentarnych. Stalinowska baza (obliczana na około połowy członków, tj. prawie milion osób) ucichła — trzeba ją jednak raz po raz uspakajać. Naczelny teoretyk PCI, Luciano Gruppi, asekurowuje ją, pisząc: „W budowie socjalizmu, która winna być stopniowa, małe i drobne przedsiębiorstwa są powołane do spełniania pozytywnej funkcji, aczkolwiek pełnię socjalizmu osiąga się tylko poprzez całkowite uspołecznienie środków produkcji”. Gruppi zwracał się do „rewolucyjnej” bazy wówczas kiedy Sergio Segre, szef wydziału zagranicznego uspakajał kapitalistów amerykańskich i europejskich, prezentując „reformistyczne” oblicze partii, by asekurować ich gotowość do inwestowania i udzielania Włochom pomocy gospodarczej mimo ewentualnego udziału PCI w rządzie (na razie do tego nie doszło, ale powstrzymanie się od głosu komunistów w sejmie okazało się determinujące dla aprobaty chadeckiego *monocolore*). Niepowodzenie „nowej linii” może na dalszą metę doprowadzić do przewrótowania Berlinguera i jego ekipy kierowniczej, do odzicia w bazie, naszpikowanej agentami KGB, przytłumionych „nostalgicznych ciągot stalinowskich”. Dopóki w tej bazie tkwi sowiecka „piąta kolumna”, stanowiąca alternatywę dla obecnej linii „socjaldemokratycznej”, dopóty wszelkie twierdzenia na temat rzekomej antysowieckiej funkcji „eurokomunizmu” odłożyć należy do kategorii hipotez. Z przemówień samego Berlinguera (w ostatnich latach) można zresztą wysnuć wniosek, że koncepcja „kompromisu historycznego” przynajmniej na razie z różnych motywów jest traktowana jako faza przejściowa. Zdaniem Berlinguera tylko w ZSSR istnieją „przesłanki prawdziwej wolności i demokracji” ponieważ w tym kraju „kapitalizm został obalony” (!). Znakomita większość zachodnich ekspertów, skwapliwie opukujących PCI, czyni zasadniczy błąd w stawianej diagnozie (co prowadzi do proponowania fałszywych środków terapeutycznych): strategii i taktyki tej partii nie należy oceniać według interpretacji marksistowskiej. Dla PCI drogowskazem jest Gramsci (czyli Lenin przełożony na włoski), jego pragmatyzm i „filozofia praktyki”. Stąd od czasu słynnego „zwrotu w Salerno” w roku 1944 (powrót Togliattiego z ZSSR) partia włoska postawiła najpierw na opanowanie nie władzy w Państwie, lecz w Społeczeństwie, penetrując i w dużym stopniu okupując najważniejsze, newralgiczne ogniwa życia zbiorowego: związki zawodowe, domy wydawnicze i prasę, szkolnictwo, administrację lokalną. Dziś kładzie bardziej nacisk na opanowanie „zgromadzeń szkolnych, rejenowych, dzielnicowych” niż na wejście do rządu centralnego. Hasłem jest rząd „ocalenia narodowego”, walka *unitaria* (jednościowa). Wszystko tak dobrze nam znane.

Jeśli chodzi o zakres autonomii uzyskany w łonie międzynarodowego ruchu komunistycznego, PCI płaci za to, jak również za możliwość konstruowania swego nowego *image*, obojętnością, brakiem konkretnego zainteresowania i angażowania się na rzecz przeobrażeń politycznych i społeczno-gospodarczych w

bloku sowieckim. Podczas kiedy dla ofiar faszystowskich reżymów i junt wojskowych (z wyjątkiem oczywiście junt „postępowych”, tzn. popieranych przez lokalnych komunistów, tak jak w Portugalii przed nieudanym puczem w ub. roku) demonstruje w natychmiastową solidarność — przesładowania w reżymach komunistycznych kwituje głuchym milczeniem lub w najlepszym razie wykrętnymi i dwuznacznymi deklaracjami. Typowy przykład stosowania tej podwójnej miary stanowi reakcja PCI na „list otwarty” Jacka Kurońa do Berlinguera w sprawie ostatnich zamieszek robotniczych w Polsce. Wszystkie gazety włoskie opublikowały fragmenty tego listu — nie mogła tego nie uczynić *Unità*, organ PCI. „Wykreśliła się jednak sianem”, twierdząc że Kuroń podaje „własną wersję faktów” i przypominając że „atakował w latach 60-tych PZPR z pozycji lewicowych”, co przyrównuje polemicznie i pejoratywnie do stanowiska „pewnych grupów” w Europie Zachodniej”. Organ chadecji *Il Popolo* zdemaskował tę próbę pomniejszenia znaczenia listu Kurońa jako faktu kłopotliwego i niewygodnego, dodając że autora „listu otwartego” powołano do wojska, co stanowi „subtelnie perfidną walkę przeciwko dysydemtom”. Po dwóch dniach ukazał się na łamach *Unità* komunikat biura prasowego PCI, informujący o wystąpieniu noty do KC PZPR, która „formułuje nadzieję, że środki zmierzające do wykazania umiaru i wyrozumiałości mogą być zastosowane, przypominając że robotnicy miażdżą sprzeczności i konfliktów społecznych bez poważnych zaburzeń”. Nie takiej reakcji, wykrętnej i sybillińskiej, oczekiwał Kuroń. Dysydenci komunistyczni wschodnio-europejscy, o podobnej formacji umysłowej jak Kuroń, przeceniają skuteczność oddziaływania „eurokomunizmu” na rzeczywistość bloku sowieckiego. Jeszcze w latach 60-tych niektórzy „rewizjonści” marksistowcy, polscy i czescy, wykorzystywali odmienny, włoski „model” komunistyczny jako broń taktyczną przeciwko „panzerkomunizmowi”. PCI zawsze jednak poświęcała interesy wschodnio-europejskiej opozycji socjalistycznej na rzecz dobrych stosunków z odnośnymi *Establishment*ami komunistycznymi. Nie ulega wątpliwości, że dysydenci nie doceniają prostego faktu: Berlinguer — podobnie jak Marchais — doskonale zdaje sobie sprawę, że Moskwa lęka się by zachodni „model” komunizmu nie zaraził jej strefy wpływów, że Breżniew akceptuje „eurokomunizm” jedynie pod warunkiem nie ingerowania w sprawy wewnętrzne bloku oraz popierania przez zachodnie kompartie sowieckiej polityki zagranicznej. Dowody? Cała sowiecka gra dyplomatyczna i jej cele na Bliskim Wschodzie, w Afryce (Angola, Somalia, Mozambik), Azji, Ameryce Łacińskiej, znajdują pozytywny oddźwięk w polityce zachodnich partii komunistycznych. Potępienie przez Moskwę izraelskiego raidu na lotnisko w Entebbe dla uratowania życia zakładników skwitowane było natychmiast przez „eurokomunistów” jako „bandycka napaść” i „pogwałcenie suwerenności” Ugandy.



Wracając jeszcze na chwilę do reakcji „eurokomunizmu” na czerwcowe wypadki w kraju, należy dodać że największa centrala związków zawodowych (CGIL), opanowana przez komunistów, zignorowała apele o solidarność z polskimi robotnikami. Radni komunistyczni próbowali storpedować nawet rezolucje protestujące przeciw represjom w Polsce, przedłożone w zarządach komunalnych (np. w Rzymie i Mediolanie) przez radnych chadeckich, socjalistycznych i laickich. Zostali izolowani, ale Moskwie nie narazili się. Winę za kryzys polski — według „pogłębionej analizy” organu ideologicznego PCI, pisma *Rinascita*, ponosi nie PZPR, lecz... „Kościół Katolicki, zacofana, drobna własność chłopska, uzależniona kulturalnie i moralnie od hierarchii katolickiej” oraz kapitalistyczny Zachód, ponieważ każe sobie „drogo płacić za cenne urządzenia przemysłowe”. Chyba wystarczy, by wszelkie mądre dysertacje na temat „eurokomunizmu” sprowadzić z bezdroży na płaszczyznę faktów\*.

#### Przeciw „wyrokowi śmierci”

Stosunki pomiędzy ukraińskimi katolikami a Stolicą Apostolską zastrzyły się ponownie w ostatnich miesiącach. Kardynał Josif Slipyj nie weźmie udziału w 41-szym Kongresie Eucharystycznym w Filadelfii (1-8 sierpnia) ponieważ Paweł VI zawiadomił go, że uważa to uczestnictwo za „niewskazane” (bez podania motywów). *Roma locuta, causa finita!* Oficjalne źródła watykańskie zachowują na ten temat milczenie, a interpelowane nie potrafią ukryć zażenowania. Zaskakującą decyzję papieską poprzedziły dwa fakty.

Na początku maja miał obradować w Rzymie pod przewodnictwem kard. Slipyja stały Synod (*Sinodo Permanente*) ukraińskiego Kościoła, składający się z pięciu członków, będący najwyższym organem wykonawczym (odpowiada Radzie Głównej episkopalnej w Kościele rzymsko-katolickim). Miał on przygotować propozycje dla zwołania Synodu patriarchalnego (*pendant* plenarnej Konferencji Episkopatu). Przewodniczący watykańskiej Kongregacji dla Kościołów Wschodnich, kard. Philippe (Francuz) zakomunikował, że Stały Synod „nie posiada podstaw prawnych i nie powinien się odbyć”. Do tej pory Stolica Apostolska przymykała jedno oko kiedy zbierał się ten Synod, uznając milcząco fakt dokonany. Dlaczego tym razem doszło do drastycznej decyzji papieskiej i formalnego zakazu wydanego przez kompetentną Kongregację?

Istnieje od lat zasadnicza kontrowersja: wschodnie prawo kanoniczne wyposaża Synod każdego Kościoła wschodniego w szerokie uprawnienia, m.in. w całkowitą autonomię jeśli chodzi o nominacje biskupów. Zasada ta nie jest stosowana wobec katolickiego Kościoła Ukraińskiego: watykańska Kongregacja dla Ko-

\* Redakcja *Kultury* nie zgadza się z niektórymi stwierdzeniami D. Morawskiego.

ściołów Wschodnich stoi bowiem na stanowisku, że hierarchia tego Kościoła, jako pozbawiona jurysdykcji terytorialnej, nie może korzystać z autonomii zastrzeżonej dla wszystkich innych Kościołów obrządku wschodniego. Kardynał Slipyj i biskupi ukraińscy twierdzą natomiast, że przysługuje im jurysdykcja personalna (nawet jeśli przyjąć, że jurysdykcji terytorialnej nie mogą wykonywać na skutek siły wyższej, tj. okupacji sowieckiej); wobec tego utrzymują, że Synod ma prawo wyboru biskupów przedstawianych następnie Papieżowi do zatwierdzenia.

Stolica Apostolska nie uznaje urzędu patriarchalnego w Kościele Ukraińskim (bo brak mu podległego terytorium) a tytuł Patriarchy dopuszcza jedynie w liturgii (co uważa za koncesję), odmawia uznania kanonicznej ważności Synodu tego Kościoła i usurpuje sobie prawo do nominacji biskupów; co więcej, czyni to nawet bez konsultacji z kard. Slipyjem, co byłoby gestem nie bez znaczenia. Jak już donosiłem w swoim czasie, Kongregacja dla Kościołów wschodnich mianowała w ub. roku dwóch biskupów dla ukraińskiej diaspory: w Londynie i Buenos Aires, a ostatnio — w czerwcu — administratora apostolskiego w Filadelfii. Nominaci watykańscy czynią wszystko co mogą, by wywdzięczyć się watykańskiej Kongregacji i lojalizm ich, nie mający granic, rozdrażnia duchownych i świeckich w odnośnych skupiskach ukraińskich. Trudno się oczywiście temu dziwić. Społeczność ukraińska uważa słusznie, że uprawnienia, odmawiane im przez Watykan, nie są przywilejami, lecz prawami uznany mi przez Unię Brzeską w 1596 roku, potwierdzonymi przez tradycję orientalną i przez Dekret o Kościołach Wschodnich, promulgowany na Soborze Vaticano II. Kontrowersja ta ciągnie się od lat: watykańska Komisja dla rewizji kanonicznego prawa wschodniego nie jest w stanie od przeszło sześciu lat zakończyć swych prac. *Curiosum*: w komisji tej „łacinicy”, tj. eksperci reprezentujący obrządek rzymsko-katolicki, posiadają większość.

Drugi fakt: Kongregacja dla Kościołów Wschodnich zawiesiła w kilku przypadkach ważność święceń ukraińskich kapłanów żonatych. Bp Rusnak, sufragan ukraiński w Toronto, wyświęcił niedawno trzech duchownych żonatych, powołując się na wiekową tradycję, uznaną zarówno w Kościołach obrządku bizantyjskiego jak i w Cerkwi prawosławnej, która nie wymaga celibatu. Mimo zasuspendowania nowych kapłanów przez Watykan bp Rusnak zezwolił im na spełnianie funkcji duszpasterskich (tylko biskup udzielający święceń ma prawo je cofnąć). Znowu spór: Stolica Apostolska, tzn. jej organ wykonawczy czyli Kongregacja dla Kościołów Wschodnich, stoi na stanowisku, że celibat nie obowiązuje jedynie na terytorium podlegającym jurysdykcji danego Kościoła wschodniego, a nie tam gdzie istnieje większość łacińska. W Castelgandolfo pod Rzymem (gdzie znajduje się *nota-bene* letnia rezydencja papieska) kard. Slipyj wyświęcił w marcu na kapłana, syna dawnego proboszcza parafii greckokatolickiej św. Norberta w Krakowie, zmarłego w Wenezueli w 1968 roku. Ks. Zenon Chruszcz (syn Pawła) studiował dwa lata na



katolickim Uniwersytecie Ukraińskim w Rzymie. W tym przypadku Patriarcha Josif mógł powołać się na dyspozycję uznającą kapłanów żonatych, pochodzących z unickiej archidiecezji lwowskiej (mogą być wyświęceni *fuori territorio* tj. poza terenem podlegającym jurysdykcji wschodniej). Ks. Chruszcz powrócił do Caracas, gdzie miejscowy nuncjusz apostolski *ustnie* go zaskądził. Kongregacja watykańska nie miała odwagi wydać na piśmie tego polecenia. Zaszedł więc typowy przypadek wyrażenia milczącej zgody.

Opisane wydarzenia wywołały konsternację i oburzenie w głównych ośrodkach ukraińskiej diaspory w Kanadzie i USA. W Waszyngtonie odbyły się protestacyjne manifestacje łącznie z pikietowaniem nuncjatury apostolskiej. W odezwie ukraińskiego towarzystwa „Za patriarchat” czytamy m.in.: „nuncjatura jako wykonawca dyrektyw watykańskich jest narzędziem przewrotnych zabiegów polityków watykańskich i moskiewskich, zmierzających do narzucenia wyroku śmierci na katolicki Kościół Ukraiński”. Udział ukraiński w kongresie eucharystycznym w Filadelfii wobec nieobecności sędziwego Patriarchy będzie ograniczony i tylko *a titolo personale*. Decyzja watykańska wywołała ponadto bojkot nowego sufragana bp. Lostena, mianowanego administratorem apostolskim w Filadelfii. Dla zademonstrowania solidarności z kard. Slipyem nie odwołano natomiast dwóch imprez zaplanowanych równoległe z Kongresem: zjazdu laikatu zwołanego przez światową federację towarzystw „Za patriarchat” oraz zjazdu zasłużonego ukraińskiego Towarzystwa Naukowego.

Część prasy zachodniej jednostronnie informowana, fałszywie interpretuje stanowisko hierarchii ukraińskiej. Niektóre organy prasowe w Anglii (niestety również *Catholic Herald*) powtarzają wyświechtane frazesy o rzekomych dążeniach do utworzenia narodowego Kościoła Ukraińskiego, co miałyby usprawiedliwiać politykę watykańską na tym odcinku, czując na groźbę ukraińskiego nacjonalizmu, który wciąż spędza sen z oczu przywódców na Kremlu. Jest to wypaczenie ekumenicznego stanowiska Patriarchy Josifa, który w niedawnym apelu do „wszystkich ukraińskich chrześcijan” (katolików, prawosławnych, baptystów, protestantów) wzywał do jedności i rzucił konkretny projekt wspólnej biblii! Do konfuzji w prasie przyczynił się w Anglii fakt, iż wierni, bez zgody watykańskiego lojalisty bp. Horniaka, zorganizowali zbiórkę na Fundusz Patriarchalny, bojkotując oficjalną kolektę w kościołach. Prasa angielska, nie orientując się lub fałszywie informowana, przypisała tę zbiórkę motywom personalnym, stając po stronie przeciwników kard. Slipyja. W związku z tym należy zwrócić uwagę, że przy biskupie Horniaku kręcą się pewni współpracownicy nie tylko oddani duszą i ciałem Watykanowi, ale również inspirowani przez KGB. Mój dawny znajomy i znakomity sowietolog David Floyd powinien o tym chyba wiedzieć, a jeśli nie, to zachęcam go do lepszego rozeznania w tej sprawie. Kwestia tej kontrowersyjnej zbiórki była już zresztą wyjaśniona autorytatywnie w lutym br. z okazji 84-tej rocznicy

urodzin Patriarchy Josifa, kiedy zjawiała się tu delegacja ukraińskich wiernych z Anglii. Patriarcha wyjaśnił wówczas że sumy zbierane na ten Fundusz przeznaczone są na utworzenie filii katolickiego Uniwersytetu Ukraińskiego w Londynie.

Spór watykańsko-ukraiński toczy się więc nadal: po fali pozorowanego czy rzeczywistego odprężenia następuje przyływ napięcia; Hierarchia ukraińska (mam na myśli jej niezależny trzon — a nie manipulowanych, watykańskich figurantów) zamierza wytrwale bronić tradycji wschodnich i uprawnień swego Kościoła przeciw latynizacji, akcentując przy tym bez przerwy łączność ze Stolicą Apostolską. Latynizacja. Otóż to. Obecne usztywnienie Watykanu na tym odcinku należy przypisywać nie tyle chęci niedrażnienia Moskwy, ile obawom o niepożądany wzrost tendencji ku decentralizacji. Uznanie szczególnych praw i przywilejów Kościoła ukraińskiego (np. w zakresie nominacji biskupów i celi-batu) mogłoby — zdaniem pewnego odłamu Kurii Rzymskiej — wywołać negatywny wpływ na Zachodzie i na obszarach „trzeciego świata” (wzmoczenie się panujących aspiracji do rozszerzania autonomii lokalnych Kościołów). Trudno powiedzieć jak dalece w łonie Kurii Rzymskiej są uzasadnione te obawy o możliwość dezintegracji struktur kościelnych, ale nawet gdyby nie były pozdezintegracji podstaw nie może to stanowić usprawiedliwienia dla uporczywego limitowania autonomii Kościoła ukraińskiego. Przewornicy centralistycznej orientacji watykańskiej („chcą wszystko kontrolować”) utrzymują, że mamy do czynienia z postawą arystokratyczną (tzn. niedemokratyczną), biurokratyczną i imperialną, jednym słowem, zacofaną i przeciwstawiającą się duchowi czasów. W tym sporze odbija się jak w soczewce zasadniczy i aktualny problem-dylemat: czy ważniejsze są prawa pisane, interpretowane *nota-bene* rygorystycznie i centralistycznie kontrolowane, czy też aspekt pastoralny (*salvare le anime*) i ekumeniczny? „Co możemy ofiarować prawosławnym, skoro Stolica Apostolska postępuje w ten sposób wobec nas?” To zasadnicze pytanie, które pada w rozmowach z ukraińskim klerem, pozostaje na razie bez odpowiedzi.

### „Mniejsze zło”

Kiedy piszę te słowa brak ścisłych informacji na temat stanowiska zajętego przez Episkopat w kraju w sprawie czerwcowych zamieszek i represji wobec robotników. Można przyjąć, że zgodnie z dotychczasową linią postępowania w analogicznych okolicznościach, polska hierarchia, uznała za konieczne nie podsycać burzliwych nastrojów, orientując się doskonale, że przyczyny nagłego wybuchu tkwią głębiej niż niezadowolenie z samej podwyżki cen. Episkopat dobrze wyczuwał nastroje i rejestrował ostrzegawcze sygnały rosnącego zaniepokojenia. Występował więc w konkretnych kwestiach o znaczeniu ogólnospołecznym. W Zalesiu pod Warszawą, 25 maja, Prymas Polski stwierdził między innymi:



„Nie możemy pogodzić się z obecną sytuacją... gubimy się w domysłach i staramy się przewyciężyć niepokój społeczny... jedyną drogą do przezwyciężenia go i umocnienia pokoju jest zachowanie sprawiedliwości wobec wszystkich obywateli pracujących wytrwale, cierpliwie i wydajnie... W tych dniach byłem w Ursusie. Mieszka tam 34 tysiące ludności. Zatrudnieni tam w zakładach mechanicznych ludzie pracują bardzo ciężko, narażając się na choroby zawodowe na skutek złych warunków pracy”.

W tym samym kazaniu Prymas Polski, poruszając różne bólki życia zbiorowego stwierdził:

„... Zgłaszają się do mnie różni zagraniczni korespondenci, aby im o tym powiedzieć. Odpowiadam: Nie! Ja o tym z korespondentami zagranicznymi mówić nie będę, bo wstydzę się za stosunki panujące w mojej Ojczyźnie... Gdy jestem w mojej Ojczyźnie, mówię całą prawdę publicznie, ale nawet w naszych kołach politycznych powtarzają sobie, że Prymas kiedy jest za granicą to nic złego o nich nie mówi. Istotnie, mówię całą prawdę tylko tutaj, w Polsce, bo jestem obywatelem własnej Ojczyzny i mam prawo i obowiązek mówić!”.

Na 153 plenarnej Konferencji Episkopatu (12 czerwca w Przemysłu, z okazji uroczystości 600-lecia istnienia diecezji) zatwierdzono „pismo skierowane do marszałka Sejmu w związku z projektem ustawy o przejmowaniu i zagospodarowaniu nieruchomości rolnych”. Projekt ten przewiduje przymusowe przejmowanie przez Państwo Fundusz Rolny ziemi źle uprawianej, zadłużonej lub niedostatecznie zagospodarowanej. Niebezpieczeństwo kryło się w rozciągliwej interpretacji terminu „grunty źle zagospodarowane”. Stanowisko zajęte w tej sprawie przez Episkopat, jak również krytyczne wystąpienie na komisji i na plenum Sejmu ekonomisty, docenta Ozdowskiego (posta grupy „Neo-Znak” (spowodowały wycofanie przez rząd pierwotnej wersji tej ustawy. Należy przypomnieć profetyczną niemal przenikliwość biskupów, zwłaszcza Prymasa Polski, bijących od dawna na alarm z powodu fatalnej i krótkowzrocznej polityki rolnej, nie tylko zaniedbującej drobne gospodarstwa rolne, ale zmierzającej świadomie do rozbudowy PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych (por. korespondencję w numerze czerwcowym).

### *Kąkol, jezuiti i prawda o Kościele*

Walka trwa. Zmieniły się jedynie metody zwalczania Kościoła i jego wpływów. Leży przede mną znamieny dokument: streszczenie prelekcji min. K. Kąkole, szefa Urzędu d/s Wyznań, wygłoszonej w czerwcu w ramach kursu szkolenia politycznego dla dziennikarzy PAP-u i partyjnych aktywistów sektora propagandy i agitacji. Kąkol podaje wytyczne jak należy działać by nie dopuścić do wzmocnienia społecznego oddziaływania Kościoła, czego należy wystrzegać się, jak dążyć do osłabienia autorytetu i kompromitowania biskupów oraz wygrywania rozbieżności po-

między stanowiskiem polskich biskupów a Stolicą Apostolską. W tym celu Kąkol wykorzystuje „krytyczne głosy” prasy zachodniej. Chwali reportaż zamieszczony w organie austriackich jezuitów, o którym już wspominałem. Anonimowe wywiady, przeprowadzone z rzekomymi „czołowymi przedstawicielami polskich katolików świeckich”, służą szefowi Urzędu d/s Wyznań, do atakowania „wewnętrznych struktur kościelnych”, ocenianych przez organ jezuitów jako „przestarzałe i konserwatywne”.

„Jeśli nie jesteśmy w stanie wyeliminować Kościoła, powinniśmy uczynić wszystko co możliwe by nam nie przeszkadzał” — twierdzi min. Kąkol i ze szczególną uwagą stara się wyszkolić partyjnych dziennikarzy w metodologii zwalczania „nauki społeczno-politycznej kardynała Wyszyńskiego”.

W nr. 4-5 pisma *Chrześcijanin w świecie*, wydawanego przez katolicki Ośrodek Dokumentacji i Studiów Społecznych, zast. red. nac. Jerzy Skwara, opublikował „list otwarty” do Redakcji *Entschluss*, replikując na skandaliczny w/w. reportaż pt. „Kościół w Polsce — wyzwoliciel czy ciemiężca”, który tak podobał się szefowi Urzędu d/s Wyznań. Brak dotąd potwierdzenia czy pismo austriackich jezuitów zamieściło tę replikę. Autor słusznie demaskuje „jezuicką” metodę posługiwania się świadectwami rozmówców krakowskich, kryjących się pod anonimowymi szльдami („dziennikarz”, „ksiądz”, „pianistka”) „unikających w ten sposób odpowiedzialności za wygłoszone poglądy”. Po rozprawieniu się z fałszywą diagnozą sytuacji Kościoła w kraju, Skwara odpiera atak pisma na Prymasa Polski

Niestychane wystąpienie organu austriackich jezuitów doczekało się zatem zasłużonej odprawy ze strony przedstawiciela polskich środowisk katolickich. W Kurii Rzymskiej sprawa ta wywołała pewne poruszenie, a nawet oburzenie. Trudno mówić o sankcjach: zakon jezuitów jest niezależny, jako wiekowa i cenniona podpora Kościoła, angażuje jednak pośrednio autorytet Stolicy Apostolskiej. Skończyło się prawdopodobnie na natarciu uszu nieodpowiedzialnym (za słowo i rachuby) jezuitom przez kardynała wiedeńskiego Koeniga. „Z jezuitami mamy raz po raz kłopoty” — mówi mi dobrze zorientowany wysoki funkcjonariusz jednej z watykańskich dykasterii — „kilka lat temu warszawska prowincja jezuitów rozesała bardzo osobliwy i tendencyjny dokument — raport o sytuacji Kościoła w Polsce, zdezawuowany następnie przez polską hierarchię, teraz brudzą z kolei austriaccy jezuiti”.

*Dominik MORAWSKI*

Pisane 1-2 sierpnia 1976



## Widziane z Brukseli

### Błyskawica

„Nazym się — facet mówił po angielsku z ostrym niemieckim akcentem — Ahmed el Kubeisi, jestem żołnierzem jednostki im. Che Guevary z okręgu Gazy, należącej do armii Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny”.

To prawdziwie internacjonalistyczno-rewolucyjne zagajenie byłoby nawet zabawne, gdyby nie odbywało się na wysokości 10.000 m. przy szybkości 1.000 km. na godzinę i nie było skierowane przez interfon do 250 pasażerów francuskiego Airbusa, który właśnie wystartował z Aten dokąd przybył z Tel Awiwu, aby udać się do Paryża. Niemiec, podający się po angielsku za Araba, porywał właśnie — z imieniem Allaha i Che Guevary na ustach — francuski samolot, który zamiast w Paryżu wylądował najpierw, na krótko, w Bengazi, w Libii a potem na dłużej na lotnisku Entebbe, w Kampali, stolicy Ugandy...

Pierwszy o porwaniu dowiedział się rząd izraelski. Ateńscy kontrolerzy ruchu przeważnie strajkują, albo są na sjeście, więc nie zwrócili uwagi, że Airbus przestał się meldować. Natomiast w Izraelu kontrolerzy ruchu powietrznego nie mają sjeisty. W każdym razie nie ci, którzy dzięki dość skomplikowanym urządzeniom (skomplikowane urządzenia to specjalność Izraela) śledzą przez 24 godziny na dobę cały światowy dialog powietrzny. Oni od razu odnotowali milczenie Airbusa, tym bardziej podejrzane, że samolot leciał z Tel Awiwu, że na jego pokładzie znajdowało się ponad 100 obywateli Izraela (nie licząc nieizraelskich Żydów) i że dialog się urwał po starcie z Aten, gdzie lewatyński bałagan już nieraz prowadził do dramatów...

Jest 27 czerwca 1976, godz. 14-ta. Jak co niedziela, gabinet Rabina obraduje. Nagle jeden z urzędników podruca ministrowi transportu (według kompetencji) depeszę o porwaniu. Niepotrzebnych Rabin odsyła do domu, formuje natomiast coś w rodzaju grupy operacyjnej: kilku bezpośrednio zainteresowanych ministrów oraz fachowcy wojskowi, sztab generalny, wszystkie wywiady. Kiedy w poniedziałek o 3.40 nad ranem Airbus ląduje w Kampali, w Jerozolimie akcja „Błyskawica” jest w toku...

### Kak w kino

Bez precedensu, fantastyczna, fascynująca, zapierająca dech w piersiach, palce lizać, no, no, ah, uf, no wiecie państwo, coś

takiego, kto by się po nich spodziewał, no i rzeczywiście, jednak potrafili, ależ narozrabiali, tffu, wszystkim pokazali jak się to robi, prawdziwa błyskawica...

Państwo zapewne myślą, że te okrzyki dotyczą akcji komandosów izraelskich, którzy po przelecie 4.000 km. na czterech Herkulesach nad terytorium obcym i wrogim, wylądowali na lotnisku w Kampali, wyzwolili zakładników, unieszkodliwili piratów (trzech, zdaje się, wzięli żywych ze sobą) zniszczyli kilkanaście Mig-ów, po godzinnej operacji wrócili do domu i wtopili się z powrotem w szare, anonimowe wojsko, ujawniając jedynie nazwisko dowódcy akcji, który, jak często w izraelskim wojsku zginął od kuli w plecy kiedy jako ostatni ładował się do już kołującego Herkulesa...

Nie, o tym wszystkim napisali już inni, dawno i z detalami. Tym razem hasło „Błyskawica” i wszystkie przymiotniki dotyczą nie operacji w Kampali a rekordowej szybkości z jaką wydana została książka o wyprawie. Napisał ją w kilka dni dziennikarz izraelski Uri Dan z *Maariv'u*, po angielsku redagował ją równocześnie angielski dziennikarz William Stevenson, cenzura wojskowa wyrzucała w tym samym czasie „niepotrzebne” paragrafy, a zanim jeszcze książka wyszła w druku to już była drukowana w odcinkach przez wielkie i bogate tygodniki w 17 krajach na całym świecie, z wyjątkiem oczywiście świata socjalistycznego, który skazany jest na czytanie przygód kpt. Czechowicza oraz trzeciego świata, który przeważnie nic nie czyta.

Pisanie o akcji „Błyskawica” we wrześniowej *Kulturze* byłoby tym bardziej bez sensu, że w chwili kiedy dojdzie ona do czytelnika, już nie tylko wyjdzie książka i to we wielu językach (gdybym był panem na Maisons-Laffitte, wydałbym ją także po polsku); według informacji z Montrealu książka „Akcja Błyskawica” pobiła tam wszystkie rekordy olimpijskie, rozeszła się w kilka godzin po ukazaniu się na półkach księgarń we „wiosce” olimpijskiej, przy czym bardzo wiele egzemplarzy powędrowało wraz z medalami na wschód, także do Warszawy (gdzie, jak wiadomo, bardzo ubóstwiają tradycyjne od 1967 roku choć przeważnie przesadne opowieści o zwycięstwach polskich Żydów nad sowieckimi Arabami czy Afrykanami), więc nie tylko już będzie książka, ale będzie także na ukończeniu film. Kosztem 12 milionów dolarów, to znaczy o wiele drożej niż kosztowała sama akcja, p. Steve McQueen odegra tam rolę gen. Szomrona, naczelnego dowódcy operacji. Pojęcie „Błyskawica” będzie tym razem uzasadnione, jako że do dziś jeszcze nie ukończono filmu na temat masakry sportowców izraelskich w czasie olimpiady monachijskiej w roku 1972, w którym — też kosztem wielu milionów dolarów — p. William Holden gra rolę, mniej wdzięczną, szefa policji zachodnio-niemieckiej. Szkoda, że obu filmów nie można pokazywać razem. Zestawienie takie wykazałoby kiedy, w jaki sposób, jak i na jakiej zasadzie należy z terrorem walczyć. Kto, gdzie i kiedy gwałci prawa ludzkie i międzynarodowe. Gdzie zaczyna się i gdzie kończy suwerenność i o co tu w ogóle chodzi,



jak mawiał — przy innej, choć też terrorystycznej, okazji — były minister Beck.

### *Dwa suwerenne drobiazgi*

Porozmyślajmy nad suwerennością. Pojęcie to raczej abstrakcyjne, mniej lub bardziej ośmieszona w praktyce, od dawna służyło wyłącznie do przykrywania wszelakich świństw i do ukrywania czegoś wręcz przeciwnego, nigdy jednak nie było bardziej cynicznie eksplotowane niż po Entebbe.

Według Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, suwerenność to niezależność władzy państwowej od wszelkiej władzy w stosunkach z innymi państwami i organizacjami międzynarodowymi. Choć WEP — zupełnie bez poczucia humoru — dodaje że w państwach niesocjalistycznych nosicielem suwerenności jest klasa panująca, ale że natomiast w państwach socjalistycznych nosi ją naród, to po prostu mówiąc, suwerenność oznacza, iż na terenie określonego państwa *tylko* jego władze decydują o tym co się tam dzieje i że nikt nie ma prawa się do tego mieszać. Jest to oczywiście brednia, żadne państwo z wyjątkiem USA, ZSSR i Chin nie decyduje samo o tym co się na jego terytorium dzieje, a żadne państwo włącznie — a nawet przede wszystkim — z tymi trzema nie przestrzega tej świętej definicji.

Niemniej, nie ulega kwestii, iż akcja izraelska w Entebbe stanowiła niewątpliwie pogwałcenie prawa międzynarodowego i zasady suwerenności, tak jak są one określone w WEP oraz przez równie niepoważną np. Kartę ONZ. Oczywiście, p. Waldheim — najgorszy sekretarz generalny ONZ i wierny druh kanclerza Kreisky'ego, teoretyka kapitulacji — zajął wobec izraelskiej akcji ostre stanowisko, bo ubiega się o ponowny wybór na to intratne stanowisko i musi liczyć się z drugo- i trzecio-światową większością w ONZ, ale jest to uzasadnienie niepełne. Formalnie bowiem biorąc, kiedy komandosi izraelscy lądowali w Kampali bez zaproszenia a nawet bez uprzedzenia marszałka Amina, zabijając jego palestyńskich gości oraz ok. 20 żołnierzy ugandyjskich, niszcząc Mig'i i pałac budynki portu powietrznego w Entebbe, formalnie więc biorąc święta suwerenność Ugandy została niewątpliwie uszkodzona.

Ale tylko formalnie biorąc. W istocie bowiem takie przedstawienie sprawy, a tak właśnie była ona przedstawiona np. w ONZ lub w propagandzie komunistycznej, pomija dwa drobiazgi: życie ludzkie i międzynarodowy terror. Oba te drobiazgi, bez znaczenia dla niektórych bardzo postępowych doktryn prawnopaństwowych, mają jednak swe znaczenie dla Izraela. Przeszarałe niewątpliwie (kilka tysięcy lat) poglądy Izraela w tej materii sformułował znany z intensywnego myślenia Francuz o nazwisku Pascal mówiąc, że sprawiedliwość powinna być silna, a siła sprawiedliwa, z czego łatwo wysnuwamy wniosek i lekcję, że jeżeli sprawiedliwość nie jest silna, to pada po prostu ofiarą

siły, która nie jest sprawiedliwa. Otóż, to właśnie wzdłuż tej teorii i takiej praktyki, operacja Entebbe wykreśliła granice pojęcia suwerenności.

### *Życie przede wszystkim*

Po pierwsze bowiem, akcja w Entebbe miała wyłącznie na celu uratowanie 100 ludzkich istnień. Żadna akcja podjęta wyłącznie dla ratowania życia ludzkiego nie pozostaje w sprzeczności z prawem międzynarodowym. Prawo to pozwala mianowicie, a nawet nakazuje suwerennemu państwu ochronę życia jego obywateli. Od chwili pojawienia się w stosunkach międzynarodowych pojęcia „nieinterwencji”, prawo dopuściło jeden wyjątek: interwencję państwa na zewnątrz dla ratowania życia swych poddanych.

Jasne, pamiętamy, formuła ta stosowana była jako alibi dla ekspansji imperialistycznej w XIX wieku, a jeszcze niedawno, w 1965 roku, użyta była przez USA dla usprawiedliwienia interwencji na San Domingo, gdzie 30.000 amerykańskich *marines'ów* wylądowało pod pretekstem ochrony życia poddanych USA zagrożonych rzekomo przez kilka tysięczną armię dominikańską! Desant ten trwał kilka lat, nawet kiedy już nie było ani przedmiotu ani podmiotu tej humanistycznej operacji rządu USA.

W Ugandzie wylądowało ok. 100 żołnierzy, którzy uratowali ponad 100 osób, natychmiast (dwie minuty szybciej niż w planie) się wycofując. Po niespełna godzinnej akcji nie było na terenie Ugandy ani jednego izraelskiego żołnierza, suwerenność Ugandy odzyskała dziewictwo.

Do najbardziej zdecydowanych krytyków akcji izraelskiej należał rząd ZSSR, państwa, które, jak wiadomo, nigdy nie pogwałciło żadnej suwerenności! TASS nazwał akcję izraelską „bandytyzmem i piractwem gwałcącym wszelkie normy prawa międzynarodowego i suwerenne prawa Ugandy”. Pan Żukow dodał w *Prawdzie*, iż chodzi tu o „akt agresji sugerujący preferencję dla metod akcji bezpośredniej w rozwiązywaniu problemu tzw. zakładników”. Proszę zauważyć to subtelne sformułowanie: „tak zwanych zakładników”. Prawdopodobnie w pojęciu ZSSR żydowskie ofiary porwania samolotu to nie zakładnicy, a przebrani komandosi i agenci, jak np. pani Bloch, 75 lat, która była w drodze na ślub syna, a którą żołnierzy suwerennej Ugandy wyciągnęli ze szpitalnego łóżka i udusili. Rekord dziennikarskiej sztuki pobił niejaki pan Gonczarow, który nie widział nic zdrożnego w braniu Żydów jako zakładników, natomiast w akcji izraelskiej dopatrzył się wyraźnych znamion rasizmu.

Najbardziej obiektywne, jeżeli w ogóle to słowo ma jakiś sens w tych warunkach, stanowisko na wschodzie zajęła Rumunia. Oczywiście, z wiadomych względów Bukareszt ostro potępił naruszenie „pod jakimkolwiek pretekstem” suwerenności państwowej, ale nie zawahał się potępić międzynarodowego terroru. W chwili pisania tych słów nie znam reakcji prasy polskiej.



Dysponuję tylko, i to w angielskim tłumaczeniu fragmentami komentarza Radia warszawskiego. Otóż ponieważ w Polsce pamiętajacej hitleryzm nawet Radio Warszawa nie może obojętnie potraktować brania cywilnych zakładników, wobec tego zakłopotany komentator doszedł do wniosku, że aczkolwiek akcja w Entebbe „stanowić może powód do dumy” to jednak odpowiadając gwałtem na gwałt, Izrael postawił się w tej samej sytuacji co terroryści. Rzeczywiście „nie łatwa to kwestia” jak reagować na terror, na pewno jednak nie tak jak dziennikarz z Radia Warszawa, albowiem jego formuła oznacza, że AK-owcy lub AL-owcy wyzwalaający gwałtem zakładników z łap SS-mann'ów, choć mieli „powód do dumy”, to niczym się od nich nie różnili.

Zagadnienie to najlepiej podsumował p. Chaim Herzog, delegat izraelski w ONZ. Odpowiadając oburzonemu przedstawicielowi ZSSR, Herzog mianowicie zauważył, że narody suwerennych Węgier w 1956 roku i suwerennej Czechosłowacji w 1968 roku byłyby wprost szczęśliwe gdyby pogwałcenie ich suwerenności polegało na akcji 100 komandosów, a nie dziesiątków dywizji pancernych i gdyby potrwało ono jedynie 55 minut a nie dziesiątki lat, a do końca daleko...

To wszystko, nie wspominając Libanu, gdzie w absolutnie suwerenny sposób libańscy chrześcijanie i muzułmanie wymordowują się wzajemnie przy czynnym udziale suwerennej armii syryjskiej, pomagającej kolejno najpierw mordować chrześcijan a potem muzułmanów w celu podporządkowania sobie suwerennego Libanu oraz działającego na tym suwerennym terenie suwerennego sztabu palestyńskiego, kierującego działaniem nie tylko armii palestyńskiej, używanej na razie przeważnie do mordowania arabskich braci lub do ginięcia od arabskich kul, ale i działaniem band terrorystycznych, używanych przeważnie do mordowania Żydów i Izraelczyków.

Dla Izraela przy tym nie jest bez znaczenia fakt, iż taka właśnie sytuacja i taka interpretacja suwerenności została przedstawiona przez gościa ONZ, p. Arafata jako wzór przyszłej suwerennej Palestyny, państwa laickiego, pluralistycznego i demokratycznego, wspólnej ojczyzny Żydów i Arabów...

*Wariat!? Zależy dla kogo!*

Otóż, i tu dochodzimy do drugiej granicy wszelkiej suwerenności, nawet w jej najbardziej czystej definicji została ona przede wszystkim pogwałcona nie przez izraelską wyprawę ratowniczą, a przez porwanie suwerennego samolotu francuskiego, wzięcie jako zakładników cywilnych obywateli wielu suwerennych państw no i przez fakt udzielenia porywaczom schronienia i pomocy. Oskarżanie w tych warunkach Izraelczyków o gwałt na Ugandzie można porównać tylko z oskarżaniem strażaków o gaszenie pożaru. Uganda przestała być suwerenna nie kiedy w Entebbe lądowały „Herkulesy”, a z chwilą kiedy rząd tego kraju wszedł

w znowę z porywaczami, udzielając im wikt i opierunku. Francuski porwany Airbus oczekiwany był w Entebbe przez grupę terrorystów mających oficjalnie bazę w Kampali, którzy przybyli na lotnisko samochodem z tablicą CD i przejęli natychmiast kierownictwo operacji. Dyrektor lotniska wcale się nie zdziwił, że mu nagle spadło 300 pasażerów i to na dłuższy, pozornie, czas. Zapytany czy dysponuje zapasami odpowiedział: „Jak to, czekamy przecież na was”.

„Jestem feldmarszałek, kawaler Krzyża Wiktorii, Doktor Idi Amin Dada z łaski bożej, wasz zbawca”, przedstawił się na wesoło zakładnikom dożywotni prezydent Ugandy. Doktor *honoris causa*, którego jedyny dyplom to świadectwo ukończenia kursu paraszutyistów w... Izraelu, dodał: „Przejmuję nad wami opiekę. Zwolniny was jak tylko rząd izraelski spełni sprawiedliwe żądania palestyńskich patriotów”. Po czym zgodnie ze swą koncepcją suwerenności, Amin nakazał żołnierzom Ugandy aby pomagali dowodzonym przez dwoje Niemców palestyńskim patriotom w pilnowaniu żydowskich i nieżydowskich zakładników.

Amin od dawna już uznał ruch palestyński i udzielał mu wszelkiej pomocy. Palestynicy stanowią gwardię przyboczną feldmarszałka i chronią osobę doktora h.c. Piloci palestyńscy wyszkoleni w ZSSR, na Kubie itp. latają, przepaszam, latali, na ugandyjskich Mig'ach, kiedy trzeba było np. bombardować bratnią Tanzanię. W Ugandzie znajdują się bazy szkoleniowe dla terrorystów.

Związki między Izraelem a Ugandą są starsze od Amina, są nawet bardzo stare, starsze od Tel Awiwu, np. w 1903 roku niewiele brakowało, aby Uganda stała się państwem... żydowskim. Paradoks, a historia to lubi, sprawił mianowicie, że po odrzuceniu przez Anglików (minister angielski nazywał się już wówczas Chamberlain) propozycji Herzla dotyczącej możliwości osiedleńczych na Cyprze, czy na Synaju, w okolicy El Arish, rząd brytyjski wystąpił z propozycją zbadania możliwości przesiedlenia Żydów ze wschodniej Europy właśnie do Ugandy, jednej z ówczesnych pereł imperium. Pomysł ugandyjski upadł wtedy z wielu przyczyn, m.in. wobec zdecydowanej opozycji Żydów rosyjskich, którzy tylko w osiedleniu w Palestynie widzieli logiczne rozwiązanie sprawy żydowskiej w ogóle. Otóż Amin który, gdyby historia nie sprawiła inaczej, mógłby być prezydentem żydowskiej Ugandy, gdyby — jak inni w Afryce — nie zerwał z Izraelem kiedy zaczęły szeroko płynąć petrodolary. Mimo bardzo ongiś bliskich stosunków z Izraelem (jedna z niezliczonych córek Amina ma na imię Sharon, albowiem według obliczeń doktora h.c. splotzona została w hotelu o tej nazwie w Tel Awiwie) Amin od razu po zerwaniu zajął wobec Izraela stanowisko ekstremistyczne.

Niektórzy powiadają, że nic dziwnego, bo to zwyczajny dement i błazen. Ci niektórzy się mylą. Amin to błazen i dement, ale tylko w optyce europejskiej. W Kampali czy w Afryce w ogóle jest on nawet w masach popularny, a jego pogardliwe traktowa-



nie nie-Afrykańczyków uważane jest przez wielu za wzór nowej czarnej suwerenności. Może coś o tym opowiedzieć 30.000 Hindusów obrabowanych ze wszystkiego i wyrzuconych z Ugandy, może coś dodać Anglik Dennis Hills, który właśnie za opisanie Amina jako „wioskowego tyrana” został zwyczajnie skazany na śmierć. Uratował go Callaghan, ówczesny minister Spraw Zagranicznych w rządzie Wilsona, który pofatygował się osobiście przed oblicze Amina i go przebłagał upokarzając się publicznie, na oczach całej Afryki. Po ułaskawieniu Hills'a, Amin kazał się obnieść po Kampali w lektyce niesionej przez czterech dumnych synów Albionu. Callaghanowi udało się dość tanio zapłacić. Z końcem lipca, już jako premier, Callaghan postanowił, o kilka lat za późno, ukarać feldmarszałka za zamordowanie pani Bloch, obywatelki Wielkiej Brytanii, i zerwał stosunki dyplomatyczne z Ugandą. W odpowiedzi Amin nie każe obnosić się w lektyce (nie są kuloodporne), ale nakazał Anglikom, którzy się do niego zwracają, aby czynili to na klęczkach, inaczej nie zostaną dopuszczeni przed oblicze. Jaka będzie następna faza w eskalacji, nie wiadomo. Wtajemniczeni twierdzą, że Anglicy będą się czołgać i to wcale nie przed obliczem...

Niemniej zabawne były niektóre polityczne wypowiedzi doktora *honoris causa* uniwersytetu w Kampali. Np. po zamordowaniu izraelskich atletów w Monachium feldmarszałek wysłał depezę do sekretarza generalnego ONZ, z odpisami do premiera Izraela i pana Arafata. „Izraelczycy, powiadał dr Amin, powinni zostać napiętnowani i usunięci z ONZ i z terenu Palestyny. Niemcy, dodaje kawaler Krzyża Wiktorii, to właściwy teren dla akcji (terrorystów palestyńskich), bo kiedy Hitler był premierem i naczelnym dowódcą, to spalił 6 milionów Żydów. Hitler bowiem i cały naród niemiecki wiedzieli, że Izraelczycy to naród, który nie działa dla dobra ludzkości...”

I aby nie było wątpliwości co do trwałości uczuć dla *Führera*, Amin chciał postawić Hitlerowi pomnik w Kampali. Zrezygnował z tego pomysłu dopiero po perswazji ambasadora... ZSSR w Ugandzie. W zamian feldmarszałek postanowił opracować plan desantu i odebrania Izraelowi wyżyny Golan. Akcja była przygotowana, Amin przeprowadził nawet próbę w terenie i z ostrym strzelaniem, ale Arabowie nie skorzystali z jego oferty. Jak wykazała skuteczność obrony Entebbe, zdolności strategiczne feldmarszałka są ograniczone.

Otóż, ktoś dystyngowanie sączący whisky czy sherry w Paryżu czy Londynie machnie ręką i powie „eh, to zwyczajny wariat”.

Wariat? Zależy i powtarzam, dla kogo. Dla Żydów, których Niemiec o nazwisku Boese, występujący w imieniu palestyńskich terrorystów oddzielał od reszty zakładników, Amin to wcale nie był wariat. Żydzi to pamiętają. W Oświęcimiu było tak samo: Żydzi na lewo i do gazu. I też po niemiecku.

Otóż, kiedy ktoś taki jak Amin udziela pomocy, schronienia i dyplomatycznego poparcia gangowi porywaczy samolotu, biorącemu na pokładzie francuskiego samolotu 250 wielopaństwowych

zakładników, „selekcjonuje” tych zakładników na Żydów i Aryjczyków, ten ktoś likwiduje pojęcie suwerenności swego własnego kraju i wszystko co się w wyniku takiego postępowania dzieje nie może być i w cywilizowanym świecie nie jest traktowane jako gwałt na suwerenności. Defloracji, jeżeli w ogóle można o czymś takim mówić w kontekście feldmarszałka gwałtującego na lewo i na prawo, defloracji więc ugandyjskiej dziewicy dokonali nie izraelscy komandosi a sam osobiście dożywotni prezydent.

### *Nieczyste sumienie Zachodu*

Tym bardziej, że przeciwko Izraelowi Amin wszedł w spisek nie byle kim, nie z Armią Zbawienia np., a z OLP czyli z Organizacją Wyzwolenia Palestyny, ugrupowaniem nie ukrywającym, że jego ostatecznym celem jest likwidacja państwa Izrael, a środkiem do tego celu jest wojna i terror. Nie są to przy tym wcale gołe słowa. To prawda, że na razie OLP prowadzi wojnę wyłączną przeciwko własnym braciom arabskim, jak w Libanie, jeżeli jednak chodzi o terror, to Izrael ma spore doświadczenie: Maalot i zamordowane dzieci, Monachium i zamordowani sportowcy, hotel Savoy i zamordowani turyści, izraelski szlak wyznaczony jest ofiarami skrytobójstwa i terroru.

Stany Zjednoczone, to wielki kraj, mogą więc nie reagować, kiedy Palestynczycy na zimno mordują ich ambasadorów, Francja, mocarstwo, jak wiadomo, więc może nie reagować, kiedy mu Palestynczycy porywają samoloty, lub okupują i biorą na zakładników ambasadorów jak niedawno w Hadze. Waszyngton spokojnie czeka na wydanie mu aresztowanych przez Arafata morderców ambasadora i radcy z Bejrutu, Belgia zna nazwisko mordercy konsula z Chartumu. Carlos, który nie tylko zamordował dwóch policjantów w Paryżu, ale porwał kilkunastu ministrów arabskich w Wiedniu, był oficjalnie podejmowany w Algierze, ale Francja nie wspomniała nawet, ot tak dla fasonu o jego ekstradycji. Niemiec Boese był już w rękach policji niemieckiej i francuskiej (strzelał do samolotu izraelskiego na Orly, pod Paryżem), ale kiedy oficjalnie ujawnił się w Kampali, nikomu ani w Bonn ani w Paryżu nie przyszło nawet do głowy, aby zwrócić choćby dla zabawy, uwagę Amina na niestosowność przebywania w takim towarzystwie.

Powiadają: „nafta, polityka, nie warto, nie trzeba...”

Inaczej mówiąc, świat dał po Entebbe największy chyba w historii festiwal hipokryzji. To prawda, że przesadne kojarzenie moralności z polityką byłoby niemądre, ale całkowite wyeliminowanie moralności z polityki jest po prostu niebezpieczne. Nie ma w polityce nic bardziej ohydniejszego niż kult siły i szantaż wobec niewinnych i bezbronnych. I nie ma w polityce nic bardziej groźnego niż całkowite wyrzeczenie się siły i uleganie szantażowi.



Otóż, festiwal hipokryzji się odbył, albowiem Zachód ma nieczyste sumienie i albowiem przeprowadzając operację w Entebbe Izrael wykazał, że to nieczyste sumienie wynika ze strachu, ogłupienia, tchórzostwa i krótkowzroczności, i że na tym — a nie na bełkotliwym gaworzeniu o „kryzysie wartości” — polega prawdziwy kryzys zachodniej cywilizacji.

### Dwie szkoły hipokryzji

Dwie szkoły się tu ujawniły.

Pierwsza, rządowa i państwowo-twórcza wołała: no tak, udało się, ale jaki to cios dla porządku międzynarodowego. Izrael na to odpowiada, że USA mają tylu ambasadorów, że mogą bezkarnie pozwalać na ich mordowanie, że Francja ma 50 milionów obywateli, więc może uważać, iż jedna pani Claustre, którą jakiś „wyzwoleńczy” opryszek przetrzymuje już dwa lata gdzieś w pustyni suwerennego państwa Czad, nie warta jest grzechu operacji „Błyskawica”, choć jak dumnie powiedział minister wojny w Paryżu „nasi parasutyści mogą w każdej chwili taką akcję jak w Entebbe przeprowadzić”. Mogą, ale chyba nie chcą.

Izrael natomiast chce. Państwo Izrael po to bowiem powstało, aby w granicach ludzkich możliwości, żaden Żyd już nigdy nie czuł się ani bezbronny ani samotny. „Kto ratuje jedno życie, ratuje świat cały” powiada pismo. Ratując setkę Żydów z palestyńsko-ugandyjskiego gułagu Izraelscy komandosi uratowali także honor Zachodu, który „może ale nie chce”. I to mu Zachód ma właśnie za złe.

Druga szkoła jest lewicowo-intelektualna. Ci wołali: pewnie, Izrael taki odważny, bo Uganda kraj słaby, bez opieki i ochrony. Operacja — dodają — była zresztą niepotrzebna, bo sprawa była na najlepszej drodze, sam francuski ambasador pośredniczył w negocjacjach, już uwolniono 150 zakładników, na Żydów też przysłały kolej. Izrael działał — mówią — w złą wierzę, udawał że negocjuje a szykował uderzenie. Pewien intelektualista przypomniał nawet z niesmakiem, że podstępni Izraelczycy, kiedy likwidowali bandę, która przed kilku laty opanowała samolot Sabeny na lotnisku w Tel Awiwie, to przebrali się za sanitariuszy. Pismo codzienne *Le Monde* uznało, że akcja w Entebbe naruszyła ogromny wysiłek Francji na rzecz ułożenia poprawnego stosunku północ-południe (inaczej mówiąc dostaw nafty) i odsunęła trzeci świat od Europy. Pismo tygodniowe *Témoignage Chrétien* uważa, że nie ma dowodów, aby Amin był w zмовie z Palestyńczykami „więc akcja izraelska była nielegalna”. Trockistowskie pismo *Rouge* napiętnowało „zbrodniczą logikę syjonizmu”. Wszyscy zaś wołali chórem: jakie to było szalone ryzyko, co by było gdyby...

Kto nie ryzykuje, ten ginie, odpowiadają na to Izraelczycy. Przeciw Hitlerowi też trzeba było ryzykować w porę, byłoby

wtedy mniej ofiar. O jakieś 30 milionów. Ludzie i narody, które odmawiają wszelkiego ryzyka skazane są na zagładę.

### Jest alternatywa

Reakcja na Entebbe raz jeszcze ujawniła brudny proceder selektywnego — jak go nazwał brukselski *Le Soir* — oburzania się wyrafinowanych lewicowych intelektualistów, proceder zwany inaczej intelektualnym terrorem. Polega on na tym, iż jak tylko jakaś zbrodnia ma lekko choćby różowy kolor to jest automatycznie zakwalifikowana do kategorii rewolucyjnej, a porywacz i bandyta przechodzi niemniej automatycznie do kategorii *maquisard'a* i *guerilleros'a*. Stąd Syria dopalająca Liban jest jednym z liderów trzeciego świata. Stąd Amin jest rzecznikiem suwerenności Afryki, i mógł być przez rok cały przewodniczącym Organizacji Jedności Afrykańskiej, stąd dr Neto jest strażnikiem antykolonializmu, choć kraj jego jest zwyczajnie okupowany przez działającą w imieniu Kremla armię kubańską. Stąd czerwoni Kmerowie uchodzą za siłę wyzwoleńczą i postępową, choć już wymordowali ok. 2 milionów swych braci, podobnie jak to uczynili postępowcy z Burundi, gdzie najsilniejszy szczerp wymordował wszystkich innoplemieńców jeżeli tylko zdradzali lekką choćby znajomość alfabetu. Stąd postępowe są Etiopia i Sudan, gdzie w imię wolności i suwerenności rozstrzeliwuje się, od jednego zamachu, stu przeciwników aktualnego, nie wiadomo na jak długo, rządu. Stąd wreszcie jest socjalistyczna, a nie tylko postępową i rewolucyjną, Niemiecka Republika Demokratyczna, choć przystąpiła ostatnio do mordowania już nie tylko własnych synów uciekających do burżuazyjno-reakcyjnej NRF, ale i obywatele państw obcych, jak świadczy o tym ukatrupiony na socjalistycznej granicy włoski szofer ciężarówki wiozącej wschodnio-europejską wieprzowinę dla zachodnio-europejskiego społeczeństwa konsumpcyjnego.

Nie przeszkodziło to naturalnie ani Syrii, Etiopii, Sudanowi czy Burundi oraz NRD, tak jak nie przeszkodzi jutro Angoli czy Kambodży, głosować w ONZ za zrównaniem syjonizmu z rasizmem tudzież bywać na najbardziej wytwornych salonach europejskich. Krew nie pachnie. Tylko nafta.

Słuchając czy czytając moich niektórych wykształconych kolegów odnosiłem wrażenie, że byliby murem stanęli za Izraelem, gdyby się akcja w Entebbe *nie* udała! Zupełnie jak w tej noweli Efraima Kiszona, nazywanego izraelskim Buchwaldem (dlaczego nie odwrotnie), gdzie wojna zraecko-żydowska kończy się zwycięstwem nie Izraelczyków a Arabów. Żydzi są wyróżnieni, wrzuceni do morza, Szukeiri, taki arabski Amin w owym czasie, zostaje prezydentem suwerennej, laickiej i demokratycznej Palestyny, ale za to na całym świecie rodzi się kolosalny ruch solidarności z wymordowanymi Izraelczykami. Liberia ogłasza, że przyjmie 40 uchodźców, Rumunia gotowa jest podesłać dwa statki dla



ewakuacji niedobitków, *Prawda* w dyskretny sposób — aby nie urazić Arabów — składa hołd pamięci poległych. No a ONZ dla upamiętnienia wysokich wartości moralnych narodu, który właśnie przestawał istnieć, jednomyślnie postanawia, aby sztandar byłego państwa Izrael powiewał nadal, wśród 125 innych, na masztach przed gmachem w Nowym Jorku. Humor taki więcej czarny, to też specjalność Izraela.

Najbardziej reprezentatywny lewicowo-intelektualny tygodnik *Le Nouvel Observateur* też oczywiście fachowo i z detalami opisał operację z Entebbe, a potem ostrożnie i z lewicowo-intelektualną rozważką zapytał jaką cenę Izrael będzie musiał zapłacić teraz za sukces w Kampali, jakie będą koszty uratowania zakładników i ile razy w przyszłości można będzie „sukcesy à la James Bond” powtarzać. Odpowiedział na te wątpliwości Abraham Primor, ówczesny radca-minister ambasady izraelskiej w Paryżu, obecny rzecznik MSZ w Jerozolimie. „Dla nas — pisał grzecznie Primor — takie pytania są pozbawione sensu. W obliczu niszczącego terroryzmu i wobec nieuniknionej konieczności zapobieżenia rasistowskiej masakrze niewinnych ludzi nie ma wyboru i cena nie gra roli”.

Primor jest dyplomata, więc musi postępować elegancko. Moim zdaniem wszystkie te intelektualne wygibasy są przejawem zwyczajnego ducha Monachium, i tego z 1972 roku, i tego, przede wszystkim, z 1938 roku. Gdyby istniało wówczas państwo żydowskie i gdyby jego komandosi wylądowali np. w Dachau ratując więźniów Hitlera, też znaleźliby się wówczas dziennikarze i politycy, uważający, że akt ten gwałci suwerenność III-ciej Rzeszy. Gdyby zaś desant miał miejsce po sierpniu 1939, to i Moskwa uznałaby, że chodzi o piracki akt gwałtu na zaprzyjaźnionym państwie kierującym przedsiębiorstwami w Dachau, Buchenwaldzie, i może już, w Oświęcimiu...

Mówiąc więc w skrócie acz brutalnie, wszystkie pretensje do Izraela wynikają nie z troski o sprawiedliwość światową i dziejową, a z nieprzyjemnego faktu, że to właśnie Izraelczycy uodrodnili, iż istnieje alternatywa do niszczącego cywilizowany świat zbiorowego tchórzostwa.

„Mielście wybór — wołał do monachijczyków Churchill — między upokorzeniem a wojną. Wybraliście upokorzenie, a wojnę i tak będziecie mieli”.

Ano!

BRUKSEL CZYK

Pisane 5 sierpnia 1976

**Sąsiedzi**

## Wywiad z Amalrikiem

Amalrik mieszka tymczasowo w domu swego wydawcy, profesora van het Reve z amsterdamskiej fundacji Herzena. Cierpliwie udziela wywiadów wszystkim, którzy go o to proszą. Jak twierdzi, jest to jedyny, na razie, sposób odwzajemnienia się zachodniej opinii publicznej za wieloletnie wsparcie i pomoc. Pielgrzymka dziennikarzy do domu prof. van het Reve nie ustaje i Amalrik jest widocznie zmęczony. Opanowany, z oszczędną gestykulacją żegna kolejnego rozmówcę, gdy czekałem w hallu na moje wyblagane półtorej godziny. Inni dostają godzinę czy 45 minut na wywiad.

Amalrik bardziej przypomina mi holenderskiego nauczyciela, niż sowieckiego dysydenta i więźnia politycznego. Przez całe półtorej godziny ani razu nie podniósł głosu, nie zmienił intonacji. Przyjaźnie, ale z dystansem, spokojnie i nieco monotonna, starał się jak najobszerniej odpowiedzieć na moje pytania.

*Pawłak:* — Porozmawiajmy o Pana utworach dramatycznych. Były one napisane kilka lat temu. Jakie są ich losy?

*Amalrik:* — Sztuki pisałem w latach 1963-1964, było ich razem pięć, potem w 1968 roku przerobiłem „Nos” Gogola na sztukę teatralną, a później, już po powrocie ze zsyłki, w 1975, napisałem moją ostatnią sztukę, dotąd nieopublikowaną. Właśnie toczą się rozmowy z anigelskim wydawcą moich sztuk, tam właśnie znajdzie się też i ta ostatnia. Bardzo zależy mi na tym, żeby poznało mnie bliżej jako literata, a nie tylko pisarza politycznego. Zaczynałem bowiem od literatury, a dokładniej od wierszy. Ale pisanie wierszy zarzuciłem, kiedy zacząłem kolekcjonować obrazy i zająłem się, jakby to powiedzieć, pewną formą sprzedaży czy pośredniczenia w sprzedaży obrazów. I tu okazało się, że poezja nie bardzo idzie w parze z handlem. Potem zacząłem pisać sztuki i jakoś tak wyszło, że sztuki przysłoniły moje wiersze. Później napisałem „Niezamierzoną podróż na Syberię”, a potem „Czy



Związek Sowiecki przetrwa do 1984 roku". Od tego momentu stałem się znany i zaczęto mnie uważać za pisarza politycznego, albo nawet za historyka, jak mnie nazywają, choć sam się za historyka nie uważam. Powiedziałbym raczej, że jestem pisarzem, który interesuje się historią i, być może, z pewnym wyczuciem historii. Pomogło mi, że przez jakiś czas studiowałem historię, zanim jeszcze pisałem wiersze. Pisałem wtedy normalną pracę o Rusi Kijowskiej i dało mi to okazję do zapoznania się z pracą historyka.

A co do moich sztuk, były one wydane po rosyjsku w fundacji Herzena w Amsterdamie, potem tłumaczono je na angielski i francuski. Kilka sztuk było wydanych w Szwajcarii w jakimś teatralnym, specjalistycznym czasopiśmie. Jedna wyszła po holendersku i była przez jakiś czas grana. Teatry studenckie w Anglii, Stanach i w Niemczech także grały moje sztuki, coś tam było w niemieckiej telewizji...

P.: — *A jak Pan ocenia swoją twórczość z perspektywy tych kilku lat, które minęły? Czy ma Pan zamiar pisać prace polityczne i wspomnienia, czy też chce Pan kontynuować działalność literacką?*

A.: — Nie, nie wiem dokładnie, co i jak będę pisał. Chciałbym nawet napisać powieść... W ogóle przecież napisałem do tej pory bardzo mało. Co prawda, wszystkie moje rzeczy miały jakąś wagę, ale tak mało było tego... Tak czy inaczej, pisać będę na pewno, ale mam w najbliższych planach prace historyczne. Będę pewnie pracował na jakimś zachodnim uniwersytecie.

P.: — *Czy zdecydował się Pan, na którym?*

A.: — Nie wiem jeszcze, muszę się rozejrzeć... wie Pan, to śmieszne, ale przywykłem do tego, że jestem swobodnym człowiekiem i od nikogo niezależnym i dlatego muszę wprawdzie dokładnie poznać warunki, na jakich jestem zaproszony. Uniwersytet w Utrechcie zaprasza mnie, aby skończył moje historyczne studia, ale z drugiej strony jest coś bardzo pociągającego i przyjemnego w tym, że nie mam żadnego wykształcenia i tym niemniej zmusiłem, że tak powiem, wszystkich do wysłuchania mnie. W tym świecie specjalizacji i panowania wykształconych ludzi każdy wyjątek powinien być mile widziany.

P.: — *Porozmawiajmy o Polsce. Co wiadomo w Moskwie o ostatnich polskich wydarzeniach, o listach protestacyjnych w związku ze zmianą konstytucji, o reakcji na zapowiedzianą podwyżkę?*

A.: — Ja wiedziałem o tym, ale na ile szerokie kręgi są poinformowane, tego Panu powiedzieć nie mogę. O ile wiem, osiągnięty był jakiś rodzaj kompromisu w tej sprawie z konstytucją?

P.: — *Tak to można ująć. Stało się tak przede wszystkim pod naciskiem intelektualistów i Kościoła.*

A.: — Tak, to wspaniała rzecz. Muszę powiedzieć, że ogromnie zazdroszczę Polakom ich niezawistego Kościoła. Powiedzmy,

względnie niezawistego. To jedna z największych tragedii narodu rosyjskiego, że rosyjska cerkiew utraciła niezależność i nie posiada żadnej siły moralnej. Pewne próby odrodzenia cerkwi są widoczne, ale w zasadzie nic się nie zmienia. Moim zdaniem, rosyjska Cerkiew znajduje się poza falą religijnego odrodzenia, które ogarnęło nasze społeczeństwo. A w Polsce Kościół ma o wiele więcej do powiedzenia dzięki swej niezależności i to prawdopodobnie zmusza reżym do tego, że jest bardziej „ludzki” niż w Związku Sowieckim.

P.: — *A jak szeroko znana jest Kultura?*

A.: — Muszę się przyznać, że nigdy *Kultury* nie widziałem. Wiem, że takie wydawnictwo istnieje, że jest także miesięcznik, ale jakoś nigdy nie trafił mi do rąk. Ale, należy powiedzieć, że duża część inteligencji ogromnie się Polską interesuje. I niekoniecznie inteligencja nastawiona opozycyjnie. Wielu mówi i czyta po polsku i Polska jest dla nich oknem, malutkim okienkiem, luźnikiem do Europy. Uważa się, że Polacy są o wiele lepiej informowani, że czasopisma są na wyższym poziomie i bardziej interesujące, że wychodzi wiele ciekawych książek itd. Bardzo często wstępując do kogoś widzieć można na półkach polskie książki czy czasopisma... I polskie filmy! Filmy wywarły znaczny wpływ na Rosjan. Andrzej Wajda na przykład, jego „Popiół i diament”, jaki to wspaniały film. A czy Wajda wyemigrował?

Krótko mówiąc, nie będę Pana wprowadzał w błąd i powiem otwarcie, że moje wiadomości o Polsce i kontakty z Polakami są dość mierne. Mówi Pan, że Polacy znają moje książki, to cieszy. A czy jest po polsku mój list do Kuzniecowa?

P.: — *Chciałbym zadać Panu pytanie na temat Kontynentu. Reprezentuje on „trzęcią emigrację” z Rosji.*

A.: — Muszę się przyznać, że stanowisko *Kontynentu* niezupełnie mi odpowiada. Chciałbym przekonać ludzi stojących na czele *Kontynentu* o konieczności pewnych zmian. Albowiem istnieje niebezpieczeństwo czegoś w rodzaju „komunizmu na odwrót”. W ludziach wyjeżdżających ze Związku Sowieckiego na Zachód wyczuwa się jak bardzo silny jest w nich duch totalitaryzmu, dążenie do jakiejś jedynej ideologii. Jeśli nie komunistycznej, którą odrzucili, to innej, ale żeby wszystko było w twardych ramach. „Kto nie jest z nami, jest przeciw nam”. A chciałoby się, żeby takie pismo jak *Kontinent*, w zasadzie bardzo interesujące i dobre, stało się rodzajem okrągłego stołu dla wszystkich Rosjan i w ogóle dla wszystkich ludzi ze Wschodniej Europy, których poglądy są inne niż te wąskie, o których bez przerwy trąbi oficjalna propaganda. Co wcale nie znaczy, że magazyn utraciłby swoje oblicze. Konieczna jest tolerancja.

Maksimow to człowiek bardzo utalentowany, ale niestety wszedł do rosyjskiej literatury przez *Oktiabr'* — magazyn Koczetowa, i pewien styl, jak widać, pozostał żywy. Nie mówię — jeszcze raz podkreślam — nie mówię tu o poglądach Maksimo-



wa, które są przeciwstawne Koczetowskiemu, chodzi mi o maniery, o styl. Ale mam nadzieję, że wszystko powoli zmieni się na lepsze. Albowiem nadziei i oczekiwań związanych z tym pismem nie można przecenić, są one w Sowietach olbrzymie. Tym bardziej, że na Zachodzie *Kontynent* przyciągnął najróżniejszych ludzi, dość tolerancyjnych po europejsku, o różnych poglądach, i wszyscy oni są wymienieni na okładce jako współpracownicy.

P.: — *Kilka tygodni temu zmarł publicysta polityczny Kultury, Mieroszewski. Jedną z jego naczelnych idei politycznych była ta o terytorium ULB. Co Pan, jako pisarz polityczny, sądzi o niej?*

A.: — Wie Pan, to idea bez żadnych możliwości praktycznej realizacji.

P.: — *Ależ to była tylko polityczna spekulacja!*

A.: — No tak, jest to dość spekulatywna idea, bo nie wiadomo, jak to się może wszystko urzeczywistnić. A poza tym, sama Polska nie zawsze przejawiała dostatecznie dużo historycznego rozsądku. I, rozumie Pan, jak tylko Polska zaczyna czuć troszkę siły, kiedy odradza się, powiedziałbym że odradza się i polskie wielkodzierzawie. Polska chciałaby pewnie włączyć Ukrainę, Litwę i Białoruś w sferę swoich wpływów.

P.: — *Ależ...*

A.: — Wróćmy do politycznych spekulacji. Ja też mam pewne spekulatywne idee, być może nierealne, ale kto wie? Jestem mianowicie zwolennikiem nowego federalizmu. Jest to idea stworzenia na terytorium ZSSR około pięćdziesięciu mniej więcej niezależnych republik, które korzystałyby z większej autonomii i tworzyłyby rodzaj federacji, z federalnym rządem na czele. Stworzyć takie republiki, jak np. republika Ural — republikę, która by obejmowała tradycyjne kozackie ziemie na południu Rosji, republikę Dalekowschodnią... Należałoby podzielić terytorium Rosji na szereg historycznych terytoriów. Wtedy bardziej realne byłoby równouprawnienie, jak np. pomiędzy Litwą i Uralską republiką. A Ukrainę też podzieliłbym na cztery oddzielne republiki. Być może taki podział pozwoliłby na stworzenie lepszej równowagi pomiędzy różnymi narodowościami.

Ale wszystkie spekulatywne idee wychodzą raczej z przesłanek *wishful thinking* niż realizmu. Jeśli nawet można sobie wyobrazić rozpad Związku Sowieckiego to nie wiem, czy potrafi np. Ukraina stworzyć niezależną państwowość. Bowiem jakoś nie widać u większości Ukraińców czegoś przypominającego myślenie państwowe. Nie mówiąc już o Białorusi. Moim zdaniem, Białorusi zagraża kompletne rozpuszczenie się w rosyjskim morzu. Coraz więcej Białorusinów mówi po rosyjsku, nie ma jakiegś wyrazistej kultury... Ale, może się mylę.

P.: — *Pamiętam, jak Chruszczow oświadczył kiedyś, że Białoruś jest najbliższym komunizmu, bo wszyscy już mówią po rosyjsku i język białoruski jest prawie wyrugowany.*

A.: — Tak, to prawda, tak było. Przecież rosyjska kultura jest o tyle silniejsza. Rosyjski, wie Pan, to język prestiżowy. Na Ukrainie np. jest teraz tak, że ludzie rozmawiają u siebie na wsi po ukraińsku, a po przyjeździe do miasta — po rosyjsku. Uważają oni ukraiński za ten wiejsko-prymitywny język. Chociaż wśród inteligencji widać zupełnie przeciwne tendencje. Na Ukrainie, inteligencja bardzo wyraźnie podkreśla swoje ukraińskie pochodzenie.

P.: — *Na jakiej teoretycznej podstawie opiera się myśl polityczna demokratów w Rosji? Jaki jest ich model Rosji odnowionej?*

A.: — Nie wiem. Nie wydaje mi się, żeby jakaś teoretyczna podstawa istniała. W narodzie demokratyczne myślenie po prostu nie istnieje, nikogo to nie obchodzi, a inteligencja jest w naturalny sposób związana z narodem. Wyobrażam sobie jakiś specyficzny rodzaj rosyjskiej demokracji, z dużą dozą autorytaryzmu. Co najmniej w pewnym przejściowym okresie częściowy autorytaryzm byłby nieodzowny.

P.: — *Sołżenicyn?...*

A.: — Nie, chodzi mi o coś zupełnie innego. Sołżenicyn jest po prostu romantycznym konserwatystą. Znakomite książki, ale często tak irytujące. I wiele niesprawiedliwych sądów, jak np. ten o Czalidze w „Bodło cię dąb”.

Widzi Pan, Sołżenicyn był kiedyś marksistą i wierzył szczerze, a pisarzem stał się, jak sam mówi, dopiero po szkole obozów. Teraz nienawidzi marksizmu i marksistów zaciętą nienawiścią, stąd ta nietolerancja. Jest w Sołżenicynie pewien totalitaryzm, wiara w jedyną ideologię. Teraz, kiedy jest prawosławny i stał się słowianofilem (choć on sam twierdzi, że tak nie jest) uważa, że tylko prawosławie, a w szczególności cerkiew, może uratować naród rosyjski. Nie, nie, jego polityczne poglądy w połączeniu z proroczym tonem, to jest nie do przyjęcia.

Osobiście nie wierzę, żeby tylko jedna ideologia czy jeden system wartości mógł ludzi uszczęśliwić.

P.: — *Rozumiem, że podziela Pan stanowisko Sacharowa?*

A.: — Tak, Sacharow to zupełnie inny człowiek. Tolerancyjny, szlachetny i z natury dobry. Opozycjonistą stał się też dlatego, że nie mógł ścierpieć niesprawiedliwości i okrucieństwa. Inaczej być nie mogło.

P.: — *Czy mógłby Pan skomentować opozycyjne prądy w ZSSR? Zaczniemy od marksistów, którzy wydali niedawno w Londynie pierwszy numer ich pisma XX-ty wiek.*

A.: — Ma Pan na myśli Miedwiediewów? *XX-go wieku* jeszcze nie czytałem, przeglądałem tylko. Ale jedno jest pewne, artykuł wstępny Miedwiediewa jest po prostu śmieszny. Nie mam nic przeciwko myślącym marksistom, nie uważam, żeby marksizm był jednoznaczny z morderstwami i nieprawością. Chętnie polemizuję z marksistami. Ale to miedwiediewowskie rozdawanie



króciutkich ocen wszystkim naokoło, jak nauczyciel uczniom, z wyżyn swojej ostatecznej racji — to śmieszne. W ogóle, z powodu wygłaszania zawsze i tylko tych ostatecznych prawd i racji, to co marksiści mówią jest przede wszystkim śmieszne. Dopóki, oczywiście, nie jest to mówione z pozycji siły, bo wtedy staje się tragiczne.

Z drugiej strony, należy stwierdzić, że w Sowietach nikt już w marksizm nie wierzy, ta religia stała się zupełnie nieatrakcyjna. Stąd niebываły rozkwit oficjalnego nacjonalizmu. Między nami mówiąc, nie wierzę także, że Miedwiediew jest wierzącym marksistą. Miedwiediew, moim zdaniem, bardziej udaje postępowego marksistę, bo to wygodna i, powiedziałbym, lukratywna pozycja.

P.: — *A opozycja konserwatywna? Słowianofile?*

A.: — Prawica też ma pewne pozytywne strony. Walczy przeciwko zachowaniu języka, kultury, przeciwstawia się totalitarnej anonimowości... Są nawet prądy, które zwą się „narodowi socjaliści”, ale to już zupełnie marginesowe zjawiska.

P.: — *Chciałbym zapytać Pana o stosunki sowiecko-chińskie. W Pana książce rozwój tych stosunków prowadzący wręcz do konfliktu, był jednym z najważniejszych założeń. Czy w dalszym ciągu ocenia Pan problem Chin jako niezwykle istotny? Oraz, czy znane są Panu jakieś nurty maoistowskie w ZSSR?*

A.: — Nie, w Związku Sowieckim, o ile wiem, maoistów nie ma. A co do mojej oceny, ta się nie zmieniła. Te tendencje w stosunkach sowiecko-chińskich, o których pisałem w mojej książce, ciągle uważam za niezwykle ważne. Problematyczny jest, oczywiście, czas ich realizacji. Wszystko może się posunąć błyskawicznie, może też powoli ewoluować, a kiedy to wszystko się stanie, jeden Bóg wie. Moim zdaniem, rodzaj konfrontacji zbrojnej między ZSSR i Chinami jest prawie nieunikniony. Dokładniej, mam uczucie, że to nieuchronne, ale trudno jest mi przytoczyć racjonalne dowody. Pisałem też w mojej książce, w „1984”, że nastąpi okres pewnego odprężenia, czy raczej mniejszego napięcia w stosunkach. Cała polemika będzie, pisałem, nieco przygłuszona. Jesteśmy teraz w takim okresie. Nie znaczy to wcale, że konflikt nie nastąpi. Ale poważny konflikt może nastąpić tylko wtedy, gdy Chiny posiadać będą dostatecznie potężne i nowoczesne uzbrojenie, albo gdy Związek Sowiecki będzie przekonany, że Chiny posiadają takie uzbrojenie, że są o pół kroku. Wtedy, być może, Sowiety będą chciały uderzyć pierwsze, prewencyjnie.

P.: — *A jak Pan ocenia zdanie, że Rosjanie zawsze będą walczyć, gdy ich „Ojczyzna powoła”?*

A.: — Pewnie, że będą walczyć. Początek wojny z Chinami wywoła niesłychany wybuch rosyjskiego patriotyzmu czy nacjonalizmu, ale te uczucia będą zanikały stopniowo, jak w wypadku każdej przeciągającej się wojny, prowadzonej gdzieś daleko. Można porównać tę sytuację z wojną rosyjsko-japońską 1905 roku.

Tej wojnie także początkowo towarzyszyła fala patriotycznych uczuć, ale potem nastąpił...

P.: — *Kac.*

A.: — Dokładnie, potem nastąpił kac, jak Pan mówi. Kac i rozczął się rozpad państwa.

P.: — *Chciałbym teraz zapytać Pana o Zachód. Jest Pan tu już dwa tygodnie...*

A.: — Tak, przyjechaliśmy dokładnie dwa tygodnie temu.

Na wrażenia nie mam po prostu czasu. Moja znajomość z Zachodem ogranicza się, jak na razie, tylko do znajomości z zachodnią prasą.

P.: — *I co Pan sądzi o tej prasie?*

A.: — Same pozytywy, jak dotychczas. Wszystko idzie jak najlepiej.

P.: — *W numerze tygodnika Haagse Post, gdzie wydrukowano wywiad z Panem, redaktor naczelny w swym cotygodniowym felietonie wyraził opinie postępowców na Zachodzie. „Amalrik powinien wrócić do ZSSR” brzmi tytuł. Powinien wrócić, bo tam jest jego miejsce i tam walczy o dobrą sprawę a tu stoczy się niechybnie w samo dno reakcji, jak inni emigranci, i będzie służył zimmowojennym imperialistom, będzie to na rękę tylko takim ludziom, jak Luns. Co Pan powie na to?*

A.: — Oczywiście, nie zgadzam się ze zdaniem, że wszyscy emigranci służą imperialistom. A co do Lunsa. Jest on przecież sekretarzem NATO, a bez NATO Holandia dawno by już nie egzystowała, więc o co chodzi? Wie Pan, dość słabo orientuję się, kto tu jest z lewicy, a kto prawicujący, i co to w ogóle oznacza. Nie znam się, krótko mówiąc, na tych zachodnich sprawach i staram się w to nie mieszać. Patrzę na to z mojej rosyjskiej perspektywy, jak zresztą wszyscy emigranci ze Związku Sowieckiego. W ogóle, na Zachodzie był olbrzymi zachwyt Związkiem Sowieckim, szczególnie wśród lewicowej inteligencji. Miałem nawet okazję czytać takie opinie, że co prawda zginęło tam kilka milionów ludzi w obozach, ale za to jakie rajskie życie mają ci, którzy dożyli do socjalizmu. I muszę powiedzieć, że taki punkt widzenia nie przysparza popularności zachodniej lewicy wśród sowieckich „inaczej myślących”, a wywołuje niechęć i wściekłość. Prawdopodobnie lewica musi zmienić — i jak się orientuję, już zaczęła zmieniać — swój stosunek do ZSSR. Przecież jest już inaczej, niż w latach trzydziestych.

Życzenie, aby polepszyć sytuację w swoim kraju jest oczywiście i normalne. Szczególnie dla młodzieży charakterystyczna jest wiara w jakieś lepsze, inne społeczeństwo. Temu należy tylko przyklasnąć. Można założyć istnienie jakiegoś idealnego społeczeństwa, gdzie nie będzie kapitalistów i wyzyskiwanych robotników, wszystko to pięknie, ale jak się zaczyna utożsamiać to idealne społeczeństwo z jakimś istniejącym już na ziemi, to



wychodzi z tego jedno wielkie nieporozumienie i rozczarowanie. Tak było ze Związkiem Sowieckim, który bardzo długo był „noszony na rękach” i uważano, że tam właśnie jest sprawiedliwy system. A okazało się, że poza własnymi wadami, ten system posiada wszystkie wady Zachodu, wyolbrzymione tylko i wypaczone.

Taka sama historia jest z Chinami. Jest chyba zupełnie oczywiste jaki koszmarny system mają Chiny do ofiarowania światu. Albo fascynacja Kubą, gdzie także jest reżym totalitarny. Nie wiem, dlaczego reżym kubański ma być lepszy od chilijskiego, i jeśli Pinochet jest krytykowany za tortury i zabójstwa, Castro także musi być sądzony na forum publicznym. Można wymienić kilka innych reżymów, tak entuzjastycznie popieranym, jak np. Angola czy reżym Kadaffiego w Libii czy Uganda... Są to obrzydliwe totalitarne reżymy, gorsze od każdej, nieśmiałej nawet próby demokracji.

P.: — *Na zakończenie chciałbym zapytać Pana o Pańskie plany współpracy z emigrantami z Europy Wschodniej.*

A.: — No cóż, będę szczęśliwy, jeśli *Kultura* przetłumaczy coś z moich artykułów i książek, może mój ostatni artykuł o ideologiach w ZSSR? Bo wiecie, wy, Polacy, musicie bardzo uważnie śledzić wszystko to, co się dzieje w Związku Sowieckim. Tak się złożyło, że wasze losy zależą od naszych.

P.: — *Muszę Panu powiedzieć, że, o ile wiem, z całej Europy Wschodniej jedynie z Polski wysłano telegram gratulacyjny do Sacharowa.*

P.: — To bardzo przyjemne, bardzo. Chciałbym, żeby w końcu Rosjanie znaleźli wspólny język z Polakami, żeby było więcej zrozumienia, szczególnie wśród emigrantów.

P.: — *Co do wspólnego języka, czy sądzi Pan, że w Sowietach ciągle żywe jest uczucie nieufności do Polaków, jako do potencjalnych konkurentów, tych, którzy „nie chcą być z nami”?*

A.: — Być może. W narodzie na pewno jest nieufność w stosunku do Polaków. Przecież cała polsko-rosyjska historia to historia wojen i konfliktów. Zaczynając od wczesnego średniowiecza...

P.: — *Olbrzymi Związek Sowiecki darzy mały kraj satelicki tak gorącymi uczuciami?*

A.: — No wie Pan, to teraz ten kraj jest mały. Były przecież czasy, kiedy Polska była większa od Rosji i grała wielką rolę w Europie. Pewne rzeczy pozostają żywe bardzo długo.

A poza tym, Polska nie jest taka mała. Ile Polska ma ludności? Ponad 30 milionów. Polska grałaby na arenie międzynarodowej o wiele większą rolę, gdyby nie nieustanny konflikt między narodem i reżymem. Rząd polski nie czuje się pewnie u siebie w kraju i dlatego jest tak mocno związany z Moskwą. Odwrotnym niejako przykładem jest Rumunia. Właśnie dlatego, że naród rumuński jest tak pasywny i w niczym się rządowi nie sprzeciwia, Ceausescu może prowadzić swą, dość niezależną, poli-

tykę. A wasi liderzy czują się niepewnie, są zależni od Sowietów, bo wasz naród cechuje bardzo niespokojny, niezależny duch...

*Wywiad przeprowadził i przetłumaczył Jan PAWLAK*

## Jeszcze o Białorusi

Szanowny Panie Redaktorze,

Z dużym opóźnieniem przeczytałem list p. Włodzimierza Brylewskiego z dn. 23. VI. 1975 (*Kultura*, nr 337, 1975) nawiązujący do mojej relacji z pobytu w ZSSR (*Kultura*, nr 314, 1973). List dowodzi dużej znajomości zagadnień białoruskich w ogóle, które osobiście znam słabo, ponieważ nigdy się nimi bliżej nie interesowałem. Relacja moja była spisaniem osobistych spostrzeżeń i opinii ludzi, z którymi rozmawiałem. Dwie refleksje ogólne nasunęły mi się przy czytaniu listu p. Brylewskiego. Autor wykazuje dużą znajomość teoretyczną zagadnienia, czego dowodzi cytowanie różnych opracowań, nawet mało znanych. Tu nie zamierzam z nim dyskutować. Nie mogłem się jednak oprzeć wrażeniu (i to jest druga refleksja), że w sprawie etnicznego charakteru Oszmiańszczyzny, a zwłaszcza znajomości języka polskiego na tym terenie, Autor bierze swoje życzenia za rzeczywistość i dlatego nadmiernie podkreśla białoruskość tych ziem. Jeśli, zdaniem Autora, ma o niej świadczyć nieznajomość języka polskiego u ogółu ludności, to opinia p. Brylewskiego jest kompletnie fałszywa. Nie znam proporcji grup etnicznych na tym terenie (kto je zresztą badał?) ani też ogólnego stopnia znajomości i „używalności” języka polskiego w tych okolicach. Jednakże moje osobiste spostrzeżenia wynoszone ze spotkań i rozmów z różnymi ludźmi, czynione zresztą wówczas bez myśli o jakimkolwiek ich relacjonowaniu, składają się na zupełnie różny obraz od tego, który szkicuje p. Brylewski.

Z naciskiem pragnę też stwierdzić, że utożsamianie katolicyzmu z polskością nie było moim osobistym kryterium metodologicznym, przyjętym przy pisaniu relacji, lecz faktem który spotyka się na co dzień na wspomnianych terenach. Nie sądzę, by ci prości ludzie z wiosek i kołchozów, wyrażający takie przekonanie, byli jakimiś wyjątkami. Byli po prostu przeciętnymi mieszkańcami tych ziem. Co więcej, uważam osobiście, pod wpływem spotkań i rozmów w Odessie, Moskwie, Leningradzie, Rydze i Dźwińsku (Daugavpils), że to utożsamianie katolicyzmu i polskości i tu także ma miejsce. Nie oceniam w tej chwili i nie zamierzam analizować tego zjawiska, bo brak mi na to czasu,



lecz chodzi o stwierdzenie pewnego faktu psychologicznego i historycznego. Bo przecież dlatego właśnie cała liturgia poza łaciną we Mszy św. (nie wiem, jak jest w tej chwili) w kościele w Odessie, Moskwie i Leningradzie odbywa się po polsku. Byłem pod głębokim wrażeniem, gdy po wejściu, po raz pierwszy w życiu do kościoła w Moskwie usłyszałem śpiew „Jezu w ogródcu mdlejący” podczas Mszy św. żałobnej, a w Leningradzie, na nabożeństwie wieczornym, które się akurat kończyło, starą, polską melodię i słowa „Przed tak wielkim sakramentem”. W Odessie jedynie w niedzielę, gdy kościół wypełnia się po brzegi (jest zresztą bardzo niewielki) i cisną się doń ludzie miejscowi z ulicy, chór wykonuje jedną, czy drugą pieśń w języku ukraińskim, czy rosyjskim, by zbliżyć im liturgię.

Z reguły pytałem księży lub wiernych, jakie są proporcje etniczne w grupie ludzi przychodzących do kościoła. Z reguły też odpowiadali, że ogromna większość to Polacy, a wierni innych narodowości stanowią drobną grupę. Jedynie w Moskwie, rzecz bardzo znamienita, rośnie powoli grupa młodzieży rosyjskiej, która w efekcie osobistych poszukiwań religijnych (jest to młodzież inteligentna) nawraca się właśnie na katolicyzm, a nie na prawosławie.

W jednym z kołchozów w okolicy Borun (kościół w Borunach, położony kilkanaście km. od Oszmiany stynie z cudownego obrazu Matki Boskiej; pisze o nim w jednym ze swoich wierszy Adam Mickiewicz) powiedziano mi, że w całej najbliższej okolicy jest tylko kilka wiosek niepolskich, a ogromna większość to wsie czysto polskie. W kołchozie, w którym byłem tylko *pretse-diatel* był Rosjaninem, jak mnie o tym informowali moi najbliżsi krewni, bez jakiegokolwiek zresztą myśli o kwestiach narodowościowych. Kiedy brałem do ręki miejscowe gazetki donoszące zwykle o takich lub innych osiągnięciach produkcyjnych, to z reguły uderzał fakt, że były tam nazwiska czysto polskie, takie jak Kochanowski, Pazarzycki itp. Podawano ich jako przykładem wielokrotnie, by oglądać jakże ubogi zresztą (w porównaniu np. z takim samym handlem w Rydze), wolny handel, słyszy się co prawda dziwny język mieszany, lecz nie natrafiłem ani raz na trudności w porozumieniu się po polsku. Podobnie było na wioskach i w kołchozach, które mogłem odwiedzić. Dlatego uważam za zupełnie fałszywe zdanie p. Brylewskiego, że przed wojną tylko ziemianstwo, urzędnicy i osadnicy mówili po polsku, a ludność miejscowa nie znała języka polskiego. Przecież tej kategorii ludności dawno już nie ma, a ja po 30 latach od zakończenia wojny mówiłem na wsi tylko po polsku. Jedynie język moich nieco młodszych rozmówców miał pewien procent wyrazów niepolskich, lub polskich w ich mniemaniu (np. w zabawnym dla mnie wyrażeniu „żywołka mi zachorowała”, tzn. jałówka). Nie sądzę, że trafiałem tylko na Polaków, rozmawiając na targu, na ulicy, w autobusie po polsku. Wydaje mi się, że

spotykałem przeciętnych mieszkańców tej ziemi, tzn. Oszmiańszczyzny. Kilka słów o innych stronach. Kiedy w Nowogródku wdałem się w rozmowę z grupą dziewcząt w wieku 10-13 lat zwiedzających ze swoją nauczycielką górę zamkową (Mendoga), a następnie niewielkie, lecz dość sympatycznie urządzone muzeum Adama Mickiewicza, to okazało się, że żadna z nich nie mówi po polsku. Ale gdy zapytałem o imiona, to wszystkie podawały mi imiona w brzmieniu typowo polskim np. Jadzia, Hela, Zosia itp. Nie uważam tego za przypadek, lecz za dowód polskiego niegdyś charakteru rodzin zachowujących polskie brzmienie imion swoich dzieci, choć nie na długo już pewnie. Wówczas właśnie nasunęła mi się refleksja, że pomimo stuletniej z górą rusyfikacji prowadzonej przez carat, zachował się polski charakter kultury tych ziem. Lecz wystarczyło tylko 30 lat brutalnego, a często zbrodniczego ucisku sowieckiego, by kompletnie niemal urwała się wielowiekowa ciągłość kulturalna. O ileż doskonalsze i bardziej perfidne są metody rusyfikacji współczesnej.

Nie mogę się zgodzić z Autorem listu, co do opinii o ks. Wł. Czerniawskim. Kiedy przebywałem u rodziny przysłała akurat miejscowa listonoszka, młoda, rozgarnięta kobieta, lat ok. 30. Dowiedziawszy się, że jestem księdzem z miejsca postawiła mi pytanie w bardzo dobrej polszczyźnie dotyczące pracy ks. Czerniawskiego w Wiszniewie. Pytała mnie jak rozumieć to, że ks. Czerniawski — gdy poszła do niego do spowiedzi i zaczęła ją po polsku, jak zwykle czyniła to gdzie indziej — ks. Czerniawski przerwał jej zachęcając, by spowiadała się po białorusku. Widziałem, że pytanie podyktowane było pewnym niepokojem i zdziwieniem. Wspominałem już o tym, że kiedy ks. Czerniawski po raz pierwszy rozpoczął kazanie po białorusku, to wszyscy obecni, z wyjątkiem kilku głuchych babek, opuścili kościół. Powtórzyło się to kilka razy, aż wreszcie nie mając wyboru zobojętnieli wobec tego faktu.

P. Brylewski pisze, że zdumiewa go fakt, iż nie podoba mi się „katolicka praca ks. Włodzimierza Czerniawskiego”. O ile pamiętam, nie wypowiadałem wówczas żadnych ocen na ten temat. Chodziło mi natomiast o pokazanie reakcji ludzi i ich przywiązania do polskiego charakteru nabożeństw. W tej chwili pragnę dodać, że faktycznie nie podoba mi się działalność ks. Czerniawskiego w tej mierze, w jakiej usiłuje on narzucać ludziom swoje osobiste idee białoruskie, narażając na szkodę ich wiarę, jeśli czyni to wbrew ich woli. Poza tym biorąc obiektywnie służy on nie tyle Białorusi, co Związkowi Sowieckiemu, bo od białoruskiego języka w kościele jest o wiele bliżej do rosyjskiego, do prawosławia i do rosyjskości, niż od polskiego i łaciny. Historia tych ziem chyba wystarczająco to potwierdza. Dlatego przy „katolickiej pracy” ks. Czerniawskiego staje wyraźny znak zapytania, którzy stawiają przede wszystkim ludzie miejscowi. O łaskawym poparciu władz sowieckich dla jego działalności zdaje się świadczyć umożliwienie mu wyjazdu do Rzymu, skąd miał wró-



cić biskupem według własnych rachub i nadziei, a co się nie powiodło. Żaden z księży polskich ani marzyć o tym nie może (tzn. o wyjeździe do Rzymu).

Nie słyszałem nigdzie o zarzutach, które stawia p. Brylewski księżom polskim, że uporczywie głoszą kazania, spowiadają itp. w języku polskim, choć ich wierni go nie znają. Taki zarzut wydaje mi się zupełnie wydumany. I tu również Autor listu zdaje się brać swoje życzenia za rzeczywistość.

Fakty są proste. Prawie 100% księży należących do Kościoła katolickiego i podtrzymujących jego życie na Białorusi, to księża Polacy (praktycznie nie słyszałem o nikim innym poza ks. Czerniawskim, kto miałby podobne do niego poglądy). Całe duszpasterstwo od niepamiętnych czasów prowadzone było, poza łańcuchem oczywiście, o ile wiem, w języku polskim (naturalnie w obrządku rzymskim). Księża ci dobrze zdali egzamin wierności Kościołowi i ludziom miejscowym, w obozach i więzieniach sowieckich. Wie o tym doskonale cała ludność tamtejsza. Obecnie wzmaga się i rośnie nacisk rusefikacyjny. Czy p. Brylewski zdaje sobie sprawę z tego czym byłoby dla niej, nawet dla jej części białoruskiej, jak sądzę, gdyby księża ci zaczęli wszystko po białorusku...? Byłoby to uznane za haniebną zdradę i Kościoła i ich samych, za wydanie ich na łup sowieckiego Lewiatana, który i tak ich pożera.

Nie wystarczy książkowa znajomość spraw białoruskich. Trzeba być na miejscu, by je lepiej poznać, zrozumieć, a tym bardziej dawać rady. Floryda jest na to zbyt daleko od Oszmiany, Gudogajów, Ostrowa czy Nowogródka.

Nie interesuję się kwestią białoruską i nie mam żadnych pretensji do jej osądzania. Chodziło mi o garść faktów i spostrzeżeń, które mogą rzucić jakiś promyk światła na ten zamknięty i tak mało znany świat ludzki, a raczej nieludzki, jaki stworzyła władza sowiecka na terenach, o których tu mowa.

Rzym, 14 lipca 1976

J. MIRSKI

## W sowieckiej prasie

Lato 1976 w oczach sowieckiej prasy: Jak wygląda świat, jakie wydarzenia interesowały sowieckich propagandystów i jak je oni przedstawiają? Zobaczyć świat w zwierciadle prasy sowieckiej można tylko w tym wypadku jeżeli ma się możliwość zobaczenia tegoż świata w zwierciadle prasy zachodniej. Są to bowiem dwa

różne światy: niektóre wydarzenia w „zwierciadle sowieckim” w ogóle się nie odbyły, inne zaś jedynie w ich zniekształconym obrazie.

Prasa sowiecka ani słowem nie wspomniała o wydarzeniach w Polsce z dnia 25 czerwca br. Polska pojawiła się w *Prawdzie* dopiero 29 czerwca: na 5-tej stronie można było przeczytać krótką wzmiankę. Wynikało z niej, że „metalowcy PRL, dążąc do przedwczesnego wykonania planu I-go półrocza br., zdecydowali się dać krajowi dodatkowe setki ton metalu”. 5 lipca czytelnicy *Prawdy* dowiedzieli się, że „towarzysz Gierek wyraził wdzięczność robotnikom polskim za podtrzymanie polityki VI i VII Zjazdów PZPR”. Dalej czytamy, że Gierek dziękował robotnikom za zaufanie okazane jemu, KC partii i rządowi PRL”. *Prawda* odnotowała, że sekretarz KC PZPR dotknął „trudnego zagadnienia — polityki cen”, zaznaczając że „potrzebna jest bardziej elastyczna polityka cen”. Oświadczył przy tym: „postanowiliśmy to zagadnienie przedyskutować ze społeczeństwem”. W zakończeniu Gierek podkreślił: „Nigdy nie zejdziemy z drogi wytyczonej przez VI-ty i VII-my Zjazd”.

I od tego czasu do połowy sierpnia — kiedy piszę ten przegląd — o wydarzeniach w Polsce nie pisało się — ich nie było.

Natomiast była konferencja europejskich partii komunistycznych w Berlinie. Ale jeśli porównamy to co pisze o niej prasa sowiecka i zachodnia (w tej liczbie i komunistyczna) łątmo można dojść do przekonania, że miały miejsce co najmniej dwie różne konferencje. Na tej którą chwali prasa zachodnia — zachodnio-europejskie kompartie uzyskały swobodę działania, błogosławieństwo Moskwy na porzucenie doktryny „proletariackiego internacjonalizmu” i zgodę na wykorzystanie drogi parlamentarnej dla dojścia do władzy. W prasie sowieckiej natomiast nie przestaje się podkreślać, że „proletariacki internacjonalizm jest jednym z głównych kanonów marksizmu-leninizmu” a wierność Moskwie „międzynarodowym obowiązkiem komunistów”. Przemówienia tych komunistycznych leaderów którzy pozwolili sobie na wypowiedzenie niektórych nie bardzo ortodoksyjnych myśli zostały poddane znacznym poprawkom cenzuralnym. Za to usilnie podkreślano i wielokrotnie cytowano tych, którzy mówili tak, jak trzeba. W wielkim artykule „Partia proletariackiego internacjonalizmu” (*Krasnaja Zwiezda*, 5. 8. 76) doktor nauk filozoficznych W. Jegorow pouczył niezupełnie posłusznych przedstawicieli niemieckiej kompartii (NRF): „Prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne niż niemiecka partia komunistyczna choć na jotę odstąpi od wskazań Marksa, Engelsa i Lenina, od wielkiej idei proletariackiego internacjonalizmu”. Prasa zachodnia z wielkim zadowoleniem stwierdziła, że w końcowym dokumencie konferencji berlińskiej nie było słów „proletariacki internacjonalizm”. Zamiast nich użyto wyrażenia: „Międzynarodowa współpraca i solidarność na zasadzie wielkich wskazań Marksa, Engelsa i Lenina”. Prasa sowiecka zupełnie jasno daje do zrozumienia, że to wrażenie



jest jedynie synonimem proletariackiego internacjonalizmu. Tym, którzy atakują tę „główną zasadę marksizmu-leninizmu” prasa sowiecka wymyśla od „prawych” i „lewych” rewizjonistów, maosistów, nacjonalistów różnej maści i odcieni.

O sprzecznościach między sowieckimi i niektórymi zachodnio-europejskimi komunistami, o których tak dużo pisała prasa zachodnia, raz tylko wspomina *Prawda*. Znany partyjny teoretyk Georgij Szachnazarow (15. 8. 76) mówi o nich następująco: „Różnice (w drodze do socjalizmu) nie są stałym czynnikiem. Jest to czynnik tymczasowy, który w pierwszym rzędzie przedstawia poziom rozwoju każdego systemu. W miarę dojrzewania socjalizmu wspólne cechy dla wszystkich krajów będą nabierały coraz większego znaczenia. Znaczy to, że Moskwa dopuszcza niektóre warianty w drodze do zdobycia władzy, ale twierdzi, że po jej zdobyciu wszystkie „kraje socjalistyczne” staną się podobne jedno do drugiego jak ziarnka grochu. A więc „policentryzm” tak zachwalany na Zachodzie staje się dla komunistów rozszerzeniem możliwości dojścia do władzy.

Zarówno prasa sowiecka jak i zachodnia pisały o konferencji berlińskiej różnie, ale bardzo dużo. O rocznicy podpisania końcowego protokołu Konferencji w sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie na Zachodzie pisano mało i trochę wstydliwie, w ZSSR zaś zwoycięsko i nieskończenie więcej. We wstępnym artykule pisma *Nowoje Wremia* (Nr 31) wylicza się „osiągnięcia konferencji w Helsinkach oraz sukcesy dyplomacji sowieckiej: 35 państw uznało „zasadę nienaruszalności istniejących w Europie granic”, tj. dominującą sytuację ZSSR w Europie, „świat burżuazyjny uznał — pisze autor artykułu — że wszystkie następne sprawy związane z socjalizmem można prowadzić jedynie drogą pokojową i tylko na zasadach równości”. Uchwały w Helsinkach — dodaje autor — „dały poważny impuls rozwojowi współpracy ekonomicznej między Wschodem i Zachodem” to znaczy, że Zachód zgodził się pomóc „krajom socjalistycznym” w rozwiązaniu szeregu problemów ekonomicznych, których one same nie były w stanie rozwiązać. Jednego tylko tematu prasa sowiecka nie lubi poruszać: współpracy w tzw. „dziedzinie humanitarnej”, to jest w dziedzinie rozszerzania wymiany informacji i rozwoju kontaktów między ludźmi. Każdy zarzut prasy zachodniej w tej dziedzinie przyjmuje się jako podejrzany „trick propagandowy” i „mieszanie się do spraw wewnętrznych krajów socjalistycznych”. Jednocześnie wymyślono oryginalny trick dla zdemaskowania „zachodniego mitu”, że jakoby społeczeństwo sowieckie jest „społeczeństwem zamkniętym”. Ulubiony stalinowski teoretyk, akademik M. Mitin (*Krasnaja Zwiezda*, 1. 8. 76) przytacza fakty z realnego życia, zaprzeczające mitowi o społeczeństwie zamkniętym. Pisze on, że w roku 1975, kraje wchodzące w skład RWPG odwiedziło ponad 58 milionów turystów z zagranicy. A jednocześnie około 35 milionów obywateli krajów socjalistycznych wyjechało za granicę”. Cyfry z 6-ciu zerami zawsze wyglądają

imponująco. Trick akademika Mikina polega na tym, że zwałił on na jedną kupę wszystkie kraje i w ten sposób mógł nie cytować cyfr dotyczących ZSSR.

Prawdziwym świadectwem stosunku Związku Sowieckiego to tzw. „dziedziny humanitarne” były: decyzja pozostania w Kanadzie młodego sowieckiego skoczka, członka ekipy olimpijskiej, gdyż w ojczyźnie nie pozwolono by mu na związek z Amerykanką, decyzja sowieckiego mistrza szachowego Wiktora Korcznego nie wracania do Moskwy, gdzie nie wolno mu grać w szachy tak jakby chciał, decyzja emigracji znanego sowieckiego historyka Aleksandra Niekrycza, autora książki „22 czerwiec 1941”, gdyż w ojczyźnie nie pozwalają mu pracować, podobna decyzja Andrieja Amalrika, gdyż w ojczyźnie KGB grozi mu więzieniem i śmiercią.

Andriej Amalrik w artykule „W rok po Helsinkach”, zamieszczonym w szeregu pism zachodnich, takie wyciąga wnioski: Stwierdza on, że Związek Sowiecki odniósł wielkie zwycięstwo przekonawszy 35 krajów europejskich by podpisały akt konferencji w Helsinkach. Amalrik zadaje pytanie: co za to Zachód otrzymał? Gdy zadaje to pytanie na Zachodzie — pisze on — odpowiadają mi: obietnicę ZSSR nieruszania zachodniego Berlina i pewne rozszerzenie stosunków Wschód-Zachód co pociąga za sobą poprawę sytuacji wewnątrz ZSSR. Amalrik komentuje tę odpowiedź: ZSSR już w 1945 roku obiecał nie ruszać Berlina i dodaje: „Nie wykluczam, że za 5 lat znowu powstanie problem Berlina i Zachód znowu będzie musiał ustępować aby uniknąć poważnego kryzysu”. Jeśli zaś idzie o sytuację wewnętrzną w ZSSR to Amalrik przypomina o skazaniu na 7 lat członka sowieckiego komitetu *Amnesty*, Siergieja Kowalewa, o zabiciu na progu jego domu poety i tłumacza Konstantina Bogatyrewa. „KGB — pisze Amalrik — jakby kompensując sobie niemożność przeprowadzania w obecnych warunkach masowych „legalnych” aresztowań, coraz częściej stosuje takie metody jak zabójstwo, pobicie, podpalanie mieszkań, wypadki samochodowe. Jednocześnie KGB dąży do tego, aby wszystkie te wypadki były „ostrzeżeniem” dla innych.

W czerwcu Andriej Sacharow zorganizował w Moskwie konferencję prasową, na której przedstawił materiały dotyczące próby zmontowania sprawy kryminalnej przeciwko jego zięciowi Jefremowi Jankielewiczowi. Jankielewicz próbuje się oskarżać, że spowodował katastrofę samochodową. Na tejże konferencji Sacharow przypomniał, że dysydentów i ludzi chcących emigrować oskarża się o „chuligaństwo” jak np. Aleksandra Feldmana i Leonida Tymczuka, o łapownictwo jak doktora Sterna, o opór przeciwko władzy jak Lwa Rojtburda, o zgwałcenie, jak historyka Tejmuraza Dżwarszejszwili w Tyflisie.

Okrucieństwo postępowania KGB to jeden z rezultatów konferencji w Helsinkach. Konferencja bowiem pozwoliła sowieckim przywódcom na zaliczenie wszystkich swoich przeciwników, wszystkich dysydentów, po prostu wszystkich tych, którzy poz-



walają sobie marzyć o rozszerzeniu kontaktów ludzkich, do szeregu wrogów „odprężenia”, do szeregu „podżegaczy wojennych”.

Państwo sowieckie nie może istnieć bez wrogów. Tylko istnienie wroga pozwala przywódcom domagać się od ludności ofiar, zgody na ograniczenia. Polskie kierownictwo, które straciło możliwość przedstawiania Zachodnich Niemiec jako wroga, zmuszone jest ciskać gromy przeciw jednemu pozostałemu wrogowi — przeciw chuliganom. Brzmi to nie bardzo poważnie: klasa robotnicza, wychowywana przez 30 lat przez partię, natychmiast poddaje się wpływow chuliganów! Związek Sowiecki w ostatnich latach, w okresie *détente*, także ma pewne kłopoty z „wrogami”. Wróg traci swoją konkretność: trzeba robić subtelne rozróżnienia między amerykańskim imperialistą zwolennikiem *détente* i jego bliźniakiem — przeciwnikiem *détente*, między „dobrymi” zachodnioniemieckimi socjal-demokratami — powiedzmy Brandtem, a niezbyt dobrymi — na przykład Schmidtem. W miesiąc po podpisaniu protokołu w Helsinkach, we wrześniu 1975 roku, w największym kinie moskiewskim „Rossija” rozpoczęto wyświetlanie filmu, na który nie sprzedawano biletów, ale je rozdzielano organizacją partyjnym, związkom zawodowym, etc. Film nazywał się „Pajęczyna” (reżyser L. Mochnacz) i ukazywał „konkretnego wroga”. Widzowie-propagandyści zobowiązani byli zapoznać masy z wizerunkiem tego wroga. Nawiasem mówiąc jest to jeden z najważniejszych chwytów sowieckiej propagandy: najbardziej jadowite, najbardziej kłamliwe informacje rozszerza się w czasie wykładów, referatów, w poufnej, intymnej formie. „Pajęczyna” będąca rodzajem dokumentalno-montażowego filmu, demonstrowała przede wszystkim potęgę KGB. Ukryte kamery KGB rejestrowały wszystko co się odbywało na Szeremietewskim lotnisku w Moskwie i na międzynarodowym Syjonistycznym Kongresie w Brukseli. Do bramy domu w jakimś kraju skandynawskim podjeżdża samochód, kierowca wchodzi do domu, wraca z paczką książek pod pachą. Następny kadr — granica sowiecka, na kierowcę już czekają i natychmiast znajdują schowane, „nielegalne” książki. Potęga KGB demonstrowana w tym filmie ma na celu zdemaskowanie wroga: wróg to emigranci, dysydenci, syjoniści. To właśnie oni w pierwszej kolejności występują przeciw „duchowi Helsinek”.

Na skutek widocznego niedopatrzenia redakcji *Krasnaja Zwiezda* (11. 7. 76) zamieściła na jednej stronie (strona 3-cia), i to obok siebie, dwie informacje. Jedną pod tytułem „Potępienie agresji”, drugą „Mordercy na wolności”. W pierwszej potępia się „piracki napad soldateski izraelskiej na terytorium suwerennego państwa Ugandy”, w drugiej wyraża się oburzenie na to, że sąd turecki uwolnił ojca i syna Brazinkasów, Litwinów, którzy w 1970 roku porwali samolot Aeroflotu i zmusili go do lądowania w Turcji.

Wyraźne trudności napotyka prasa sowiecka przy naświetlaniu wydarzeń w Libanie, którym codziennie poświęca się w prasie

dużo miejsca. W ani jednej informacji nie wspomniano, że woj-ska syryjskie znajdują się w Libanie: między Syrią i ZSSR istnieje umowa o przyjaźni i wzajemnej pomocy, taka sama jaką niedawno zerwał z Rosją Egipt. Wojna w Libanie jest przedstawiana jako walka między „palestyńskim ruchem oporu i narodowo-patriotycznymi siłami” z jednej strony, a „prawicowo-chrześcijańskimi” oddziałami z drugiej. Jednakowoż inicjatorem wojny — w myśl prasy sowieckiej — jest zawsze „izraelska soldateska”, „izraelskie kierownictwo”. To im — pisze *Komsomolskaja Prawda* (10. 8. 76) „jest potrzebna wojna w Libanie”, to oni rozpalił wojnę domową i wszystkimi siłami nie dopuszczają do jej zakończenia.

Co się tyczy Związku Sowieckiego to, jak pisze *Krasnaja Zwiezda* (3. 8. 76), „stoi on twardo po stronie palestyńskiego ruchu oporu i narodowo-patriotycznych sił Libanu”. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy — sądząc po prasie sowieckiej — nastąpiła ewolucja w stosunku kierownictwa sowieckiego do wojny w Libanie: Dzisiaj — w połowie sierpnia — już nie tylko przedstawia się Izrael jako głównego inicjatora wojny domowej ale ponadto wybrano w charakterze najlepszego przyjaciela palestyńską organizację Arafata. W związku z tym robi się różnice pomiędzy terrorystami: są „prawi terroryści” i „terroryści-rewulucjonści”, którzy tym samym przestają być terrorystami.

Jest oczywiste, że „prawi terroryści” to są prowokatorzy, z którymi należy rozprawiać się bezlitośnie. 8 sierpnia *Prawda* z oburzeniem pisała o prowokatorach i terrorystach: „6-ciu zachodnioniemieckich strażników granicznych przeszło granicę z bronią w rękę i rzuciło w stronę strażników NRD dymną petardę”. Któż po takim wypadku odważy się zarzucić strażnikom NRD zastrzelenie włoskiego kierowcy ciężarówki, który najbardziej legalnie przejeżdżał w Berlinie granicę między dwoma państwami niemieckimi.

Wśród wydarzeń w samym Związku Sowieckim prasa poświęciła specjalną uwagę VI Zjazdowi Pisarzy ZSSR, który miał miejsce w początkach lipca. I-szy Zjazd pisarzy sowieckich miał miejsce w 1934 roku, II-gi zebrał się dopiero po śmierci Stalina. Obecnie Zjazdy odbywają się regularnie i każdy jest regularnie gorszy od poprzedniego. Trudno powiedzieć jak będzie wyglądał VII-my Zjazd, ale trzeba stwierdzić, że trudno byłoby, aby mógł być gorszy od VI-tego.

Zjazd otworzył Nikołaj Tichonow, który w bieżącym roku skończył 80 lat i który dawno dawno temu, w czasach prawie przedhistorycznych, był utalentowanym poetą. Jego przemówienie inauguracyjne trwało jedną minutę, ale przez ten czas ponownie inauguracyjnie zacytował Breżniewa. Od siebie dodałbym, trafił on pięciokrotnie zacytować Breżniewa. Bądźcie powieścią, że „i dzisiaj biją na alarm słowa Fuczika: Bądźcie czujni!”. Wódz pisarzy sowieckich, Giorgij Markow, zaczął swoje przemówienie następująco: „Nas oskrzydla wysoka ocena pracy pisarskiej dana przez Leonida Illjicza Breżniewa. Jesteśmy



wraz z narodem szczęśliwi pod mądrym kierownictwem partii komunistycznej, leninowskiego KC, Politbiura z towarzyszem L. I. Breżniewem na czele...". Markow wyliczył czego wymaga się dzisiaj od pisarzy sowieckich: „wiernego kierunku ideowego, partyjnego zapału, dojrzałości myśli socjalistycznej, ostrości pisarskiego spojrzenia” i, na samym końcu, — „wielkiego zawodowego rzemiosła”. Jeżeli oceniać według tych kryteriów rosyjską literaturę klasyczną, to można śmiało powiedzieć, że ani jeden z pisarzy nie zdałby takiego egzaminu. Markow zapowiedział, że po Zjeździe nastąpi zmiana „legitymacji”, to jest czystka pisarzy.

W 1952 roku Stalin wezwał na „rozmowę” grupę pisarzy. Pisarze zapytali go: „co dzisiaj trzeba pisać?”. Z wrodzoną mu otwartością wódz narodu odpowiedział: „Piszcie prawdę”. Po ćwierćwieczu wymaga się od pisarzy tej samej stalinowskiej prawdy, nazywając ją „wiernym kierunkiem ideowym”, „partyjnym zapałem”, „dojrzałością myśli socjalistycznej”.

Zjazd odbył się pod znakiem „czujności”, wymagania bezlitosnego demaskowania wroga. Redaktor *Literaturnej Gazety*, A. Czarkowski, zwrócił uwagę na konieczność wniesienia poprawek do partretu założyciela państwa: „W pewnym okresie Lenin był przedstawiany jako „miękki humanista”, „dobroduszny, dyskutujący jedynie na tematy czysto teoretyczne... pojednawczo nastawiony do wrogów, prawie że wszystko wybaczący”. Zjazd przeszedł również pod znakiem *détente*, to jest pod znakiem zaostrezenia walki z wrogami i rozpalania wojennej psychozy w kraju, pod znakiem ideologicznej ofensywy.

Adam KRUCZEK

## PRZEMIANY

BIULETYN INFORMACYJNY PPS W NIEMCZECH

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.  
W. GERMANY

## Sprawy i troski

### Raptularz londyński

Rok 1976 zaznaczył się w Anglii upadkiem dwóch rządów. Najpierw ustąpił rząd angielski premiera Wilsona, potem — emigracyjny rząd polski. Przegrupowanie rządu angielskiego nie należy tu do tematu. Co się zaś tyczy rządu p. Alfreda Urbańskiego, to przyczyn jego upadku należy szukać w sporze z Komisją Skarbu Narodowego. Skarb Narodowy istnieje, aby finansować działalność rządu. Wygląda to prosto, ale w legalnej próżni jaką jest emigracyjne państwo polskie, nie ma sytuacji prostych. Jako ilustracja trudności w funkcjonowaniu mechanizmu naszej organizacji niech posłuży epizod sprzed 26 lat. Oto relacja (skrócona) Stanisława Cata-Mackiewicza:

„Tomaszewski zorganizował Skarb Narodowy, zresztą przy pomocy p. Hryniewskiego. Każdy Polak na emigracji miał do tego Skarbu wpłacać kwotę jednego szylinga miesięcznie... Ale pieniądze zaczęły odgrywać swoją faustowską rolę. Pan Hryniewski zebrał już pewne kwoty na Skarb, ale... p. Tomaszewskiemu na jego bardzo już nielicznych urzędników nie dawał nic. Oczywiście, że za tym ukrywał się pewien nacisk w kierunku takiej czy innej obsady owego rządu... Poczciwy p. Modrzewski... starał się namówić Hryniewskiego, aby dał pieniądze premierowi na konieczne wydatki. Wreszcie p. Modrzewski telefonuje do mnie... abym przyszedł na herbatkę, na której zostanie uzgodnione pomiędzy Tomaszewskim a Hryniewskim dalsze finansowanie rządu... Tomaszewski jak zwykle był czarujący... Wygłosił krótkie przemówienie o pieniężnych potrzebach rządu. Ku naszemu powszechnemu zdumieniu Hryniewski odpowiedział, że jako Skarb Narodowy żadnych pieniędzy dać nie może. Tomaszewski wstał błady, zaczął coś mówić o sobie, że zawsze był człowiekiem obowiązku... rzucił na stół ołówkiem z gestem zawodu i usiadł. Zaczął mówić pewien jegomość ze Stronnictwa Pracy i przerwał, bo Tomaszewski zaczął charczeć. Po chwili wstał i... upadł na ziemię. Już leżał długi, z zamkniętymi oczami, z twarzą zupełnie błądą... Kuncewicz sprowadził karetkę, która nie przywozła zresztą lekarza tylko tragarzy, którzy wynieśli naszego premiera... Zaraz ze szpitala zadzwonił telefon, że Tomaszewski nie żyje... Prezydent Zaleski był pod Londynem. Przyjechał i powiedział, że Tomaszewski został zamordowany...” (Zielone Ocy, str. 239-41).



W ciągu lat, które upłynęły od tego dramatycznego wydarzenia, istota zagadnienia nie uległa zmianie. W ubiegłym roku p. Urbański przedstawił budżet w wysokości 29 tys. funtów, otrzymał 12 tysięcy. Gdy zaczął nalegać nie tylko na zwiększenie dotacji, ale na wyliczenie się przez Komisję z wpływów i rozchodów, Komisja odpowiedziała tak jak kiedyś premierowi Tomaszewskiemu. Premier Urbański wprawdzie od tego nie umarł, ale musiał odejść. Patrząc wstecz na czteroletnią kadencję premiera Urbańskiego przyznać trzeba, że okazał się on rządzący sprawnym i energicznym. Jego niewątpliwą zasługą było założenie centralnego ogrzewania w domu przy 43 Eaton Place („zamek”). Dom ten był zawsze główną troską i domeną działalności rządu. Już w zaraniu naszej emigracyjnej egzystencji minister skarbu Sopicki powiedział: „Największą naszą troską jest wojско, sprawy zagraniczne oraz komorne”. W chwili obecnej utrzymanie „zamku” kosztuje ok. 4 tys. funtów rocznie. Rząd uważa wydatek ten za konieczny, bo budynek zawiera zbiory o wartości muzealnej (jest to tylko jedno z naszych muzeów — Instytut Sikorskiego jest drugim, Fundacja Lanckorońskich planuje założenie trzeciego).

Poszukiwania następcy premiera były trudne. Staranne przeczesanie Rady Rzeczypospolitej, która zaczęła kadencję stanem 200 osób, ale w międzyczasie stopniała do połowy, wykazało, że ludzi dysponujących koniecznym minimum sił duchowych i cielesnych jest bardzo mało. Na placu niemal automatycznie pozostał p. Sabbat, który — podobnie jak p. Urbański — cieszy się poparciem p. Adama Ciołkosza. Ten zaś z kolei ma za sobą poparcie Wolnej Europy. Może teraz nie oznacza to wiele, ale podobno kiedyś, gdy panowało rozbitcie między „Zamkiem” a Radą Jedności, skarb Rady (na czele którego stał p. Sabbat) otrzymywał z tego źródła 6 tysięcy niezdevaluowanych funtów rocznie.

P. Kazimierz Sabbat utworzył nowy rząd, w którym obok kierownictwa objął spraw krajowych i prawodawstwa. Inne działy objęli: Zygmunt Zawadowski — sprawy zagraniczne; Zygmunt Szadkowski — sprawy emigracji i skarbu; gen. Stefan Brzeszczyński — sprawy wojskowe; Mieczysław Sas-Skowroński — sprawy informacji; Czesław Czapliński — sprawy oświaty; Stefan Urbański — bez teki; Bohdan Wendorf — podsekretarz stanu. Ponadto Adam Ostoja-Ostaszewski — kierownictwo spraw kultury; Andrzej Zakrzewski — członek działu spraw krajowych.

Nowy rząd został zaprzysiężony 11 sierpnia br.

Zwraca uwagę zmniejszenie ilości członków rządu, pojawienie się — co prawda jeszcze nieśmiało — tytułu kierownika działu zamiasta ministra, a przede wszystkim udział młodego pokolenia emigracyjnego w osobie Andrzeja Zakrzewskiego.

Podobno z prywatnych wypowiedzi p. Sabbata wynika że jego program „zbliżony jest do stanowiska *Kultury*”. Należy wyjaśnić,

że *Kultura* zapatruje się sceptycznie nie tylko na kontynuowanie państwa polskiego na emigracji, ale i na partie polityczne, zwłaszcza te, które operują historycznym „mandatem krajowym”. Ilość miejsca, poświęconego na tych szpaltach londyńskiemu ośrodkowi legalnemu jest miarą nie tyle jego znaczenia, co pewnej egzotycznej malowniczości. Gwoli sprawiedliwości należy jednak podmalować całokształt obrazu.

Obecny ośrodek rządowy powstał w 1972 roku przez fuzję dwóch zwalczających się uprzednio grup, z których każda zawierała jedynie odpryski różnych partii. Jedna partia, mianowicie Stronnictwo Narodowe, która do 1972 roku wchodziła w skład jednej z łączących się grup wystąpiła ze Zjednoczenia i przy pomocy jednego z licznych odprysków Stronnictwa Pracy stworzyła własne zjednoczenie pod nazwą „Zjednoczenie Narodowe”. Od tego momentu endecy poszli na politykę awanturniczą. Odciąwszy się hałaśliwie od emigracji, zaczęli robić awanse w stronę „właścicieli Polski Ludowej”. Tu jednak spotkał ich zawód. Ani Warszawa, ani Moskwa nie wykazały entuzjazmu, jakiego spodziewali się inicjatorzy tej *realpolitik*. Po czterech latach przemawiania do sowieckiego obrazu narodowy dziad uznał, że z tej mąki chleba nie będzie. IV Centralny Zjazd Stron. Nar., który odbył się w maju br. sprowadził Stronnictwo na tradycyjne tory emigracyjne. W uchwałach tego zjazdu czytamy m.in., że PRL rządzona jest „przez opartą o obcą siłę zbrojną partyjną dyktaturę, która... pozbawia społeczeństwo podstawowych praw obywatelskich” i że „naczelnym celem naszej działalności jest przywrócenie Polsce niepodległego bytu”. Uchwały wypowiadają się również przeciw emigracyjnemu legalizmowi, który „przestał służyć sprawie polskiej i stanowi utrudnienie dla akcji na gruncie międzynarodowym... ośmiesza polską emigrację polityczną i oddala ją od kraju i Polonii”, natomiast określają działalność Zjednoczenia Narodowego jako „postawę do rozszerzenia współpracy politycznej na emigracji”. Wygląda więc, że narodowcy są do wzięcia i czekają na oferty.

Żeby nie było żadnych wątpliwości co do zmiany frontu przez narodowców, nestor Stronnictwa, p. Tadeusz Bielecki, w artykule ogłoszonym po zjeździe w *Dzienniku Polskim* skrytykował niewczesne ciągoty do *appeasement'u*, których motorem — według p. Bieleckiego — jest pewien „młody profesor polski w Ameryce”.

Długo przed powstaniem „zjednoczenia legalnego”, a mianowicie w 1963 roku powstała *Federacja Ruchów Demokratycznych*, obejmująca odłamy następujących partii: PPS, PSL, Stronnictwo Pracy, Stronnictwo Demokratyczne. Weszła tu również w całości partia *Niepodległość i Demokracja*, która charakteryzuje się tym, że w ciągu swego istnienia nie zaznała rozłamu. Dzieje się tak dlatego, że partia ta powstała na emigracji w okresie powojennym i nie ma „mandatu krajowego”. Koncept mandatu krajowego zrodził się podczas wojny i odgrywał dużą rolę w funkcjonowaniu rządu gen. Sikorskiego i Rad Narodowych tamtego okresu. Dawał on realne i duże przywileje pewnym grupom i jednost-



kom i ceniony był jak ongiś klejnot szlachectwa. Namaszczony mandatem był każdy człowiek, który był członkiem partii „historycznej” w okresie przedwojennym. Z biegiem czasu człowiek taki nabierał cech proroka. Nic dziwnego, że nadziane prorokami stronnictwa stały się ofiarą plagi rozłamów.

*Federacja* od początków swego istnienia wykazywała dużo zdrowego rozsądku, przyznając (po 1956 r.), że kraj ma jednak możliwości politycznego wypowiedzenia się i że przyjmowanie przez emigrację pozycji nadrzędności jest nieuzasadnione. Spośród wymienionych ośrodków politycznych *Federacja* jest jedynym, który wykazał autentyczne zainteresowanie nową emigracją, zwłaszcza po 1968 roku, i włożył duży wysiłek w utrzymanie kontaktu z krajem.



Podczas gdy różni ludzie zabiegają o stworzenie lub utrzymanie własnych muzeów, gmach, który został postawiony dla pomieszczenia ich wszystkich stoi niewykończony, a jego budowniczość zmagają się z trudnościami nie do opisaniami. Potrzeba pół miliona funtów, żeby wykończyć POSK i zabezpieczyć finansowo jego byt. Te pół miliona jest ceną, jaką społeczność polska musi zapłacić za kłótniwość, małostkowość, ślepe sobkostwo nie tyle własne, co swoich samowolnych przywódców. Gdyby nie dywersja kieszonkowych wodzów, która od początku hamowała akcję budowy, POSK byłby dawno skończony i kwestia tego dodatkowego pół miliona w ogóle by nie powstała. Potrzeba zwiększonych funduszy jest bowiem wynikiem inflacji, wynikiem przeciągania prac przy gwałtownie rosnących cenach.

Zasadnicza koncepcja POSK'u jest w dalszym ciągu bez zarzutu: kompleks muzealno-społeczno-handlowy, w którym ogniskuje się bieżące życie towarzyskie i kulturalne Polonii (część społeczna), ale którego głównym celem jest przechowanie na dowolnie długą przyszłość *idei emigracji* (część muzealna); koszty przechowania pokrywa część handlowa, która przy obecnych cenach i w obecnym układzie przynosi ponad sto tys. funtów dochodu rocznie. Chodzi tu o zabezpieczenie pamiątek i uniezależnienie ich od różnych zbiorów, bo te jak łatwo przewidzieć, będą bardzo zawodnym źródłem dochodu w przyszłości.

Koncepcja powyższa zakłada skomasowanie w POSK'u dużej części istniejącego kapitału społecznego emigracji polskiej w Anglii. Ale tu, jak mówi Mackiewicz „pieniądze zaczęły odgrywać faustowską rolę”. Kapitał był społeczny, ale w dyspozycji prywatnych osób. Osobom tym nie na rękę było rezygnowanie z kontroli nad nim. Dysponenci głównych polskich funduszy nie tylko nie przyłączyli się do budowy POSK'u, ale wszczęli konkurencyjne akcje zbiorowe, których celem było odwrócenie uwagi społeczeństwa od POSK'u. Spójrzmy prawdzie w oczy: Wszystkie akcje zbiorowe na Fundację Sztandarów, na Instytut Sikorskiego, na „Zamek” itd. itd. nie tylko nie przyczyniają się do

przetrwania emigracyjnych wartości, ale wprost przeciwnie — pomniejszają możliwość ich przechowania. Dorywcze zbiórki publiczne nigdy nie zabezpieczą wartości jednego pokolenia na czas dłuższy, niż trwanie tego pokolenia. Trwałość dać mogą jedynie wielkoskalowe fundacje oparte na zdrowej bazie dochodowej. POSK ma dane, aby stać się taką fundacją. Potrzeba mu do tego w tej chwili pół miliona funtów. Zrozumienie tego faktu zaczyna przenikać do szerokich warstw społeczeństwa polskiego na wszystkich kontynentach. Prasa polska w krajach rozproszenia ogłasza apel podpisany przez przedstawicieli wszystkich organizacji kombatanckich, przedstawicieli duchowieństwa i wszystkich ważniejszych organizacji społecznych w Anglii, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Argentynie i Australii. Sygnariusze apelują „do wszystkich Polaków poza granicami Polski... by powszechną i natychmiastową ofiarnością dopomogli doprowadzić do końca rozpoczęte dzieło”. Powtórzmy jeszcze raz: chodzi tu o zbiórkę, która wyeliminuje potrzebę wszystkich innych zbiorów.

Zastanówmy się, co należy przechować. Z pewnością nie dobra materialne. „Płomień rozgryzie malowane dzieje, Skarby mieczowi spustoszą złodzieje, Pieśń ujdzie cało...”. Rozumiejąc tę prawdę, galeria Grabowskiego przekazała swe zbiory do muzeów w Polsce. Nasze ogromne ongiś skarby zostały już mocno spustoszone i ulegają dalszemu spustoszeniu. Obrazy zdobiące nasz „zamek” czy zegar grający mazurka Dąbrowskiego w Instytucie Sikorskiego prędzej czy później pójdą na jakieś licytacje. Odesłanie do kraju tego rodzaju pamiątek przyniosłoby większy pożytek, niż trzymanie ich za granicą. Nasza cała uwaga skierowana być powinna na PIEŚŃ, na ideę emigracji. Zawarta jest ona w archiwach, dokumentach, pamiętnikach, kolekcjach czasopism i druków. Konkretnie chodzi więc o zabezpieczenie Biblioteki Polskiej (wraz z biblioteką Instytutu Sikorskiego, która niewątpliwie z czasem przyłączy się do Biblioteki Polskiej), a więc o zrobienie czegoś analogicznego do tego, co w swoim czasie zrobiła Wielka Emigracja.

Z okazji przeprowadzki Biblioteki do POSK'u (przeprowadzkę udało się odłożyć do października) trzeba ustalić jej „model” czyli profil zbiorów. Biblioteka ta ma w swej tradycji długą służbę uniwersytecką (jako biblioteka Polish University College) i to w dużym stopniu techniczną. Dziś o tradycjach tych należy zapomnieć. Biblioteka nie ma środków na trzymanie działów technicznych, medycznych itd. ani w języku angielskim, ani w polskim. Nikt w Anglii nie będzie studiował tych przedmiotów w języku polskim. Nieliczne zapytania specjalistów można kierować do kompetentnych instytucji w Polsce. Biblioteka nie jest też biblioteką narodową i nie powinna mieć ambicji stania się muzeum książki polskiej. Ambicje trzymania wszystkich możliwych wydań wszystkich bez wyjątku książek są niepotrzebnym luksusem. Specyfika biblioteki powinna być wyraźnie określona: *primo* jest ona archiwum emigracji w najszerszym tego słowa



znaczeniu (archiwa, czasopisma, książki), *secundo* — jeśli chodzi o wydawnictwa krajowe — zbiornicą informacji o Polsce, *tertio* propagatorem wiedzy o Polsce.

P. EMIGRANT

## Slawistyka w bibliotekach naukowych Kanady

Slawistyka na uczelniach kanadyjskich jest jeszcze młoda stąd i księgozbiory w bibliotekach uniwersyteckich są niedostateczne. Należy pamiętać, iż zaledwie kilka uczelni powstało w XIX wieku biorąc swój początek w kolegiach kościelnych. Rozwój uniwersytetów nastąpił po ostatniej wojnie światowej i nie został zakończony, jak o tym świadczy uruchomienie uniwersytetów jeszcze w latach 1960-tych. Biblioteka Narodowa Kanady (*National Library of Canada*) przeprowadza badania zasobów księgozbiorów wyższych uczelni. Są to studia specjalne, opracowane przez wybitnych fachowców, które posłużą władzom uniwersyteckim i dyrektorom bibliotek na podjęcie kroków zmierzających do usunięcia błędów i braków oraz do przeprowadzenia zmian w systemie gromadzenia książek.

W bież. roku ukazała się praca dr. Bohdana Budurowycza pt. *Slavic and East European Resources in Canadian Academic and Research Libraries*\*. Autor jest profesorem Uniwersytetu Toronto, gdzie wykłada kulturę słowiańskich narodów oraz bibliografię. Prof. Budurowycz szkołę średnią ukończył w Polsce, ale studia akademickie na uniwersytecie, na którym obecnie wykłada. Doktorat z historii uzyskał na Columbia University w Nowym Jorku. Jest m.in. autorem doskonałej pracy o stosunkach polsko-sowieckich, za którą otrzymał nagrodę Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Należy do tych naukowców, którzy nie zamykają się w jednej specjalności, względnie rozbudowują tę specjalność. Jest on znawcą literatury badającej wszystkich narodów słowiańskich. Spędził kilka lat w Bibliotece Uniwersytetu Toronto w dziale słowiańskim. Był więc chyba najbardziej predystynowany do zbadania i oceny działu słowiańskiego oraz wschodnio-europejskiego w bibliotekach naukowych.

Zbiory dotyczące narodów słowiańskich i Wschodniej Europy — z wzięciem biblioteki Uniwersytetu Toronto — powstały po drugiej wojnie światowej, dokładnie w latach 1950 i 1960. Są w większości dziełem przypadku, stąd też ogromne luki. Uczelnie na których wykładano cokolwiek z zakresu slawistyki mają pewien zestaw książek. Jeśli profesorem był polonista to w bibliotece są książki z języka i literatury polskiej, a gdy wykładowcą był historyk to inny jest skład książek. Zainteresowania profesorów w poszczególnej dziedzinie formowały niejako oblicze bibliotek uniwersyteckich. I tak np., pozostając na przykładzie polonistyki, w uczelniach

\* Bohdan Budurowycz, *Slavic and East European Resources in Canadian Academic and Research Libraries*, pp. XV-595. National Library of Canada, Ottawa, 1976.

w których wykładowca zainteresowany był współczesną literaturą jest ona dobrze reprezentowana, przykładem Toronto i Ottawa, podczas gdy klasyka w Université de Montréal. Na pierwszych dwóch zaważyli profesorowie Bienkowska i Krukowski a na ostatnim Domaradzki. We wszystkich wielkich bibliotekach znajdują się komplety m.in. *Kultury* a prof. Budurowycz kładzie nacisk na posiadanie zarówno literackich i naukowych czasopism emigracyjnych jak i dzieł autorów emigracyjnych. Dotyczy to zarówno publikacji w języku polskim jak rosyjskim, ukraińskim, itp.

Profesor Budurowycz zbadał zasoby 67 bibliotek. W uniwersyteckich znajdowało się około 650.000 tomów dotyczących spraw słowiańskich i wschodnio-europejskich a w innych zbadanych zbiorach około 150.000 tomów. Zakłada on iż po zakończeniu badań w 1974 roku w bibliotekach uniwersyteckich oraz kilku innych, posiadających książki potrzebne pracownikom naukowym, znajdowało się około 900.000 tomów.

Analizując i oceniając stan tych bibliotek prof. Budurowycz stwierdza iż nie posiadają one dostatecznego materiału dla pracy doktoranckiej z jakiegokolwiek działu. Doktorant musi uzupełniać swoje badania materiałami z bibliotek poza Kanadą. Ten stan rzeczy wynika z przypadkowości powstawania zbiorów oraz z braku fachowego personelu bibliotecznego. Zakupy są nieskoordynowane i stąd w bibliotekach powtarzają się te same pozycje (dotyczy to również czasopism) a brak jest podstawowych dzieł, w tym słowników i encyklopedii.

Niemal połowa zbiorów dotyczy rusycystyki, najszerszej pojętej. W niektórych bibliotekach poza książkami dotyczącymi całego obszaru ZSSR — w tym oczywiście i stanu przed rewolucją — jest niewiele prac dotyczących innych narodów słowiańskich. W zestawieniu jednak ogólnym na drugim miejscu plasuje się na przemian Polska i Ukraina. Różnice między tymi zestawami książek są zresztą nieduże.

Prof. Budurowycz zbadał kilka bibliotek grup etnicznych, w tym dwie polskie: Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego w Toronto i Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce — oddział kanadyjski — w Montrealu.

Omawiając pierwszą wskazuje na jej charakterystyczną odrębność. Jest wybitnie specjalistyczna. Zasoby nie są duże (liczą 6.000 tomów, a katalog rzeczowy ponad 15.000 pozycji) ale zawierają materiały — w tym dokumenty, pamiętniki, archiwa — dotyczące wyłącznie grupy polskiej w Kanadzie. W zbiorach znajdują się wszystkie publikacje dotyczące grupy polskiej w tym kraju oraz publikacje — wszelkiego typu — osób pochodzenia polskiego, obywateli kanadyjskich względnie zamieszkałych w Kanadzie. Zdaniem Biblioteka posiada komplety wszystkich czasopism polonijnych. Zdaniem prof. Budurowycza jest ta biblioteka — „jedną z najlepiej zorganizowanych bibliotek etnicznych w Kanadzie” i „może służyć jako wzór dla podobnych instytucji pragnących zachować i udostępnić poważnym badaczom różnorodny materiał rzucający światło na wkład poszczególnych grup etnicznych do historii i kultury Kanady”.

Druga biblioteka korzysta z pomieszczenia na terenie Uniwersytetu McGill i właściwie spełnia rolę słowiańskiego działu biblioteki tego uniwersytetu. Liczy ona blisko 21.000 tomów, w tym połowa jest w języku polskim. Prof. Budurowycz podkreśla iż spełnia ona swoje zadania w sposób absolutnie znakomity „zaopatrując badaczy w informacje bibliograficzne oraz dokumentację odnośnie wszystkich zagadnień dotyczących Polski i polskiej kultury”. Wskazuje jednak na konieczność pewnych zasadniczych zmian a mianowicie oddzielenia zbiorów służących dla szerokiej publiczności od przeznaczonych dla pracowników naukowych. Biblioteka Polska jest popularną wypożyczalnią książek a ponadto czytelnią w której znajduje się duża ilość czasopism polskich emigracyjnych i krajowych.

Biblioteka Polska posiada największy zbiór publikacji dotyczących pro-



blemów współczesnej Polski, w tym publikacji rządu RP w okresie wojny i publikacji odnoszących się do problematyki okupacyjnej. Zwraca uwagę cenny i bogaty zbiór czasopism wśród których znajdują się takie bibliofilskie już pozycje jak komplety *Przeglądu Powszechnego* (203 tomy), *L'Aigle blanc* (Lozanna, 1916-18), *Studia irańskie* (Teheran, 1943-45), *La Voix de Varsovie* (1939-1940). Jest też w tej bibliotece pierwsze wydanie: „Pism, mów i rozkazów” Józefa Piłsudskiego.

W zbiorach kanadyjskich bibliotek jest sporo cymelii w języku polskim i w innych. Znajdują się zarówno pierwsze wydania różnych książek, jak i egzemplarze dawno wyczerpanych. Nie zastępują one jednak poważnych braków, jak to podkreśla prof. Budurowycz.

Oceniając stan dotyczący Polski pisze on: „Generalnie rzecz biorąc żadna kanadyjska biblioteka nie posiada prawdziwie reprezentatywnego zbioru polskiego. Największe braki występują w odniesieniu do literatury z okresu przed 1945 r., w czasopiśmie historycznych i innych włącznie z publikacjami Polskiej Akademii Nauk oraz innych instytucji naukowych.

We wszystkich większych bibliotekach znajdują się pełne naukowe wydania klasyków oraz prace krytyczne o nich ale brak jest dzieł zarówno wybitnych pisarzy jak i krytyków z końca XIX-go i początku XX-go wieku. Dotyczy to szczególnie pozycji związanych z „Młodą Polską”. W wielu bibliotekach słabo reprezentowana jest współczesna literatura.

Jeśli chodzi o historię, to zasoby w większych bibliotekach są lepiej zbalansowane aniżeli w dziale literatury. Brak jest jednak całkowicie dzieł niektórych wybitnych historyków oraz prac z okresu międzywojennego, a to znacznie obniża wartość zbiorów historycznych. W większości bibliotek położono przesadny nacisk na okres od 1918 roku, podczas gdy historia średniowieczna, dzieje Unii Polsko-Litewskiej i wybuch pierwszej wojny światowej — reprezentowane są tylko powierzchownie. Są to słabe punkty odnoszące się zresztą i do innych dziedzin. Niektóre większe biblioteki posiadają jednak dostateczną ilość prac opublikowanych ostatnio i nieco dawniejszych w dziedzinach: nauki polityczne, ekonomia a w mniejszym stopniu: filozofia i religia”.

Pod względem liczbowym zbiory dotyczące spraw polskich w bibliotekach uniwersyteckich przedstawiają się następująco:

Bibl. uniw.	Literatura i język	historia	inne działy	ogółem
Toronto . . . . .	7.500	4.000	2.500	14.000
Br. Kolumbia . . . . .	4.500	3.000	1.250	8.750
Alberta . . . . .	6.200	1.000	1.000	8.200
Ottawa . . . . .	3.350	1.000	250	4.600
Montreal . . . . .	2.500	1.200	200	3.900
Western Ontario (London) . . . . .	1.000	400	100	1.500
Calgary . . . . .	600	750	100	1.450
Manitoba . . . . .	750	250	200	1.200
Simon Fraser (Vancouver) . . . . .	400	300	200	900
Carleton (Ottawa) . . . . .	200	350	250	800

W zestawieniu tym prof. Budurowycz nie uwzględnił stanu obu bibliotek polskich Instytutu Badawczego w Toronto i Polskiego Instytutu w Montrealu jak i również bibliotek uniwersyteckich, których zbiory dotyczące Polski są minimalne i nie mają praktycznej wartości dla pracowników naukowych.

Pionierska praca prof. Budurowicza posiada wielkie znaczenie dla wszystkich zainteresowanych publikacjami dotyczącymi narodów słowiańskich i

wschodnio-europejskich, w tym oczywiście również autorów i wydawców, nie mówiąc o bibliotekarzach.

Polecić ją należy również bibliofilom, jakkolwiek dla nich będzie to trochę jak lizanie cukierków przez szybę. Nie mniej jednak emocjonują informacje iż można znaleźć w niektórych bibliotekach takie unikatki jak *M. K. Ogiński: „Mémoires sur la Pologne et les Polonais”* (Paryż, 1826), *J. Lubomirski: „L' Italie et la Pologne”* (Paryż, 1892), *Alessandro Guagnini z Werony: „Kronika ziemie Ruskiej”* (Kraków, 1611), *Jan Długosz: „Historia Polonica”* (Dobromil, 1615), *Michał Harasiewicz: „Annales Ecclesiae Ruthenae”* (Lwów, 1862), *W. Kochowski: „Annalium Poloniae ab obitu Vladislai IV. climacter primus”* (Kraków, 1683), *A. Mickiewicz: „Sonety”* — pierwsze wydanie z 1826 roku drukowane w drukarni uniwersytetu moskiewskiego, *F. Poklatchki: „Poselstwo wielkie J. W. Jegomości Pana Rafała Lesszczyńskiego do Mustafy II, Cesarza Tureckiego y całej Porty Ottomańskiej* (Poznań, 1744).

Wiele podobnych cymelii wyłowił prof. Budurowycz, ale nie będziemy listy ich przedłużać, gdyż wymienione wystarczają.

W sumie praca ogromnie cenna i pożyteczna.

Benedykt HEYDENKORN

## APEL RADY BIBLIOTECZNEJ DO SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO NA CAŁYM ŚWIECIE

Przenosiny księgozbioru Biblioteki Polskiej w Londynie, może jednego z najcenniejszych skarbów, wypracowanych przez naszą emigrację — rozpoczynają się lada tydzień. Pomieszczenia w gmachu POSK'u już na nie czekają. Przeniesienie zbiorów bibliotecznych musi być ukończone tego lata. Zgłaszają się liczne osoby i firmy polskie z chęcią przyjęcia z pomocą w transporcie książek. Kwitujemy tę ofiarność ze szczerym podziękowaniem. Pragniemy skorzystać z pomocy wszystkich którzy z nią zechcą pośpieszyć. Główny trzon Biblioteki — to znaczy dziesiątki tysięcy tomów, bogaty dział czasopism, stare zbiory — będzie musiał być przeniesiony w sposób sprawny i fachowy. Wszystko jednak zależy od uprzedniego szybkiego urzędzenia wewnątrz bibliotecznych.

Sprawa na dzisiaj najbardziej paląca — S.O.S. naszej Biblioteki — to konieczny zakup specjalnych, przesuwaných półek na szynach, umożliwiających pomieszczenie księgozbioru na mniejszej przestrzeni. Oszczędność uzyskanego miejsca pozwoli na odpowiednie rozlokowanie Biblioteki i zapewni jej dalszy rozwój w przyszłości.

Apeł nasz brzmi: — Fundujcie dla „Biblioteki Polskiej” półki. Koszt jednego metalowego regału o siedmiu półkach, mieszczących przeciętnie 210 tomów, — wynosi £. 39.50. Potrzeba nam 400 regałów. Ogłaszamy zatem apel do społeczności polskiej zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i tej osiadłej w innych krajach i kontynentach. Zwracamy się do poszczególnych jednostek i do rodzin polskich, do organizacji społecznych, instytucji, firm i przedsiębiorstw. Na każdym regale-półce będzie wyrze nazwisko lub nazwa ofiarodawcy, na wieczną rzecz pamiątkę. Niech pozostanie po nas ten znak ofiarnej pomocy, udzielonej polskiej kulturze, który będzie błyszczał niezniszczalnym blaskiem, świadcząc o szlachetnym obo-



wiązku, spełnionym w zrozumieniu znaczenia polskiej książki w wolnym świecie. Uczcijcie swoich Najbliższych, którzy odeszli już na zawsze, umieszczeniem Ich imion na ufundowanych ku Ich pamięci półkach.

Z chwilą ogłoszenia tego Apelu zgłosili się już spontanicznie hojni ofiarodawcy. Zasłużona „Fundacja z Brzezia Lanckorońskich” opłaciła 25 regałów, dając wzór innym do naśladowania. Ponadto szereg prywatnych ofiarodawców ufundowało dotychczas 10 regałów. Mamy więc już 35 regałów, które pomieszczą ponad 7 tysięcy tomów. *Brak jeszcze 365 bibliotecznych szaf.* Potrzeba ta jest żywa, paląca, nagła. POSK w obecnej trudnej sytuacji ekonomicznej pokryć jej nie może. *Od uzyskania tych półek uzależniona jest jednak sama przeprowadzka Biblioteki,* która musi nastąpić w sierpniu br. Bez półek ruchomych Biblioteka nie może należycie się rozmieścić i rozpocząć znowu swojej działalności w nowej siedzibie.

Apelujemy więc gorąco do Polaków w całym świecie, a przede wszystkim w Wielkiej Brytanii;

Rodziny polskie, młodzi i starzy — fundujcie półki!  
Firmy i przedsiębiorstwa polskie — fundujcie półki!

POLSKA RADA BIBLIOTECZNA  
9, Princes Gardens, London, S.W.7.

Instituto Literacki po otrzymaniu tego apelu ufundował dwa regały i apeluje do swych Czytelników i Prenumeratorów o wzięcie udziału w tej akcji.

## FRAGMENTS

### Redaguje CHARLES JOEL

Rozpoczęto 3-ci rok działalności, dotyczącej przekładów artykułów *Kultury* na język angielski. Prenumerata na rok 1976 — 10 numerów (tom 3-ci) — wynosi dol. 8,50 włącznie z kosztami przesyłki. Indeksy wysyłane są bezpłatnie na indywidualne zamówienia.

Każdy nowy prenumerator, który wpłaci dol. 23,50 będzie miał pokryty abonament na dwa lata 1976 i 1977 a ponadto otrzyma dwa tomy *Fragments* za lata 1974 i 1975 (20 numerów). Ze względu jednak na ograniczoną ilość dawnych numerów Redakcja zastrzega sobie prawo odmowy powyższej oferty i zwrot nadesłanych pieniędzy, gdyby zamówienie przyszło już po wyczerpaniu nakładów.

Zamówienia i czeki należy przysyłać do:

FRAGMENTS  
Correspondance Home Study of Languages  
P.O. Box 744, Sutter Creek, Cal. 95 685. U.S.A.

## Kronika kulturalna

### Kobrzyński - poeta żołnierski

Dobrze się stało, że jury Fundacji im. Kościelskich przyznało nagrodę Bolesławowi Kobrzyńskiemu, poecie o którym mało kto pamięta, mimo, że od czasu do czasu w pismach wychodzących poza krajem ukazują się jego wiersze.

Trudności wydawnicze na emigracji są jedną z przyczyn tego zjawiska, nie mówiąc o innych, bardziej osobistych, a nawet tragicznych dla poety przyczynach.

Kobrzyński błysnął nieprzeciętnym talentem w tomie „Przewodnik Serdeczny”, wydanym w Rzymie w 1944 roku. Jan Bielałowicz w przedmowie do tego pięknego tomu napisał, że wiersze tam zebrane to „próbki złota. Uporczywa praca i wielka uczciwość poetycka”.

Kobrzyński debiutował w 1938 roku w ostrzeszowskiej „Okolicy Poetów” Stanisława Czernika wierszami „Przedwiośnie” i „Zimą”.

Mimo, że w „Okolicy” spotykało się wielu poetów, wiele kierunków, wiele stylów, to jednak rdzeniem tego pisma był „stworzony” przez Czernika Autentyzm.

Autentyzm ten budził wiele zastrzeżeń wyrażanych nawet przez życzliwych Czernikowi krytyków. Irzykowski, na przykład, napisał w tejże „Okolicy” esej pod tytułem „Ostrożnie z Autentyzmem”. Równocześnie ten czysto polski kierunek, nie tak jak w malarstwie Unizm Strzemińskiego, znalazł wśród młodych zapalonych zwolenników. Do zwolenników tych należał Kobrzyński, który do dziś dnia uważa siebie i swoją twórczość za kontynuowanie „izmu” Czernika.

Wśród zwolenników obok Kobrzyńskiego Czernik wymienia ośmiu poetów. Między nimi Jerzego Pietrkiewicza, Jana Bolesława Ożoga, Andrzeja Frasika, Tadeusza Demczyka. „Nie była to grupa, pisze Czernik o kręgu Autentystów, „ale ukształtowała się atmosfera pewnego pokrewieństwa psychicznego stanowiąca rodzaj więzi naturalnej łączącej poetów”.



Były to lata trzydzieste i wiele od tego czasu upłynęło wody w Wiśle. Nie wszyscy z wymienionych przez Czernika zostali wierni idei Autentyzmu. Różne też były ich drogi i różne wymiary. Jedni, jak Demczyk, zostali całkowicie zapomnieni. Inni zaś, jak Pietrkiewicz, odeszli od Autentyzmu, zdobywając sobie wysoką pozycję w angielskiej prozie, nie zapominając równocześnie o poezji polskiej, w której Pietrkiewicz ma w dorobku nieprzeciętne dokonania.

Wierni Autentyzmowi — poza twórcą i propagatorem kierunku — Stanisławowi Czerniakowi, zostali Ożóg, Frasiak i Kobrzyński.

Powojenne utwory Kobrzyńskiego, te najlepsze w moim przekonaniu, to krótkie fraszki i epigramaty jak na przykład:

#### „W SULMONIE”

„Owidiuszu, w Ojczyźnie  
Pachnie mi mięta i rdest.  
Obywatelstwo mam w bliźnie:  
POLONIA MIHI PATRIA EST”.

albo:

#### „MORZE MARTWE”

„Roztwórz soli srebrem świeci  
Gęstość u nóg jak ryczka\*  
Morze Martwe to jest przecie  
Roztopiona Wieliczka”.

albo wspomnienie pod tytułem:

#### „ZEGARY W PUSTYNI”

„Tu zegar wodny byłby od razu  
W kolizji z diaskiem.  
Co tu uchodzi za miarę czasu?  
Klepsydra z piaskiem”.

albo epigramat:

„Miraż jest mętną nagrodą dla wzroku za wytrzymałość  
wypatrywania w dali rzeczywistej oazy”.

Obok tych krótkich, sugestywnych utworów ciekawe są refleksje z przeżyć żołnierskich w Pustyni Libijskiej (Kobrzyński bronił Tobruku, jako żołnierz Brygady Karpackiej):

„Noc przelatuje bombowcem,  
Ptakiem terażniejszości...”

lub jak w wierszu „LIBIJSCY PIELGRZYMI”, z którego zacytuje kilka obrazów:

\* reg. podnózek.

„Pielgrzym, idę wraz z towarzyszami,  
Pozostaje tylko piasek z nami  
Na pustyni nieograniczonej.

Babilońskie morze się zachwala  
Jako ogród, mknie falami z dala,  
Tajemniczą, wieczną tworząc zonę.

I te fale przechodzą powoli  
W piasku fale pełne melancholii  
Morze piasku w nieskończoność sunie

Mknie pustynia het na widnokręgi  
Jak kraina nicości potęgi,  
Przemijalność, względność i samotność.

Wędrujemy bo jesteśmy ciałem,  
Gwiezdnującym, ułomnym, niewdałym,  
Nie trwającym i nie tryumfalnym

Kiedy w nocy przeraża nas pustka  
Słowa wiary szepcą ufne usta  
Że po gwieździe czeka duszę wieczność...”

To tylko wyrwane z całości strofy — przykłady na głęboki nurt, z którego Kobrzyński potrafi wydobywać swoje autentyczne wiersze. Wierszy tych jest spora ilość, zebrana w kilkunastu zeszytach rękopisu. Może warto by sięgnąć nad nimi i rozważyć ułożyć tom dla tych, co pamiętają Kobrzyńskiego z „Przewodnika Serdecznego” i dla tych którzy nie mieli sposobności zapoznać się z jego pięknym książkowym debiutem.

Może powtórzę się, gdy wspomnę zdanie Rilkego, że poeta może w swoim życiu napisać zaledwie kilka wierszy które się liczą i poprzez które wyjawia się kunszt i osobowość artysty. Stosując to ważne zdanie do twórczości Bolesława Kobrzyńskiego wydaje mi się, że w jego dorobku istnieje nie jeden, ale może kilka takich wierszy. Do nich należy wiersz z tomu „Przewodnik Serdeczny” zatytułowany „Śmierć słowika”:

#### SMIERĆ SŁOWIKA

Cisza jest kocem, narzuconym  
Na jar, na zieleń i na schrony.

W naszym wąwozie rosną drzewa,  
A w drzewach nocą słowik śpiewa.



Ale noc nie jest równa nocy:  
Raz ma coś z piękna, raz z przemocy...

Schrony też rosną (Worki piasku,  
Które maluje miesiąc blaskiem.)

Pejzaż frontowy. Dom żołnierzy  
I stanowiska i moździerze.

Noc w noc aż huczy: to wybuchy,  
To znów się ozwie salwa głucha.

Tak się mijają nad Maiola  
Nasze pociski i z przedpola.

W taki, pomyśleć, ognia powiew,  
W ten trzask, w ten łoskot wdarł się słowik.

I wiedzie, ciągnie w inne światy  
Przesto liryczne — pizzicato:

Krażliwe gwizdy, kłaski miękkie,  
Niebo przybrane w gwiazdy — dźwięki

Więc słuchał żołnierz — nie chciał zasnąć,  
Ale się zgubił kędyś — w czasie...

Któż — bo się nie da pieśni zawieść  
Gdzieś ponad krawędź snu i jawy?

...Góra wysoka,

A na górze

Mistrz w pelerynie

Jakby w chmurze.

Stoi wpatrzony

W dół jak w morze,

Wabią go łąki,

Gaj i zorze.

Piękno panoram

Aż rwie oczy!

Sadzie oliwne,

Winne zbocza!

Wtem zoczył księgę\*

Wzrok Petrarca

Wbił w jedno miejsce,

Zgiął się w barkach

I czytał, w trwodze

Pochylony  
Dumny samotnik  
Z Awinionu

Kto ziemię chwali  
Czar — potęgę  
Czasem do duszy  
Swej nie sięga —

Mistrz spojrzął w siebie  
Jak do studni,  
Zawrócił w góry  
I był smutny... —

Ocknął się żołnierz. Jakby łkaniem  
Świstem i hukiem jar się zaniósł

Mnożą się strzały. Brzmią odzewem.  
A ptak wtóruje salwą śpiewu.

Aż błysło obok! Słowik upadł...  
Żołnierz się schylił, znalazł trupa.

Jak cicho! Gruzy szumią rzeką...  
Gdy kurz się w jarze mgłą rozwleka,

Gdy białą raną krzak zapłonął,  
Słowik okupił się czerwoną...

Zdejm hełm i kłęknij. Niech tży płyną  
Jak nad kolegą pod Cassino

„Tu leży słowik. Wyżej bunkrów  
Śpiewając, padł na posterunku”.

Bez danych, gdzieś na serca mapie,  
Jest taki grób i taki napis”.

Wielostronność tego wiersza, jego emocjonalny i intelektualny ładunek, najlepiej świadczą o wartości dokonania artystycznego na tle autentycznego przeżycia w okresie walk we Włoszech, w których Kobrzyński brał udział, przeniknięty pięknem poezji tego kraju jak i pięknem przyrody gwałconej przez brutalne siły wojny.

Bronisław PRZYŁUSKI

\* Mowa jest o „Wyznaniach” Św. Augustyna, które były źródłem refleksji dla Petrarca (przyp. autora).



## O „przeoczeniach” w Kraju

### I.

Pamiętam, że gdy byłam jeszcze uczennicą w jednej ze szkół klasztornych i pisałam wypracowanie z historii na temat przywilejów szlacheckich, zapomniałam o jednym z najważniejszych — o *Nihil novi*. Profesorka, oceniając pracę dość wysoko i traktując mą pomyłkę jako zwykłe przeoczenie, napisała pod spodem: „A *nihil novi*?”. Jako uczennica biegła w wyrugowanej obecnie z programów szkolnych łacinie odpowiedziałam, również pisemnie: „*Nihil, Domina*”. I rzeczywiście: nic nowego. Ta anegdota ma mi służyć jako wprowadzenie do opisu odbioru twórczości Marka Hłaski w Polsce: tu również nic nowego. Hłasko pozostał dla czytelnika krajowego autorem jednego tomu opowiadań: „Pierwszy krok w chmurach”. Reszta przez „niewagę” bywa przeoczana.

Sytuacja, która najchętniej określiłabym jako próżnię w świadomości literackiej czytelnika krajowego dotyczy nie tylko Hłaski. Sporo pisze się i czyta o Miłoszu, Gombrowiczu, Wierzyńskim i wielu innych — ich dzieła jednak pozostają często nieznanne, eseje o nich pozbawione są oparcia w zapleczu lektur czytelnicznych. Wszelkie próby przewyciężenia tej zмовy milczenia i przemilczania skazane są z góry na niepowodzenie. W polskiej literaturze publicystycznej nie istnieje nazwisko Herling-Grudzińskiego, kompletnemu zapomnieniu uległa poezja Aleksandra Wata, Józefa Łobodowskiego, przemilczane są nazwiska Kołakowskiego, Kotta, Wirpszy, Śluckiego — ta lista obejmuje tylko niektórych spośród pisarzy. Można ich wymienić więcej: Madej, Bierezin, Orłoś. Listę nazwisk „nieistniejących” uzupełni najprawdopodobniej młody i zdolny poeta — Witold Sułkowski. Dochodzą do tego nazwiska pisarzy przemilczanych czasowo z powodu takich lub innych przez nich podpisywanych petycji. Nie muszę chyba wyjaśniać, jak ta sytuacja wpływa na kształt literackiej świadomości polskiego czytelnika. A jest to czytelnik chłonny, wiedzący, być może podświadomie, że byt narodowy w dużej mierze realizowany jest w dziedzinie kultury, a zwłaszcza literatury.

Jedno z haseł Marca 1968 roku brzmiało: „Niepodległość bez cenzury”. I jest to jedno z haseł najbardziej ważnych: niepodległość okrojona, pozbawiona możliwości wyboru własnej drogi i własnej tradycji jest fikcją, jest pustym frazesem. Jest powołnym wyjątkiem wyobraźni, ograniczeniem jej zasięgu i swobody poszukiwań. Przy czym bardziej niż likwidowanie poszczególnych twórców groźne jest precyzyjne fałszowanie ich dzieła, dokonywanie wszelkiego rodzaju retuszy i cieniowań: Wierzyński? — tak, ale bez „Czarnego poloneza”; Gombrowicz? —

owszem, ale bez „Dzienników”; Andrzejewski? — oczywiście, lecz bez „Apelacji” czy „Miazgi”. A skandal, jakim był druk rzekomego wywiadu Gombrowicza w *Miesięczniku Literackim*? To wszystko z grubsza tylko oddaje stan polskiej literatury w kraju.

Nie będę ukrywała, że sama zaskoczona byłam moją ignorancją: wydawało mi się, że dość dobrze znam polską literaturę — przynajmniej powojenną. Nagle zetknęłam się z kilkoma nazwiskami, o których nigdy w życiu nie słyszałam, a których znaczenie dla rozwoju naszej kultury nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości. Wyjeżdżając na te wakacje planowałam na Zachodzie uzupełnienie lektur Gombrowicza i Miłosza. I nagle odłożyłam przede mną nieznanne utwory Lechonia, Wierzyńskiego, Wata, odkryłam poezję Łobodowskiego, zaczęłam czytać Herling-Grudzińskiego, Józefa Wittlina, Jerzego Pietrkiewicza, Bogdana Czaykowskiego i wielu innych, o których istnieniu dotąd bądź wcale nie wiedziałam, bądź słyszałam jedynie przypadkiem. Może w tzw. środowisku literackim są to nazwiska i utwory znane, ale dla nawet dość wyrobionego czytelnika krajowego nic one nie mówią.

### II.

To samo dotyczy twórczości Marka Hłaski. Legenda o tym pisarzu krąży wśród czytelników krajowych — utwory zaś nie. Nawet opowiadania wydane w kraju nie mogą, w kilka już lat po jego śmierci, doczekać się wznowienia. „Pierwszy krok w chmurach” wypożyczany jest niechętnie i z obawą, że zginie w czytelnicznym łańcuszku. Ten, kto ma cierpliwość, wyłowi ze starych roczników *Twórczości* „Osmy dzień tygodnia” czy „Pętlę”. I to już wszystko.

Dowodem przemilczania i fałszowania dorobku tego pisarza niech będzie publikowany w *Nowym Wyrazie* artykuł P. Bratkowskiego, który uznaje jedynie utwory drukowane w Polsce, resztę zaś bagatelizuje twierdząc, że wczesne opowiadania są jednocześnie jego dziełami najlepszymi. Wypowiadanie takich sądów — na pewno dozwolone — jest wobec czytelnika krajowego nie-łojalne. Nie może on po prostu skonfrontować zdania krytyka z utworami pisarza. A przecież „Pierwszy krok w chmurach” jest dopiero początkiem dość bogatej drogi twórczej.

Jak się przekonałam z lektury nieznanych mi dotąd — poza „Pięknymi dwudziestoletniami” (ta książka zrobiła w kraju dość dużą karierę) — tomów prozy, pisarstwo Hłaski rozwinęło się w sposób bardzo interesujący. Twierdzenie, że pisarz wypowiedział się już w pierwszych publikacjach jest niesprawiedliwe i ujmujące rangi jego dzieła.

O ile obserwacje poczynione w pierwszych opowiadaniach Hłaski mają przede wszystkim charakter obyczajowy, to już w następnych zbiorach jego prozy stają się one punktem wyjścia



cia do opisu sytuacji istotnych społecznie, odtwarzających, jak np. w „Cmentarzach” albo w „Następnym do raj” specyficzną atmosferę życia w Polsce.

Jeśli bym miała porównywać rozwój prozy tego pisarza z którymkolwiek ze znanych mi z rynku krajowego autorów, to najchętniej zestawiałabym jego ewolucję z ewolucją twórczości Marka Nowakowskiego. Od drobnych, pozornie ubocznych spraw, określanych potocznie jako folklor marginesu społecznego, następuje przejście do zagadnień znajdujących się w centrum uwagi czytelnika: do sytuacji społecznie i psychologicznie bardziej skomplikowanych, wnikających w atmosferę życia i pracy w Polsce powojennej albo odsłaniających losy bohatera pozostawionego sam na sam z koniecznością wyboru postawy moralnej. A te właśnie wybory, najczęściej niedopowiedziane, zawieszane, stanowią najważniejszy rys pisarstwa Hłaski.

Jest to pisarz, którego przede wszystkim interesuje jednostka ludzka, konflikty między nią i światem zewnętrznym, jej integralność i konsekwencja postępowania. Te cechy właśnie powodują, że ten rodzaj twórczości — a więc pisarstwo podkreślające indywidualizm i będące jego obroną — nie jest życzliwie przyjmowany przez oficjalną opinię w kraju. Taka literatura jest przecież podkreślanie duchowej niezależności człowieka, jest obroną jego ludzkiej godności niezależnie od warunków, w które los człowieka zapędził. W końcu Hłasko nie jest pisarzem „politycznym” (jego „polityczne” odczytywanie jest wynikiem sytuacji, w której każde działanie ludzkie musi zostać politycznie zaklasyfikowane). Jest w sposób inny niż np. Białośzewski albo Iredyński, pisarzem spraw prywatnych, osobistych. Interesuje go człowiek i jego wewnętrzne problemy, a nie jego uwikłanie w sprawy społeczne tak rozumiane, jak chcą je rozumieć obecni mecenaszi kultury i literatury w Polsce. Jest pisarzem moralistycznym, pisarzem konfliktów wewnętrznych, które bohaterowie muszą rozwiązać sami, gdyż nikt za nich tego zrobić nie zdoła. — Tego typu literatura jest zawsze potrzebna i zawsze też ma powodzenie wśród czytelników.

Nie piszę tych słów dlatego, bym była przeciwniczką literatury podejmującej konflikty społeczne i polityczne. Wprost przeciwnie. Ale literatura taka — dobra literatura — możliwa jest wtedy, gdy pisarz, a nawet cała społeczność osiągnie pewien stopień niezależności, kiedy nie raczej polityczne będą przezeń przemawiać, lecz raczej ludzkie, moralne i estetyczne. Z tego punktu widzenia twórczość Hłaski i pisarzy jemu podobnych jest dzisiaj niezmiernie potrzebna — tylko na tej drodze można przewyciężyć narastające w naszej literaturze ograniczenia spowodowane naciskiem na dość płytko pojmowane problemy społeczne i polityczne. Dotyczy to zarówno pisarzy spełniających zamówienia państwowych mecenasów jak i pisarzy opozycyjnych. I jedni, i drudzy podporządkowują się anomalii naszego życia społecznego i kulturalnego, wpadają w tę samą pułapkę jaką jest

zawężenie punktu widzenia, co stanowi zarazem ograniczenie swobody poszukiwań artystycznych. Dzielenie literatury na „zaangażowaną społecznie” (to jest właśnie termin, który narobił największej szkody) i wszelką inną jest jednym z najbardziej koszmarnych podziałów, jakie można wymyślić. „Zaangażowana społecznie” jest wszelka — zwłaszcza dobra — literatura, zaś literatura podnosząca problematykę moralną w pierwszym rzędzie.

### III.

Napisałam, że Hłasko nie jest pisarzem „politycznym”. Tym niemniej jego krótka powieść „Cmentarze” jest jednym z najbardziej interesujących świadectw epoki stalinowskiej. Więcej nawet: lektura tej powieści jako żywo stawia przed oczyma czytelnika Polskę współczesną. I nie chodzi tutaj o realia, o obraz metod policyjnych, do których ucieka się władza. Mam na myśli sprawę bardziej istotną, a mianowicie wyjaławianie społeczeństwa z prawdziwej ideowości. To jedna z najważniejszych powieści dających świadectwo z bezwzględnej niszczenia ludzkiej spontaniczności i zapału, z omotania tysięcy ludzi niewidocznymi nićmi kłamstw, półprawd i przemilczeń, z zastraszenia wszystkich bez wyjątku. I choć na pewno nie jest to najlepsza proza Hłaski, to jednak jest to dokument, a w dodatku dokument literacki, pozwalający wejrzeć głębiej w psychikę ludzką tego okresu niż zwykłe świadectwo historyka. Nieobecność tej książki w Polsce jest tym bardziej bolesna, że większość literatury tzw. rozrachunkowej stara się ukazać jedynie mechanizmy wielkiej polityki nie zaś mechanizmy upodlenia i pozbawienia własnej woli ludzi zwykłych, takich, do jakich należy bohater „Cmentarzy” — Franciszek Kowalski.

Z kolei druga powieść — „Następny do raj” — jest powieścią nie tylko potwierdzającą wysoką rangę tego pisarstwa, lecz również pozwalającą widzieć zapowiedź dalszej twórczości Hłaski-powieściopisarza. Tragiczna śmierć przerwała ten nadzieje, tym niemniej trudno w tej chwili uważać, że pisarz ten jest — jak to się na ogół przyjęło na krajowym rynku czytelnictw — autorem jedynie krótkich form. Zresztą — wyraźne dążenia Hłaski do wypowiedzi szerszej odnajdzie czytelnik zarówno w „Osmym dniu tygodnia”, jak w późniejszych nowelach „Brudne czyny” i „Wszyscy byli odwrócenii”.

Nie miejsce tu na rzeczową analizę całej twórczości Hłaski. Chciałam tylko zwrócić uwagę na fakt, że jest to pisarz, którego cała twórczość jest jednym z najbardziej ważnych zdarzeń w powojennej literaturze Polski. Wyłączyć na dłuższą metę tego pisarstwa się nie da. Prędzej czy później dotrze ono w całości do czytelnika krajowego tak samo, jak prędzej czy później dotrą dzieła przemilczane i czasami niemal zapomniane już w kraju — myślę tu przede wszystkim o poezji Słuckiego i Wata. Kultura — myślę tu przede wszystkim o poezji Słuckiego i Wata. Kultura



nie składa się z życiorysów. I choć są one niewątpliwie ważne, choć niejednokrotnie losy i decyzje życiowe pisarzy są dla kultury znaczące, to jednak najistotniejsze są dzieła, które pozostają i żyją wbrew wysiłkom tych wszystkich, którym się wydaje, że kulturę narodową można podzielić na dozwoloną i niedozwoloną. Literatura polska, jak każda inna literatura na świecie, stanowi całość niepodzielną. I o tym przede wszystkim powinni pamiętać ci wszyscy, którzy tak zrećnie żonglują hasłami niezawisłości narodowej.

Jadwiga KWIATKOWSKA

### KOMUNIKAT O PRYZNANIU NAGRODY IM. JANINY ŁAWRUK ZE STARZYCKICH

Jury w składzie: dr Bohdan Budurowycz, prof. Wydziału Języków i Literatur Słowiańskich na uniwersytecie Toronto; Jerzy Giedroyc, redaktor paryskiej *Kultury*; Benedykt Heydenkorn, redaktor *Związkowca* w Toronto; Iwan Koszeliweć, redaktor *Suczasnosti* w Monachium; dr Bohdan Ławruk, prof. Wydziału Matematyki na uniwersytecie McGill w Montrealu — przyznało 15 czerwca br. trzy równorzędne nagrody po Dol. 500,00 każda, następującym osobom:

Wadymowi Łesyczowi — za Antologię poezji polskiej w języku ukraińskim;

Józefowi Łobodowskiemu — za twórczość publicystyczną, poetycką i pisarską, poświęconą idei zblżenia polsko-ukraińskiego;

Juliuszowi Mieroszewskiemu — za działalność publicystyczną w sprawie zblżenia obu narodów.

Wręczenie nagród odbyło się za pośrednictwem Fundacji Adama Mickiewicza w Toronto.

Nagroda im. Janiny Ławruk ze Starzyckich jest przeznaczona dla osób zasłużonych dla idei zblżenia polsko-ukraińskiego. Wynosiła ona w bież. roku dol. 1000,00 — w razie wybrania przez Jury jednej osoby, a po dol. 500,00 — w razie wybrania dwóch lub trzech osób. O ufundowaniu tej nagrody informowaliśmy w *Kulturze* Nr 5/344 (maj 1976).

## Książki

### Rosja jaka jest

„Cudzoziemiec na ogół patrzy na komunizm z pozycji człowieka, który po wszystkim wróci do domu, wobec czego pozwolić sobie może na bezstronność. Komunistom właśnie nie chodzi o nic innego tylko o jego bezstronność — jeśli jest on dziennikarzem, dyplomatą, intelektualistą, obserwatorem. Zawsze są w stanie pokazać mu rzeczy i fakty nie z punktu widzenia jak jest naprawdę, lecz jak może, powinno być lub ewentualnie kiedyś będzie. To budzi sympatię i uruchamia bezstronną przenikliwość cudzoziemca w taki właśnie sposób jak tego życzą sobie komuniści” — twierdził Leopold Tyrmand w swej „Cywilizacji komunizmu” (Londyn, 1972). Książka amerykańskiego dziennikarza Smitha „Rosjanie”\* dowodzi jednak, że bezstronność nie jest synonimem podatności na manipulację; ta trzeźwa, obiektywna i wybita po brzegi informacją praca jest przypuszczalnie najlepszą w ciągu ostatnich lat książką o Rosji jaka jest — i jaką nie każdy widzi. Przypuszczalnie znajdzie ona dzięki swym zaletom bardzo wielu czytelników na Zachodzie i ukształtuje ich opinię o Sowietach na długo — i to bynajmniej nie w kierunku wymarzonemu przez Wydział Propagandy KC KPZS. Już z tego względu książka zasługuje na dłuższą wzmiankę na tym miejscu; innym względem jest to, że Smith daje pewien całościowy pogląd na dzisiejszą Rosję, co siłą rzeczy winno być dla czytelnika polskiego interesujące.

Hedrick Smith był od czerwca 1971 do grudnia 1974 roku kierownikiem biura prasowego *New York Times*'a w Moskwie; nauczył się dobrze po rosyjsku, wiele podróżował, rozmawiał z setkami ludzi (m.in. z Sołżenicynem, Sacharowem, Nadieżdą Mandelstam), czytał prasę, bywał w teatrach, starał się dotrzeć wszę-

\* Hedrick Smith, *The Russians*, Quadrangle/The New York Times Book Co., New York, 1975; tł. francuskie: *Les Russes — la vie de tous les jours en Union Soviétique*, Belfond, Paris, 1976, 508 str.



dzie i rzeczywiście poznał kraj o którym pisze. Jego sumienność opisowa jest nie tylko odruchem zawodowym dziennikarza z prawdziwego zdarzenia, lecz wynika też z przekonania, że system sowiecki stanowi cywilizację tak odrębną jak np. cywilizacja Zulusów i jedynie dokładny opis jej mechanizmu pozwoli zachodniemu czytelnikowi zrozumieć reakcje objętych nią ludzi.

Książka dzieli się na trzy części: Ludzie, System, Idee, z których każda podzielona jest na rozdziały, poświęcone zagadnieniom takim jak — cytuję z cz. I-szej: „Klasa uprzywilejowana”, „Konsument”, „Korupcja”, „Życie prywatne”, etc. Poza szczegółami typu anegdotycznego (np. adres prywatny Breżniewa w Moskwie: Prospekt Kutuzowa 26) materiał ten nie zawiera — należałoby westchnąć: niestety! — rzeczy nieznanymi polskiemu czytelnikowi, szczególnie o stażu krajowym; bryndza ekonomiczna, bezprawie, hierarchia przywilejów, penetracja policyjna, „prymat przemysłu ciężkiego” czyli armaty zamiast masła, cenzura i drętwa mowa, w którą nikt nie wierzy, a która stanowi rytualne kadzidło rządzącej mafii — wszystko to znamy. Interesujące są raczej wnioski ogólne Smitha, a i to głównie z uwagi na brak w nich modnych na Zachodzie złudzeń i *wishful thinking*. Uważa on Sowiety za przedłużenie Rosji carskiej — niektóre fragmenty jego książki są jakby przepisane z de Custine'a — to znaczy za konserwatywne mocarstwo imperialistyczne, z urzędową ideologią (komunizm zamiast prawosławia) służącą za źródło legitymizmu samoodnawiającej się grupie rządzącej, której głównym celem jest utrzymywanie się przy absolutnej władzy i absolutnych przywilejach; wszystko inne jest temu celowi podporządkowane i przezeń się tłumaczy. Pełna władza nad życiem ekonomicznym kraju — czyli pełne ubezwłasnowolnienie jego obywateli — jest główną przyczyną niedostatków i chaosu gospodarki sowieckiej, ale jest to mniejszym złem niż popuszczenie cugli, więc niedostatki te i chaos trwają i prawdopodobnie będą trwały nadal. Pełna kontrola krążącej informacji powoduje niedotlenienie mózgow nawet tam, gdzie jest to dla rządzących niekorzystne (technika, nauki ścisłe), ale jest to mniejszym złem niż samodzielnie myślący poddani — więc raczej opłaca się uzupełniać rażące luki importem. Smith zwraca uwagę na to, że obecne „otwarcie na Zachód” (tzn. zakup na Zachodzie skomputeryzowanych maszyn, etc.) przypomina poczynania Piotra Wielkiego, a zatem że rachuby na jakąś zmianę z tym liberalizację i ucywilizowanie sowieckiego stylu władzy są raczej naiwne. Liczenie na jakiegokolwiek dalej idące samoczynne zmiany w Rosji wydaje się — na tle materiału zawartego w „Rosjanach” — także raczej naiwne. Sowiety zaprezentowane w tej książce są krajem w pełni ustabilizowanym: „dzisiaj stabilizację zapewnia cynizm, tak jak za Stalina czynił to strach”, konkluduje jeden z rozmówców Smitha i ten zdaje się z nim zgadzać. Cynizm oznacza tu głębokie przekonanie, że *might is right* i że jednostka jest zawsze bezsilna wobec zorganizowanej przemocy — a na skutek starannej izo-

lacji i starannie kultywowanego półmroku informacyjnego obywatel sowiecki jest przekonany, że tak jest na całym świecie.

Orwell zauważył, że dalekosiężnym celem totalitaryzmu wydaje się przyćmienie ludzkiej świadomości; książka Smitha zawiera dziesiątki przykładów na trafność tego spostrzeżenia. Przytoczę dwa. Znany i uznany aktor sowiecki Arkady Rajkin opowiada autorowi książki o wizycie w klinice rządowej w Moskwie, w której leżał ktoś z jego krewnych (superprzywilej dla wybranych): Rajkin był w towarzystwie swego 18-letniego wnuka; nagle zobaczył przechodzącego korytarzem sędziego Mołotowa i szepnął wnukowi: „to on!” — „Kto?” — „No, Mołotow!” — „Kto to taki: Mołotow?”. Podobno w Polsce młodzież nie bardzo już wie, kto to był Gomułka.

W rozdziale o cenzurze sowieckiej (*nota-bene* nawet bardzo rozgarnięci rozmówcy Smitha nie wierzyli, że w Ameryce nie ma cenzury) autor opowiada, jak ktoś dał mu do wglądu 5-stronicowy wyciąg z instrukcji dla cenzorów.

Zawierał on tematy, których można było oczekiwać: zakaz publikowania informacji na temat wojska, tajnej policji, obozów pracy, samej cenzury, skąpej pomocy ZSSR dla niektórych krajów zagranicznych i kredytów otrzymanych z zagranicy, a ponadto zakaz informowania zawczasu o planowanych podróżach przywódców oraz o miejscu ich pobytu.

Ale co mnie znacznie bardziej zdumiało, to zakaz informowania o tematach nie zawierających żadnego niebezpieczeństwa: dane liczbowe o przestępstwach i aresztowaniach, liczba dzieci porzuconych, liczba osób żyjących z wólcęgostwa i żebractwa, liczba narkomanów; epidemie cholery czy dżumy i inne nieszczęścia spadające na ludność; zatrucia przemysłowe, choroby; wodowe, wypadki w pracy; wypadki drogowe, katastrofy okrętowe i pożary; następstwa trzęsienia ziemi, powodzi, huraganów i innych kataklizmów; dłużniastwa trzęsienia ziemi, powodzi, huraganów i innych kataklizmów; dłużniastwa treningu sportowców na specjalnych obozach, „ich pensje i wynagrodzenia w naturze za dobre wyniki”; finansowanie i liczebność personelu ekip sportowych.

Każdy, kto przez pewien czas czytał prasę sowiecką może uzupełnić tę listę własnymi spostrzeżeniami. Luki informacyjne są ogromne — brak statystyk na skalę państwową na tematy takie jak: liczba osób mieszkających jeszcze w wspólnych mieszkaniach; wydajność pracy; liczba kobiet, które zdołały zrobić karierę zawodową; kto jest uprawniony do wyjazdów zagranicę; środowisko społeczne tych, którzy dostają się na uniwersytety; rzeczywista sytuacja materialna elity sowieckiej (pensje, premie, wynagrodzenia dodatkowe, inne przywileje); ceny i stopa życiowa w różnych regionach kraju (jak przyznał pewien dziennikarz syberyjski, celowe przemilczenie „dla uniknięcia reakcji tych, którzy uważają się za pokrzywdzonych”); świadczenia socjalne na wsi w porównaniu z miastami; dokładny procent tych, których starania odniosły rezultat przy ubieganiu się o miejsce w szpitalu, kurację w sanatorium, wczasy i inne świadczenia; nastroje i poczucie klasowe w różnych warstwach społeczeństwa sowieckiego; nastawienie różnych mniejszości narodowych wobec Rosjan i wobec siebie wzajemnie.

Biorąc pod uwagę powyższe wykazy widać wyraźnie, że ludność sowiecką pozbawia się dokładnego obrazu całokształtu jej życia i możliwości porównania go z innymi społeczeństwami. Jest to skutek działania cenzury. [...] W sumie, jak zauważył w młodości Karol Marks, cenzura wytwarza hipokryzję społeczną, sceptycyzm polityczny i przekształca naród w „zbiornik







się za łby, wrzeszcząc: „W tej pracowni o jedną z nas będzie za dużo” a starsza i bardziej życiowo doświadczona radzi Piotrowi by tę młodszą, według odwiecznych wzorów, po prostu wyrzucić za drzwi.

Ta mała próbka sytuacji powieściowych, a jest ich mnóstwo, narzuca pytanie: Czy to przypadkiem nie grafomania? Obawiam się także, że „Płacząca Magdalena” Piotra-malarza była kiczem nad kiczami a produkowane przez niego w błyskawicznym tempie portrety i akty należały do gatunku „fotograficznych”.

Najciekawszy i najbardziej zastanawiający jest jednak afrykański epizod powieści, drukowany w roku ub. w *Miesięczniku Literackim* pt. „Ballada afrykańska”. Występuje w nim bez obłonek pogardliwy stosunek do afrykańskich tubylców. Imperializm Kiplinga czy Somerset Maugham'a to mucha w porównaniu do kompleksu wyższości „białego” — Piotra Kołodzieja i fachowców polskich w Wolcie. Najostrej zjawisko to występuje w opisie osady robotniczej przy budującej się pod kierunkiem Polaków wielkiej cukrowni. Lokalny barman, Murzyn, stwierdza, iż „biali” — a są nimi Polacy — „zachowują się gorzej niż czarni”. Lubi ich jednak, gdyż dużo piją, dają mu zarobić i są weseli. „Narobili dzieciaków, jak mrówek — stwierdza rzeczowo — ale są to dobre dzieci”. Opis zabawy ludowej wskazuje, że goście z Akry, a w ich liczbie bohater powieści, są wszechstronnie obsłużeni przez murzyńskie „Marysie”. Miłośnikom Conrada opis zachowania się „białych” w tej „placówce cywilizacji” przypomni „Jądro ciemności” i unaocznia, że niewiele zmieniło się w wyniku dekolonizacji. Wierzyć się nie chce, że podobne opisy mogły wyjść z aprobatą autorską spod pióra dygnitarza partyjnego pretendującego zapewne do miana pisarza postępowego. „Ten hotel [dla robotników] — to jeden burdel” — stwierdza barman. Sokorski zdaje się uważać, że to zabawne...

Ambicją autora było — jak się zdaje — stworzenie za jednym zamachem podstawy do scenariusza filmowego. Stąd „filmowa” technika opisów: „Stefan przez chwilę stoi sam w przedpokoju. Wreszcie decyduje się (na co? — MDZ), myje twarz, ręce w łazience i wchodzi do kuchni”. Nawrót do socrealizmu w nowej oprawie realiów: „Zadzwonił po kawę i koniak”. „Nie kochał tej dziewczyny. Rozbierał ją, malował, żył z nią”. Naturalizm? — za wielkie słowo. Po prostu grafomania. Opóźnienia w ukazaniu się recenzji krajowych (np. milczenie *Twórczości*) zdaje się świadczyć, że krytycy nie chcą pisać całej prawdy o „wyrobie” tow. eks-ministra i obecnego redaktora *Miesięcznika Literackiego* i nie mogą się zdobyć na pisanie laurek. Co im się chwali.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

## Nadesłane nowości wydawnicze

WYSZYŃSKI (Stefan Kardynał — Prymas Polski). *Prymat człowieka w łazience społecznym*. Str. 250 i 2 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn, 1976).

PILACIŃSKI (Jerzy) („Lech”).

*Narodowe Siły Zbrojne*. Kulisy walki podziemnej 1939-1946. Z przedmową Jędrzeja Giertycha. Str. 246 i 2 nlb. (Wydawnictwa Towarzystwa Imienia Romana Dmowskiego, nr 10, Londyn, 1976).

OSSOWIECKI (Stefan). *Świat mego ducha i wizje przyszłości*. Str. 355 i 1 nlb. Pierwsze wydanie — Warszawa, 1933, Dom Książki Polskiej, Sp. Akc. Wydanie drugie — uzupełnione, Astral Editorial Office, Chicago, 1976.

GROSS (Natan). *Okruszyny młodości*. Okładka i rysunki Józef Bau. Str. 87 i 1 nlb. (Nakładem Irgun Jocej Kraków w Izraelu, Tel-Awiw, 1976).

*Szkoła Podchorążych Piechoty* — Księga Pamiątkowa — Uzupełnienie Księgi Pamiątkowej wyd. w Warszawie w 1930 r. — Str. 163 i 1 nlb. z fotografiami w tekście i mapką dyslokacyjną m.p. Dywizji, p. piech., brygad i pułków K.O.P.'u. (vartyper). (Wydawca: Koło Szkoły Podchorążych Piechoty, Londyn, 1976).

DUBANOWICZOWIE (Edward i Magdalena). *Na placówce w Ajaguz*. Wspomnienia z zesłania do Kazakstanu 1940-1942, spisane w 1942-1945 r. Okładkę projektował Edward Mier-Jędrzejowicz. Str. 78 i 2 nlb. (vartyper). (Figaro Press, Londyn).

ZORKROT (Aleksander). *Bohaterka* — Anna Jo. Str. 100 i 4 nlb. (vartyper). (Wyd. Jedność, Sztokholm, 1975).

PODGÓRSKI (Tadeusz). *Wojsko w PRL*. Str. 15. (Przedruk z *Tygodnia Polskiego*, wyd. Centralny Komitet Polskiej Partii Socjalistycznej, Londyn, 1976).

STRZAŁKOWSKI (Wiesław). *Przed świtem*. Wierszy zeszyt II. Str. 21 i 3 nlb. (Londyn, 1975).

*Memoriał 59, inne dokumenty protestu oraz list otwarty prof. dr. Edwarda Lipińskiego do Gierka*. Opracował Józef Ptacek. Str. 62 i 2 nlb. (Wydawnictwo Komitetu Głównego PPS w Niemczech przy karzy Polskich w Niemczech, Mo-współpracy z Syndykatem Dziennic-nachium, 1976).

ASHER (Oksana). *Draj-Chmara et l'école „néo-classique” ukrainienne*. Str. 324 (vartyper). (Readings in Slavic Literature — Ed.

J. B. Rudnyckij, No. 11, Winnipeg - New York, 1975, Department of Slavic Studies The University of Manitoba).

MLYNARSKI (Bronisław). *The 79th Survivor*. Foreword by Arthur Rubinstein. Translated by Casimir Zdziechowski. Str. 246 i 4 nlb. (Wyd. Bachman and Turner, London, 1976; cena £.5.50).

SUBTELNY (Orest). *On the Eve of Poltava: The Letters of Ivan Mazepa to Adam Sieniawski 1704-1708*. Tekst w języku angielskim, listy w języku polskim. Str. 159 i 3 nlb. (Wyd. The Ukrainian Academy of Arts and Sciences in the United States, Inc., New York, 1975).

*Current Soviet Leaders — Les Leaders Soviétiques Contemporains*. A Cumulative Guide to Officials and Notables in the U.S.S.R. Volume 1 Number 1. Str. 162. (Wyd. Mosaic Press, Oakville, Ont., 1975).

*Current Soviet Leaders — Les Leaders Soviétiques Contemporains*. A Cumulative Guide of Officials and Notables in the U.S.S.R. Volume 1 Number 2. Str. 52 i 6 nlb. (Wyd. Mosaic Press, Oakville, Ont., 1975).

*Current Soviet Leaders — Les Leaders Soviétiques Contemporains*. A Cumulative Guide to Officials and Notables in the U.S.S.R. Volume 2 Number 1. Str. 53 i 3 nlb. (Wyd. Mosaic Press, Oakville, Ont., 1975).

ECKHARDT (Konstantine), KOREY-KRZECZOWSKI (George). *Proposal for action: New Role for the Canadian Economy in the Age of World Food Crisis*. Str. 16. (Odbitka z *The Polish Review*, vol. XXI, No. 1-2, 1976, str. 129-144, New York, N.Y.). (Wyd. trzecie systemem vartyper wydano w Toronto w 1976 r.).

*The Changing of the Constitution of Polish Peoples Republic*. Str. 13 i 2 nlb. (Wyd. Association of Polish Students and Graduates in Exile, Londyn).



- INGARDEN (Roman). *Phenomenological Aesthetics: An Attempt At Defining Its Range*. (Str. 257-269 — nadbitka z *The Journal of Aesthetics and Art Criticism*, XXXIII (3, Spring 1975, wydawanego w USA).
- DUKER (Abraham G.). *Frankism as a Movement of Polish-Jewish Synthesis*. Str. 133-164. (Nadbitka z *Tolerance and Movements of Religious Dissent in Eastern Europe*, edited by Béla K. Király (East European Quarterly, Boulder, Colorado, distributed by Columbia University Press, New York - London, 1975).
- GRABOWSKI (Yvonne). *Languages in Contact: Polish and English*. (Str. 59-68, nadbitka z *Sounds Canadian*. Languages and Cultures in Multi-Ethnic Society, edited by Paul M. Migus, Peter Martin Associates, Toronto, 1975).
- The Katyn Bibliography* (Books and Pamphlets) — *Bibliografia Katyńia* (książki i broszury). Opracował Zdzisław Jagodziński. Str. 16 (powielacz). (Wyd. The Polish Library, London, 1976).
- Grundfragen der geschichtlichen Beziehungen zwischen Deutschen, Polaben und Polen*. Referate und Diskussionsbeiträge aus zwei wissenschaftlichen Tagungen. Herausgegeben von Wolfgang H. Fritze — Klaus Zernack mit Beiträgen von Władysław Filipowiak, Wolfgang H. Fritze, Witold Hensel, Lech Leciejewicz, Adriaan von Müller, Klaus Zernack, Benedykt Zientara. Str. 154 i 8 nlb. (Einzelveröffentlichungen der Historischen Kommission zu Berlin, Band 18, Publikationen zur Geschichte der Deutsch-Polnischen Beziehungen, Band 1; Colloquium Verlag, Berlin, 1976; cena DM 58).
- WIRPSZA (Witold). *Drei berliner Gedichte*. Str. 51 i 1 nlb. (Wyd. Literarisches Colloquium, Berlin (Berliner Künstlerprogramm des DAAD, 1976).
- KUNSTMANN (Heinrich). *Über Witold Gombrowicz's Iwona, księżniczka Burgunda*. Str. 236-246. (Nadbitka z *Die Welt der Slaven, Halbjahresschrift für Slavistik*, Jahrgang XVIII, Böhlau Verlag, Köln-Wien, 1973).
- Hryhorij Savyč Skovoroda (1722-1794). Str. 45 i 3 nlb. (Odbitka z *Mitteilungen der Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften* e. V., Band 10-11, München, 1974).
- JANIW (Wolodymyr). *Żyttja*. Ilustracje Haliny Mazepy, portret autora — Lubosława Hucaliuka. Str. 119 i 1 nlb. (Wyd. Objednannja Ukrainських Pyśmennykiw „Słowo”, Paryż-Monachium, 1975).
- ŁYSAK (Łesia). *Zamok na wulyci Mejn*. Opowiadannja. Str. 186 i 6 nlb. (Nakładem Wydawnictwa „Homin Ukrainy”, Toronto, Ontario, 1976).
- CWIETAJEWA (Marina). *Nieizdannoje*. Stichi, teatr, proza. Str. 374 i 8 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1976).
- Sakharov — Horingen. Dokumenter om menneskrettighederne i Sovjet. 1965-75. Str. 174 i 2 nlb. (Wyd. Arrangorkomiteen for Den Internationale Sakharov-Horing, Christiansborg 17. - 19. okt. 1975).
- MARGULIES (Marcos). *Do racismo ao sionismo*. Uma análise conceitual. Str. 162 i 2 nlb. (Editora Documentário, Rio de Janeiro, 1976).
- Historiska och Litteraturhistoriska Studier* 1-50, 1925-1975. Str. 66 i 2 nlb. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland, Helsingfors, 1975).
- Historiska och Litteraturhistoriska Studier*. 51. Str. 356 i 2 nlb. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland, Helsingfors, 1976).
- Mitteilungen* Nr. 12. Str. 136 i 4 nlb. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften e. V., München, 1975).

## Humor krajowy

— Jaka jest różnica między rządami Bieruta, Gomułki i Gierka?  
 — Za Bieruta było jak w tramwaju: niektórzy siedzą, niektórzy wiszą.  
 Za Gomułki — jak w autobusie: jeden kieruje, reszta się trzęsie. A za Gierka — jak w samolocie: niby komfort, ale chce się rzygać.

W Warszawie modne jest nowe tango: słowa — Jaroszewicz, muzyka — Gierek, „aranżacja” — Breżniew, wykonanie — zespół Warcholów.

Dowiadujemy się, że zakłady Ursus wypuściły nowy typ traktora — Warchoł 76.

Po ostatnich wydarzeniach Jaroszewicz został nobilitowany: nazywa się obecnie Koniecpolski.

Telewizja warszawska rozpoczęła nadawanie nowego serialu na wzór amerykańskiego „Bonanza”. Polski serial idzie pod tytułem „Bo-nędza”.

— Jakie jest ostatnie życzenie świni, prowadzonej w Polsce na ubój?  
 — Żeby chociaż moje kości zostały w Ojczyźnie.

— Co będziemy robili tej jesieni?  
 — Będziemy grali w kartki...

W końcu ubiegłego roku w Warszawie zadawano sobie pytanie:  
 — Dlaczego u nas są takie ogonki po mięso?  
 Odpowiedź brzmiała: — Bo jesteśmy dopiero na drodze do socjalizmu.  
 — A co będzie jak dojdziemy? — Wtedy mięso będzie wydawane na receptę.  
 Nikt jeszcze wówczas nie przypuszczał, że może być okres przejściowy — kartki!

Zebrała Zofia HERTZ



## KRAJ — BLOK WSCHODNI

**9-5-76**

W Lublinie odbyło się walne zgromadzenie Twa Przyjaciół KUL'u. Jak wynika ze sprawozdania liczba członków wynosi obecnie 225.000 osób, czysty zaś dochód przekroczył 17 milionów zł. W roku 1975 otwarto nowe oddziały w miastach: Wrocław, Poznań i Opole.

**1-6-76**

W Polsce ograniczono wyjazdy studentów za granicę. Z każdego wydziału może wyjechać tylko 30 % studentów i to pod warunkiem, że mają zaliczone wszystkie egzaminy i że nie zalegają z opłatami.

**17-6-76**

We Wrocławiu spłonął doszczętnie stary kościół garnizonowy, zostały tylko zewnętrzne mury. Jest to ten sam kościół w którym, w ub. roku, spaliła się wieża. We Wrocławiu krążą pogłoski, że pod główną nawę podłożono materiały wybuchowe.

**23-6-76**

30 milionów egzemplarzy podręczników szkolnych na rok 1976/77 zaspokoi jedynie ok. 45 % zapotrzebowania w PRL. Pozostała część stanowić mają książki używane, które są sprzedawane po 10-ciokrotnie wyższej cenie.

**1-7-76**

Zmarła w Poznaniu, w wieku 80 lat, Maria Janta-Półczyńska, żona min. Rolnictwa Rządu R.P., Leona Janty-Półczyńskiego, który był przewodniczącym Pomorskiego Komitetu Floty Narodowej. Staraniem tego Komitetu zakupiono znany zagłowiec „Dar Pomorza”. Maria Półczyńska była matką chrestną tego statku

**4-7-76**

Na skutek wypadku samochodowego zmarł w Warszawie, w wieku 80 lat, Antoni Słonimski — znakomity poeta, dramaturg, felietonista, w ostatnich latach stały współpracownik *Tygodnika Powszechnego*. W nrze październikowym *Kultura* opublikuje studium poświęcone jego twórczości pióra K. A. Jeleńskiego.

**13-7-76**

We wschodnim Berlinie miało miejsce XIII spotkanie kierownictwa Związków Pisarzy krajów socjalistycznych. Polskę reprezentowali Jerzy Putrament, Halina Auderska oraz Jan Koprowski. Spotkanie było poświęcone aktualnym tendencjom rozwoju literatur socjalistycznych, obrazowi współczesnego bohatera w tychże literaturach oraz walce ideologicznej po Helsinkach.

**15-7-76**

Dziwne metody: od 30 czerwca została wstrzymana wysyłka czasopism polskich za granicę, nie tylko do kolportażu ale również do prenumeratorów. Dopiero od 15 lipca wysyłkę wznowiono. ■ W bieżący rok przyjadą do Polski dzieci ze środowisk polonijnych Danii, Szwecji, Holandii, Belgii, Wielkiej Brytanii, Francji, NRF, Norwegii, Kanady i U.S.A. Ogółem ma, przyjechać ok. 1.300 dzieci i młodzieży. ■ W konkursie na dramat, zorganizowanym przez redakcję *Fakty 76* i Teatr Polski w Bydgoszczy dwie równorzędne pierwsze nagrody otrzymali Agnieszka Osiecka za sztukę „Najpiękniejszy

w całej wsi” i Mieczysław Olbromski za utwór „Płec”. ■ Do pracy na terenach misyjnych wyjechało z Polski w roku 1975 68 misjonarzy i misjonerek. Polscy misjonarze pracują w Boliwii, Chile, Brazylii, Kolumbii, Ghanie, Nowej Gwinei, Indonezji, Togo, Rwandzie, Australii, Nowej Zelandii, Zaire, Madagaskarze, Paragwaju, Kamerunie, Zambii, Argentynie, Burundi, Kongo-Brazzaville i na Wybrzeżu Kości Słoniowej.

**18-7-76**

Rada Państwa PRL nadała Krzyż Grunwaldu III-ej klasy miasteczku Birczy w woj. przemyskim „w uznaniu bohaterskiej postawy mieszkańców, którzy w woj. przemyskim „w uznaniu bohaterskiej postawy mieszkańców, którzy szczególnie się odznaczyli w walkach z reakcyjnym podziemiem”. W czasie uroczystości w Birczy 93 byłym żołnierzom W.P., funkcjonariuszom M.O. i kombatantom, którzy uczestniczyli w walkach z podziemiem wręczono wyśokie odznaczenia państwowe. ■ Oślawiona Helena Zatorska wydała książkę poświęconą życiu i twórczości Wandy Wasilewskiej. Publikacja zawiera wspomnienia i wiersze W. Wasilewskiej, listy do rodziny i przyjaciół oraz wybór recenzji omawiających jej twórczość. Książka ukazała się w Bibliotece Polonistyki wydawnictw szkolnych i pedagogicznych.

**19-7-76**

Rada Państwa PRL mianowała szereg ambasadorów w Afryce i na Środkowym Wschodzie. Zwraca uwagę nominacja na ambasadora w Ludowej Rep. Angoli gen. Romana Paszkowskiego. Roman Paszkowski urodził się w roku 1914 w Gułowie, w rodzinie chłopskiej. W roku 1936 rozpoczął służbę wojskową w Siedlcach. We wrześniu 1939 został ciężko ranny i dostał się do niewoli niemieckiej. Po uwolnieniu zgłosił się ochotniczo do Ludowego Wojska Polskiego. W latach 1945-1948 był szefem Oddziału Zagr. Sztabu Generalnego. W roku 1951 ukończył studia wyższe Akademii Sztabu Gen. oraz w Szkole Głównej Służby Zagranicznej. Pełniąc od 1956 roku służbę w Wojskach Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju, a następnie w Wojskach Obrony Powietrznej, przeszedł kolejno wszystkie szczeble dowodzenia skad Obrony Powietrznej, przeszedł kolejno wszystkie szczeble dowodzenia do dowódcy wojsk OPK w stopniu generała dywizji. Jest członkiem PZPR.

**22-7-76**

W Koszalinie rozpoczął się festiwal chórów polonijnych z USA, NRF, Holandii, Francji, Kanady, Berlina Zach. i Czechosłowacji. Bierze w nim udział około 1.000 osób. Jak widać, czerwcowe wydarzenia w Polsce oraz represje nie przeszkadzają kolaboracji. ■ Tegoroczne nagrody państwowe w PRL z zakresu literatury: Nagrody I-go stopnia otrzymali Bogdan Czeszko, Kazimiera Iłakowiczówna, Stanisław Lem i Tadeusz Łopalewski. Nagrody II-go stopnia: Ryszard Kapuściński, Julian Kawalec i Mieczysław F. Rakowski. Ponadto order Sztandaru Pracy I-szej Klasy otrzymał Zbigniew Załuski, członek Zw. Literatów Polskich i Tadeusz Łonicki, aktor i dyr. Teatru na Woli w Warszawie.

**3-8-76**

Kardynał Wyszyński, Prymas Polski obchodził jubileusz 75-tej rocznicy urodzin.

**5-8-76**

Ks. Dzdzisław Majder, mgr teologii pastoralnej, absolwent KUL'u, proboszcz kościoła na Przymorzu-Gdańsku, został skazany przez Sąd Wojewódzki w Gdańsku na trzy lata więzienia z zawieszeniem i 80.000 zł. grzywny za nielegalne kupowanie materiałów budowlanych. Ks. Majder położył wielkie zasługi przy budowie kościoła na Przymorzu. Sam Gierek w 1971 roku



wyraził zgodę na jego budowę. ■ Zmarł w Warszawie, w wieku 87 lat, Jan Dębski. W okresie międzywojennym członek władz naczelnych „Wyzwolenia” i „Piasta”, wicemarszałek Sejmu R.P.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

### 13-6-76

Rozgłoszonia państwowa w Sydney (Australia) nadała 2 i pół-godzinną audycję — „Nieboską komedię” Zygmunta Krasińskiego z entuzjastycznym omówieniem. ■ Koncertowe tournée H. Szerynga i W. Wiłkomirskiej miało świetne recenzje.

### 15-6-76

Izrael odrzucił prośbę PRL o zezwolenie na przejazdy żołnierzy PRL między Synajem a wyżyną Golan. ■ W Izraelu ukazał się tom wspomnień Rafała Łoça pt. „Na trzecim piętrze” (Badjuta haszliszit). Rafał Łoç, prawnik, b. oficer W.P., więzień Woldenbergu, pierwszy konsul generalny PRL w Izraelu, po przejściu z MSZ w Warszawie do pracy zawodowej jako prawnik, wyemigrował do Izraela w roku 1956.

### 24-6-76

Zmarł w Londynie dr Józef Freilich w wieku 92-let. Historyk, b. członek Centralnego Komitetu Robotniczego PPS.

### 26-6-76

W Londynie odbyło się zebranie Rady oraz Walne Zebranie delegatów Stow. Lotników. Prezesem SLP został ponownie gen. pilot A. K. Gabszewicz. Walne Zebranie przyznało subwencję POSK'owi w wysokości 1.010.00 funtów. Koło SLP w Blackpool również przyznało POSK'owi kwotę 1.000.00 funtów. Opracowano już „Księgę Poległych i zmarłych Lotników” w czasie wojny. Za kilka miesięcy ma się odbyć dyskusja nad nowym statutem, który będzie testamentem Stowarzyszenia. Głównym problemem jest zdecydowanie przeznaczenia majątku po rozwiązaniu Stowarzyszenia. ■ Rada Fundacji im. Kościelskich w Genewie przyznała na rok 1976 nagrody literackie w wysokości F. Szw. 2.500,00 każda. Nagrody otrzymali: Bolesław Kobrzyński, poeta-żołnierz drugiej wojny światowej, przebywający w Wielkiej Brytanii, Ryszard Krynicki — za całokształt twórczości poetyckiej, Bogdan Madej — za utwory powieściowe oraz Joanna Pollakówna — za twórczość poetycką oraz prace z historii sztuki — troje ostatnich zamieszkałych w PRL.

### 27-6-76

Zmarł w Londynie, w wieku 62 lat, Stanisław Radziwiłł, syn wybitnego działacza konserwatywnego Janusza Radziwiłła.

### 2-7-76

Nakładem szwedzkiej spółki wydawniczej „Bernices” ukazała się powieść Stanisława Lema „Det perfecta tomrummet”, która ma znakomitą krytykę w prasie. Jest to już 3-cia powieść Lema w szwedzkim przekładzie.

### 3-7-76

Działacze polityczni pochodzący z Europy Centralnej i Wschodniej na zebraniu w Paryżu wydali oświadczenie solidaryzujące się z polskimi robotnikami i potępiające brak wolności w Bloku sowieckim. Uczestniczyli przedstawiciele: Armenii, Bułgarii, Węgier, Litwy, Polski, Rumunii, Rosji, Ukrainy i Jugosławii.

### 4-7-76

Na ogłoszony przez Komitet Wydawniczy „Pamiętnika Wileńskiego” konkurs na pracę o Litwie Historycznej nadesłano 12 prac. I-szą nagrodę (praca pisana dialektem używanym przez Polaków na Łaudzie) otrzymał autor z kraju, który chce zachować incognito; II-gą nagrodę — prof. Wiktor Sukiennicki; III-cią — Gustaw Łowczowski; IV-tą — Wiesław A. Lasocki. ■ Rząd Polski na wygnaniu podał się do dymisji. Misję tworzenia nowego rządu otrzymał p. Kazimierz Sabbat.

### 5-7-76

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie zorganizował w londyńskim Ognisku Polskim „Spotkanie z rosyjskimi dysydentami”. Przewodniczył dr Józef Garliński, prezes Związku. Duża sala Ogniska była przepelniona i wielu ludzi musiało stać. Pisarze rosyjscy, Wiktor Feinberg i Natalia Gorbaniewska musieli siedzieć długie lata w sowieckich psychiatrycznych więzieniach, uwięzieni za manifestacje przeciwko sowieckiej inwazji Czechosłowacji. Wiktor Feinberg przemawiał po angielsku. Natalia Gorbaniewska po polsku. Oboje mówili o swoich związkach z grupą *Kontynentu*, swoich sympatiach dla Polski i uznaniu dla grupy paryskiej *Kultury*. Oboje mówili, że bardzo by im zależało na stworzeniu Stowarzyszenia przyjaźni polsko-rosyjskiej na emigracji. Natalia Gorbaniewska opowiadała, jak ona sama i wielu innych młodych pisarzy rosyjskich uczyło się polskiego, polska prasa bowiem była dla nich oknem na świat. Gorbaniewska przeczytała swoje tłumaczenie jednego z wierszy Krzysztofa Baczyńskiego. Ożywiona dyskusja dotyczyła głównie warunków w sowieckich więzieniach psychiatrycznych, o czym prelegenci mówili stosunkowo niewiele. Wiktor Feinberg powiedział, że w jednym przypadku psychiatra sowiecki opisał „chorobę” „pacjenta więźnia” jako „obsesyjne poszukiwanie prawdy”.

### 15-7-76

Oddział monachijski Twa Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu rozpoczął wydawanie *Biuletynu Prasowego*, poświęconego sprawom tegoż Muzeum. Adres Redakcji: Andrzej Krzczunowicz, D-8000 München 83, Staudingerstr. 55.

### 20-7-76

Szwajcarska Akcja dla Samostanowienia Narodów opublikowała protest przeciwko uwięzieniu polskich robotników. Protest został podpisany przez wodniczącego Ernsta R. Borera. ■ Lozańskie wydawnictwo „L'âge d'homme” rozpoczęło wydawanie periodyku *Cahiers Witkiewicz*. Redaktorem jest Alain Crudgen, znany tłumacz Witkiewicza. ■ Gen. Zygmunt Bohusz-Szysko został wybrany do Zarządu Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie na miejsce zmarłego gen. Stanisława Kopańskiego.

### 21-7-76

Zmarł nagle w Londynie, w wieku 80 lat, dr Józef Held. W czasie wojny był on lekarzem gen. Wł. Sikorskiego i był niezmiernie popularny wśród emigracji polskiej w Londynie.

### 24-7-76

W szpitalu polskim w Penley (Wielka Brytania) zmarł, w wieku lat 90, prof. Adam Pragier. W 1944 roku był on min. Informacji w rządzie Tomasa Arciszewskiego. Do końca ub. roku współpracował stale z londyńskimi *Wiadomościami*.











cmentarzu w miejscowości Wildflecken w Dolnej Frankonii, znajduje się 428 grobów polskich dzieci, które zmarły tam już po zakończeniu wojny. Obecnie Narodowy Niemiecki Związek Opieki nad Grobami Wojennymi, uporządkował cmentarz i wmurował tablicę z następującym napisem w języku polskim: „Ku pamięci spoczywających w tym miejscu 428 polskich dzieci, które w następstwie wojny musiały zakończyć ledwie rozpoczęte życie”. ■ W ciągu dwóch kwartałów br. obóz przejściowy w miejscowości Friedland zarejestrował 12.161 przesiedleńców z Polski. ■ W obronie robotników skazanych w Polsce za udział w demonstracjach czerwcowych, wystąpił przewodniczący zachodnio-niemieckiego Związku Zawodowego Metalowców Loderer: „Jestem zdziwiony, że I-szy sekretarz KC PZPR nazywa panującego w PRL system demokracją socjalistyczną, i jednocześnie traktuje strajkujących robotników jako pospolitych przestępców, których sądy polskie skazują na wieloletnie kary więzienia”. ■ W Akwizgranie gościł polski pastor ewangelicki z Warszawy Jerzy Toeplitz. Duchowny ewangelicki i jednocześnie redaktor pisma *Technika w Polsce*, oświadczył dziennikarzom zachodnio-niemieckim, że „kościół w PRL korzysta z pełnych swobód, kierownictwo partyjno-rządowe trzyma się zasad pragmatycznych, i że w Polsce nie przesładuje się nikogo za przekonania polityczne, inne od oficjalnych”. Można powiedzieć *nomen-omen*.

Andrzej J. CHILECKI

## KRONIKA GOSPODARCZA

### SPRAWY ROLNE

W Europie Zachodniej pierwsza połowa lata stała pod znakiem suszy, która okazała się suszą stulecia. Z różnych krajów, głównie jednak z Francji i Włoch, dochodziły hołbowe wieści o katastrofalnej sytuacji w rolnictwie, wywołanej wyschnięciem zbóż i pasz zielonych. Niezorientowany czytelnik mógłby pomyśleć, że Europa stoi w obliczu klęski głodu na skalę przypominającą Indie. Nic podobnego. Niektóre okręgi zostały rzeczywiście ciężko dotknięte, ale w skali poszczególnych krajów — a już na pewno w skali całego kontynentu — sytuacja jest podobna do zeszłorocznej. Europa nie jest terenem izolowanym od reszty świata, a rynek światowy martwi się nie tyle brakiem żywności, co jej nadmiarem. Poniższy przegląd da również obraz skomplikowanej gry rynków i instytucji, rządów i ciał ponadpaństwowych w sferze zaopatrywania ludności świata w żywność.

Przegląd sytuacji europejskiej w połowie czerwca wykazał co następuje: Szwajcaria: Normalny stan — 900 tys. głów bydła, z tego roczny ubój 120 tys. Na skutek suszy ubój w tym roku wyniesie ok. 170 tys. (podobnie kształtować się będzie rynek zwierzęcy w innych krajach). Przewiduje się, że tegoroczny zbiór zbóż będzie o 10 % niższy od zeszłorocznego (który wyniósł 21,3 mln. ton). Francja: Zbiory pszenicy w ub. roku wyniosły 12 mln. ton, na ten rok planowano 17 mln. ton, susza zmniejszyła je do 13-14 mln. ton; zbiory kukurydzy, planowane na 6,5 mln. ton wyniosą przypuszczalnie 5 mln. ton. Wielka Brytania: Przewiduje się zbiory na poziomie ubiegłego roku.

27 lipca departament Rolnictwa Stanów Zjednoczonych ogłasza ocenę strat poniesionych na skutek suszy przez Europę Zachodnią: produkcja zbóż w całej Europie Zachodniej wyniesie w tym roku 125 milionów ton (6 milionów ton mniej, niż w roku ubiegłym, 8 milionów mniej, niż oceniano miesiąc wcześniej), najbardziej dotknięte będą zbiory pasz, natomiast produkcja pszenicy przekroczy nieznacznie poziom roku ubiegłego, wszystkie niedobory uzupełnione będą importem z Ameryki, jego wielkość wyniesie 38 milionów ton.

Wobec obawy braku ziemniaków komisja brukselska zawieszła obowiązujące dotychczas 18-procentowe cło na ziemniaki. Brak ziemniaków najbardziej zagraża Anglii, ale poza tym — jak informuje brytyjskie ministerstwo Rolnictwa — tegoroczna produkcja rolna zapowiada się dobrze: zbiory wiosenne były słabe, ale zimowe zapowiadają się doskonale, wzrosło pogłowie trzody chlewnej i produkcja kurczaków (*broilerów*) a także mleka, mimo nieznacznego zmniejszenia pogłowia bydła.

Strach przed skutkami suszy powoduje panikę na giełdzie cukru. W ciągu lipca ceny rosły gwałtownie, osiągając poziom £. 220 za tonę. Najgorzej przedstawia się Francja: normalnie produkuje ona 3,6 mln. ton, w ub. roku wyprodukowała tylko 3 miliony, produkcja tegoroczna oceniana jest na 2 mln. ton. W momencie gdy cena cukru przekracza £. 200 za tonę, na rynku interweniują Filipiny, które mają jeszcze pewne zapasy z ub. roku. Zbiega się to z ogłoszeniem przeglądu sytuacji światowej, z którego wynika, że produkcja światowa wyniesie w tym roku 83 mln. ton (w roku ub. — 80 mln.).

W ZSSR produkcja mięsa za pierwsze półrocze bież. roku kształtuje się 16 % poniżej poziomu 1975 roku, w Polsce — 1,2 % poniżej. Na Węgrzech pogłowie trzody chlewnej zmniejszyło się o milion sztuk.

Polska jest w sytuacji podobnej do zeszłorocznej. Produkcja rolna jest niezadawalająca i Polska będzie znów musiała uzupełniać braki przez import. Będzie to już trzeci rok dużego importu rolnego. W zeszłym roku bilans handlu żywnością zamknął się sumą minus 1,3 mld. zł. dewizowych. W tym roku na pewno nie będzie lepiej. Tylko część winy za ten stan rzeczy spada na warunki atmosferyczne. Produkcja rolna w Polsce — jak to podkreślają ekonomiści krajowi — zdradza tendencję spadkową niezależnie od pogody. Jak w wypadku ZSSR jest to skutek systemu, choć działającego tu w nieco innej formie.

### RÓŻNE

*Nairobi, 11. 5 br.* Odbyła się tu konferencja Komisji Narodów Zjednoczonych dla Spraw Handlu i Rozwoju. W czasie konferencji delegat chiński dał taką charakterystykę Związkowi Sowieckiemu: „W plądowaniu i eksploatacji Trzeciego Świata ta superpotęga jest jeszcze bardziej chciwa i okrutna niż imperialiści starego stylu. Idąc śladami zachodnich spółek międzynarodowych, Związek Sowiecki tworzy za granicą towarzystwa mieszane, mające na celu eksport kapitału, monopolizowanie rynków i rabunek zasobów naturalnych. Otrzymuje on bajeczne zyski przez wielkoskalową wymianę nierównych wartości i odsprzedaż towarów innych krajów po zawyżonych cenach”.

*London, 19. 5. br.* Angielski minister Obrony Roy Mason powiedział w Parlamencie, że w ciągu ostatnich 10 lat Sowiety wydały 11-12 % swego dochodu narodowego na cele wojskowe, a więc znacznie więcej, niż jakikolwiek kraj zachodni i więcej, niż się dotychczas oceniało (dotychczasowe szacunki zachodnie mówiły, że Sowiety poświęcają na ten cel ok. 7 % swego dochodu narodowego). Według Masona sowieckie wydatki wojskowe wzrastały o 4 % średniorocznie i w 1975 roku osiągnęły poziom 50 miliardów rubli. W 1975 roku Stany Zjednoczone wydały na wojsko 6,7 % swego dochodu narodowego, NRF — 5 %.

*Poznań, 17. 6. br.* Zakończyły się międzynarodowe Targi w Poznaniu. Polska zawarła na nich 2.500 kontraktów o łącznej wartości 4,5 miliardów złotych dewizowych. Największą transakcją był kontrakt „Polimexu-Cekopu” o dostawę trzech fabryk kwasu siarkowego do ZSSR.

*Warszawa, 24. 6. br.* Premier PRL Piotr Jaroszewicz ogłosił w Sejmie podwyżkę cen na artykuły żywnościowe. Ceny poszczególnych artykułów



zostały podwyższone jak następuje: cukier o 100 %, masło o 50 %, mięso przeciętnie o 69 %. Ogólnie ceny żywności mają wzrosnąć o 39 % i przynieść państwu 107 miliardów zł. ■ 25. 6. br. Na skutek strajków i zaburzeń wywołanych w Polsce podwyżką cen żywności, premier Jaroszewicz odwołał podwyżki ogłoszone w Sejmie poprzedniego dnia. ■ 14. 7. br. Ogłoszono podwyżkę cen mięsa o 35 % i zapowiedziano podwyżkę cen innych artykułów żywnościowych w przyszłym roku. Jednocześnie podwyższono ceny skupu na buraki cukrowe o 12 %, zboże o 40 %, żywiec i mleko o 20 %. Rolnicy płacić będą o 45 % więcej za paszę, o 30 % więcej za traktory, 20 % więcej za nawozy, 60 % więcej za cement oraz 45 % za drewno i materiały drzewne.

Genewa, 15. 7. br. Polska centrala urządzeń górniczych Kopex i szwajcarska firma Universal Engineering Corporation podpisały umowę w sprawie eksploatacji zasobów węgla w krajach Trzeciego Świata. Kopex dostarczy środków i urządzeń technicznych, Universal Engineering opracuje technikę eksploatacji i użytkowania węgla. Pierwszy kontrakt, wartości 300-400 mln. dolarów, zawarty został w Peru. Eksperti nowego polsko-szwajcarskiego konsorcjum oceniają, że w ciągu najbliższych 10 lat węgiel zdobędzie 30 % rynku, należącego obecnie do ropy naftowej.

Londyn, 26. 6. br. Londyński dziennik *Financial Times* ogłasza dane o zadłużeniu państw bloku komunistycznego. Wynika z nich, że łączny dług Bułgarii, Czechosłowacji, NRD, Węgier, Polski, Rumunii, ZSSR sięgał w końcu 1975 roku 31 miliardów dolarów, z czego 13 miliardów dolarów przypada na ZSSR i 6 miliardów dolarów na Polskę.

Moskwa, 26. 7. br. Delegacja japońskiego Export-Import Bank udzieliła ZSSR kredytu w wysokości 450 milionów dolarów. Część kredytu zużyta będzie na sfinansowanie kompleksu chemiczno-gazowego w Tiumen (zachodnia Syberia). Budowa zakładu kosztować będzie 250 milionów dolarów i ukończona będzie za 4 lata.

Warszawa, 28. 7. br. Angielska firma Beloit Walmsley uzyskała kontrakt na dostawę maszyn do robienia płyt z odpadków drzewnych dla zakładów celulozy w Kwidzynie. Kontrakt ma wartość 22 milionów dolarów.

Bruksela, 15. 7. br. Komisja złożona z przedstawicieli rządów Francji, Anglii i Stanów Zjednoczonych zdecydowała wydać Polsce część złota przejętego ongiś przez Niemcy z banku Wolnego Miasta Gdańsk. Dzięki temu Polska otrzymała 2,5 tony złota. ■ W pierwszej połowie 1976 roku oddano w Polsce do użytku 3,6 milionów m<sup>2</sup> powierzchni mieszkaniowej, co odpowiada pomieszczeniu dla 75 tys. rodzin. Jest to zaledwie 41,4 % planu całorocznego.

Londyn, 27. 7. br. Dziennik *Financial Times* drukuje przegląd czasopism zachodnich docierających do krajów bloku sowieckiego. Węgry, Czechosłowacja, Rumunia i ZSSR biorą dziennie ok. 1.000 egzemplarzy prasy zachodniej, Polska ok. 2.200, NRD — 250, Bułgaria — 300. Jeden egzemplarz wypada na Węgrzech na 9 tys. osób, w Polsce na 15 tys., w ZSSR na 124 tys.

*Trybuna Robotnicza* podaje, że PRL co roku sprowadza z zagranicy 7 milionów ton zboża z czego 6 milionów ton na paszę i 1 milion ton zboża jadalnego. ■ US Export-Import Bank przyznał PRL nowy kredyt w wysokości 15.297.150,00 dolarów na zakup wyposażenia dla fabryki antybiotyków. Ogólna wartość zakupu wynosi 27.813.000 dolarów. Pożyczka Polski ma być spłacona w ciągu 8 lat poczynając od grudnia 1979. Pożyczka jest

oprocentowana w wysokości 9 %. ■ Nowe przepisy celne PRL zakazują wywozu z Polski odzieży i galanterii skórzanej, obuwia, bielizny, odzieży dla dzieci oraz wyrobów ze złota. Zniesiono cło przywozowe na kawę, herbatę, czekoladę i oliwę. ■ Tylko 24,8 % indywidualnych gospodarstw rolnych w PRL zaopatruje się w wodę z sieci wodociągowej. ■ Centrala Handlu Zagraniczym (Cekop) prowadzi obecnie około 100 prac budowlanych w 20-tu krajach. Dotychczas firma ta zrealizowała za granicą ponad 500 obiektów: około 50-ciu cukrowni, 45-ciu fabryk kwasu siarkowego oraz ok. 100-tu fabryk drewno-podobnych. ■ W ciągu 30 lat istnienia PRL zmeliorowano 3,8 milionów hektarów użytków rolnych. Prace melioracyjne trzeba jeszcze przeprowadzić na obszarze 3,7 milionów hektarów.

B. B.

## Z OSTATNIEJ CHWILI KRAJ — BLOK WSCHODNI

7-8-76

Zmarł w Krakowie, w wieku lat 75, Władysław Wolski b. generałny pełnomocnik rządu do spraw repatriacji obywateli polskich w latach 1945-1949, a następnie minister Administracji Publicznej.

10-8-76

Zmarł w Warszawie, w wieku lat 60, Wincenty Kraśko, sekretarz KC PZPR, członek Rady Państwa, prezes Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną. ■ Stefan Wiechecki — popularny Wiech — obchodzi 80-lecie urodzin.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

8-8-76

W polskim domu emerytów w Lailly-en-Val we Francji zmarła, w wieku 90 lat, Rozalia Hammer, kiedyś modelka i przyjaciółka znakomitego malarza Tadeusza Makowskiego, która w roku 1975 ofiarowała akeje wartości 14.000 F. Towarzystwu opieki nad polskimi zabytkami i grobami historycznymi we Francji na utrzymanie grobów polskich na historycznym cmentarzu w Montmorency.

16-8-76

Znany pisarz rosyjski Andriej Siniaewski na konferencji prasowej w Paryżu zwrócił uwagę opinii światowej na losy znakomitego lingwisty litewskiego Kestutisa Jokubinas, któremu po 17 latach łągów po raz piąty władze sowieckie odmówiły wyjazdu do Kanady do brata. K. Jokubinas jest poliglotą-autodyktą: w okresie swego uwięzienia opanował 20 języków europejskich, azjatyckich i afrykańskich.







Szanowny Panie Redaktorze!

Stuttgart, 17 czerwca 1976.

Z przyjemnością i z pożytkiem czytam doskonale korespondencje Dominika Morawskiego; zawsze pisane piękną polszczyzną — wzór do naśladowania dla wielu (niestety) — więc tylko *lapsus linguae* to „pieczeniarnstwo” zamiast naturalnie „pieniactwa” (*Kultura* Nr 5/344, str. 159).

Łączę wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia,

Wojciech KRZYŻANOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

Londyn, lipiec 1976.

Nie przypuszczałam, że moja życzliwa i troską nacechowana wypowiedź o „Końcu Świata Szwoleżerów” i prezesach-urzędnikach wywoła taką reakcję u osób z tym światem, czy raczej światkiem, nie związanych.

Jest bardzo trudno odpowiadać na list zbiorowy, gdy nawet nie wiem ile osób moziło się nad jego skomponowaniem...

Ilość pytań, które mi Panowie zadali, świadczy o przecenianiu mego „stanowiska” w gronie emigracji politycznej, miłe to dla mojej „ambicji”, ale odpowiedź musiałaby być też listem zbiorowym wielu ludzi z różnych dziedzin pracy i działalności emigracji politycznej.

Dali mi Panowie definicje państwa, ale co robić gdy jest naród jako podmiot, obszar terytorialny w ramach ustalonych granic, ale parlament, rząd i sądownictwo są narzucone i niewiele mają wspólnego z wolą narodu? Taka sytuacja jest w Polsce i dlatego istnienie wolnego rządu na emigracji jest konieczne.

Na pewno nasz ośrodek polityczny nie jest doskonały i sama często go krytykuje za różne posunięcia, lub brak działania, ale przez swoje protesty wysyłane do możnych tego świata, przez kontakty z przedstawicielami wolnych krajów, artykuły w prasie zachodniej i nawet wysmiewane przez Panów demonstracje nie pozwalamy aby kraj utopiono w doktrynie Sonnenfeldta.

W liście swoim lekceważą Panowie partie polityczne na emigracji, których korzenie są na pewno w Kraju — może głęboko ukryte pod ziemią ale taka musi być rzeczywistość w ustroju monopartyjnym.

Szkoda, że przy tak dokładnej znajomości definicji państwa zapomnieli Panowie o demokracji, której podstawą są właśnie partie polityczne nie skrepowane w swoim działaniu. Sama do żadnej partii nie należę ale rozumiem ich konieczność. Piszą Panowie dalej, że „emigracja nie ma dla Polski znaczenia i nie przedstawia praktycznej wartości”, rozumiem że w swych podróżach nie mieli Panowie czasu przeczytać „Programu Polskiego Porozumienia Niepodległościowego w Kraju”, w którym jest wyraźnie powiedziane „Polonia zagraniczna stanowi bezcenny kapitał narodowy”.

Nie zauważyli również Panowie istnienia Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego, którego zadaniem jest ułożenie przyjaznych stosunków między dwoma sąsiadującymi ze sobą narodami.

Na pytanie czy istnieje „przemyt” wolnej książki i prasy do Polski i czy są kontakty z umysłami jeszcze „Niezniewolonymi” pomiędzy Odrą i Bugiem,

mogę tylko powiedzieć, że w pierwszym dniu mego przeszkolenia w pracy podziemnej w czasie okupacji już wiedziałam, że na takie pytania nie wolno odpowiadać, a po tygodniu wiedziałam również, że takich pytań zadawać publicznie nie wolno. Mam nadzieję, że Redaktor *Kultury* zgodzi się ze mną w tym punkcie.

Wiem, że moja odpowiedź nie wyczerpuje wszystkich tematów, ale jest to odpowiedź jednej tylko osoby a nie zbiorowego i anonimowego zespołu.

Łączę wyrazy szacunku,

Teresa LECHNICKA

Albany, 25 lipiec 1976.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym zeszycie *Kultury* ukazał się list p. inż. P. Bukraby w którym zarzucił on Zarządowi Głównemu Stowarzyszenia Marynarki Wojennej w Londynie zaniedbanie:

- odtworzenia dziejów Polskiej Marynarki Wojennej okresu międzywojennego i
- stosunku Stowarzyszenia do POSK'u.

W dalszym ciągu wyraził żal, że Komisja Historyczna Stowarzyszenia nie dopomogła do wydania pracy na temat Działu Technicznego P.M.W. w latach 1918-1939.

W odpowiedzi Zarząd Stowarzyszenia wyjaśnił swą pozycję i sprawa mogłaby się wydawać za zamkniętą. Niestety p. inż. P. Bukraba zapomniał, że już w roku 1973 zwróciłem się do niego z prośbą i propozycją. Prosiłem o pomoc w zbieraniu materiałów dotyczących dziejów Polskiej Marynarki Wojennej za okres od 1918 do 1946 roku, które to materiały pragnę wykończyć do pisanej przeze mnie „Kroniki Polskiej Marynarki Wojennej rzystać do pisanej przeze mnie „Kroniki Polskiej Marynarki Wojennej 1918-1939 r.”. Zaproponowałem zaś wydanie Jego książki w swoim prywatnym Warsztacie Typograficznym „Sigma Press”. W obu wypadkach otrzymałem odpowiedź odmowną. Po ukazaniu się w kwietniu „Listu otwartym” napisałem ponownie do p. inż. P. Bukraby. Odpowiedź otrzymałem krótką i negatywną.

Muszę się przyznać, że w tych warunkach trudno jest zrozumieć intencje p. inż. P. Bukraby. Nie widzę powodu rezygnacji z członkostwa Stowarzyszenia Marynarki Wojennej jeśli instytucja ta jest raczej charakteru charytatywnego i jej Statut nie przewiduje wydawania prac swych członków. Sądzę, że problem „Dziejów Polskiej Marynarki Wojennej” jak i wydania książki „Działy techniczne P.M.W.” można było załatwić pozytywnie jeszcze w roku 1973.

Łączę wyrazy szacunku,

St. PIASKOWSKI

P.S. Dla uniknięcia podejrzeń pragnę podkreślić, że: 1) nie jestem członkiem Zarządu S.M.W. w Londynie, 2) nigdy, nikt nie proponował mego udziału w pracach Komisji Historycznej Stowarzyszenia.

S. P.



Towarzystwo Przyjaciół *Kultury*  
w Szwecji

Sztokholm, 2 lipca 1976.

Do  
Naczelnego Redaktora *Kultury*  
Jerzego Giedroycia

Głęboko przejęci wieścią o zgonie Juliusza Mieroszewskiego, naczelnego publicysty *Kultury*, składamy w imieniu Zarządu Towarzystwa Przyjaciół *Kultury* oraz w imieniu jej czytelników w Szwecji wyrazy głębokiego współczucia z powodu tak wielkiej straty dla Redakcji i Wydawnictwa.

Juliusz Mieroszewski był jednym z najbardziej popularnych publicystów nie tylko na emigracji ale także i w Polsce, o czym wiemy z rozmów z wielotysięczną rzeszą studentów, przyjeżdżających z kraju. Jego poglądy kształtujące się przez całe jego życie, nigdy nie kostniejące, pełne ducha tolerancji i humanizmu, prowadzące wieczny z sobą dialog — kazały czytelnikom myśleć, wątpić, poszukiwać. Jego sposób rozmowy z czytelnikiem wywarł i nadal będzie wywierać wpływ na wielu młodych ludzi w kraju, którym przyszłość Polski leży na sercu i którzy wiedzą o współczesnym świecie i światły, samodzielny sposób korzystania z niej dla dobra narodu — czerpać będą z tego, co pozostawił po sobie Juliusz Mieroszewski.

Za Zarząd  
Norbert ŻABA  
przewodniczący

Ewelina LIPKO-LIPCZYŃSKA  
sekretarz

Józef LEWANDOWSKI  
wiceprzewodniczący

Kopenhaga, 6 lipca 1976.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Ze smutkiem dowiedzieliśmy się o zgonie wieloletniego współpracownika i cenionego Publicysty Juliusza Mieroszewskiego.

Proszę przyjąć serdeczne wyrazy współczucia od zespołu naszej redakcji.

**KRONIKA**  
Box 1806  
DK-2300 Kobenhavn S.

Do śmierci Juliusza Mieroszewskiego redakcja otrzymała od Czytelników bardzo dużą ilość listów z kondolencjami. Szereg listów było naprawdę wzruszających. Wśród nich były również listy Jego przeciwników politycznych. Natomiast prasa emigracyjna (z nielicznymi wyjątkami jak *Kronika*, *Związkowiec*, *Nowy Dziennik*, *Rzeczpospolita*) oraz radio Free Europe śmierć Juliusza Mieroszewskiego całkowicie przemilczały. (*Redaktor*).

## SPROSTOWANIA

W artykule Michała Borwiewicza „O losach francuskiego przekładu książki Boya” (nr 6/345 *Kultury*, czerwiec 1976 r.) początek zdania na str. 122, wiersz 2 i 3, miał oczywiście brzmieć: „Po ślubie Marysieńki z Zamoyskim..” (a nie Bampyskim).

Do artykułu p. M. Hellera „Przepastne wyżyny”, zamieszczonego w nr. 7/346-8/347 *Kultury*, przez niedopatrzenie redaktora wkradła się fałszywa informacja, że autorem omawianej książki „Przepastne wyżyny” („Zijajusz- czyje wysoty”) jest Andriej Amalrik, co nie odpowiada prawdzie. Autor przebywa w ZSSR i rzecz jasna jego nazwisko nie może być ujawnione. Za tę przykrą pomyłkę przepraszamy przede wszystkim p. Michała Hellera.

BIBLIOTEKA « KULTURY »  
TOM 258 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

# ARCHIPELAG GUŁag

Tom II (Część III i IV)

PRZEKŁAD MICHAŁA KANIEWSKIEGO

Str. 608.

Cena F. 65 (z przesyłką F. 72,50)

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Londyński korespondent „Kultury”: Bohdan BRODZIŃSKI,  
87, Park Hill, London, S.W.4. 9NX. — Telefon: 622 17 14.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication : Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 21 267.  
Dépôt Légal : 3<sup>e</sup> Trimestre 1976.



BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 257 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

**BIBLIOGRAFIA**

„KULTURA” (1958-1973)  
„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1962-1973)  
DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1959-1973)

Dawno zapowiadana *Bibliografia* zawartości treści „KULTURY” i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH” oraz DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA DO ROKU 1973 włącznie.

Str. 432.

Cena F. 75.

Przypominamy Czytelnikom, że Bibliografia za okres 1947-1957 opracowana przez Jana KOWALIKA ukazała się w roku 1959. Posiadamy ją jeszcze na składzie. Cena egz. F. 15.

TOM 263 — TOMASZ STALIŃSKI

**LUDZIE W AKWARIUM**

Nowa powieść autora wydanych już przez Instytut Literacki powieści „Widziane z góry”, „Cienie w pieczarze”, „Romans zimowy” i „Śledztwo”.

Powieść, rozgrywająca się we współczesnej Warszawie, daje przekrój rozmaitych środowisk społeczno-politycznych poruszając również problemy emigracyjne w sposób kontrowersyjny lecz nowy i interesujący.

Str. 148.

Cena F. 25,00.

TOM 265 — ZESZYTY HISTORYCZNE

**ZESZYT TRZYDZIESTY SZÓSTY**

Zawiera m.in. prace B. Truchan: „Burza” pod Wilnem; M. Pruszyński: *Historyczne wywiady sprzed 40-tu laty*; T. Katelbach: *Moja misja kowieńska*; B. Miedziński: *Wspomnienia (4)*; obszerny Dział Polemik, Recenzje i Listy do Redakcji.

Str. 240.

Cena F. 25 (\$ USA 6,75).

**KULTURA**

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffite : Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002 .....	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25 .....	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013 .....	\$A 2,25	\$A 12,00	\$A 22,50
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762 .....	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23 .....	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czekow do adm. „Kultury”	\$ US 3,00	\$ US 15,00	\$ US 28,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wierlingenlaan 6, Vlissingen, Tel. : (01184) 14073, Postgiro 1379176 .....	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839 ; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115 ; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7 .....	\$ Can. 3,00	\$ Can. 15,00	\$ Can. 28,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 —	DM. 7,00	DM. 40,00	DM. 75,00
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss —	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009 ; L. Dudaraw-Ossetyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868 ; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172. T. Konopecki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847 ; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271 ; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234 ; F. Orzechowski. Books, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103 ; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Sae-Babczynski, 10472 Barnwell Street, Bellflower Cal. 90706. Tél. 920-2017 ; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211. ....	\$ US 3,00	\$ US 15,00	\$ US 28,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210. ....	£ 1,20	£ 7,00	£ 13,00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241 .....	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00

lub równowartość

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 120, półroczna — F. 65. Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe: INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le-Mesnil-le Roi, par 78600-MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji) lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).



## Nowości wydawnicze

TOM 262 — LESZEK KOŁAKOWSKI

### GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom I

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom I obejmuje powstanie i ewolucję doktryny za życia jej twórców oraz zawiera krytyczne komentarze autora, odnoszące się do jej kluczowych składników.

Tom II ukaże się niebawem i poświęcony jest odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II Międzynarodówki.

Tom III, który autor spodziewa się rychło ukończyć obejmuje rozwój i rozpad marksistowskiego dziedzictwa w ciągu dziesięcioleci jakie upłynęły od Rewolucji Rosyjskiej i końca II-jej Wojny Światowej.

Str. 432.

Cena F. 75,00.



TOM 264 — WITOLD SUŁKOWSKI

### SZKOŁA ZDOBYWCÓW

Tomik prozy poetyckiej młodego pisarza krajowego. Trzy próby wydania go w kraju skończyły się niepowodzeniem. Jedna z najciekawszych pozycji poetów „nowej fali” w Polsce. Sułkowski, urodzony w roku 1943, z wykształcenia filolog, debiutował w *Więzi* i publikował swoje utwory w *Literaturze*, *Poezji* i *Nowym Wyrazie*. Był więziony pół roku w związku ze sprawą tzw. grupy „Ruch”. Pracuje obecnie jako urzędnik w Łódzkim Domu Kultury. Przedmowę do *Szkoły zdobywców* napisał krytyk krajowy, ukrywający się pod pseudonimem Marek Gruda.

Str. 64.

Cena F. 15,00.



TOM 266 — ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT TRZYDZIESTY SIÓDMY

Zawiera m.in. prace: P. Wandycza — *Stany Zjednoczone a Europa Środkowo-Wschodnia w okresie międzywojennym 1921-1939*; Jana Nowaka — *Sprawa generała Berlinga*; B. Miedzińskiego — *Moje wspomnienia* (dokończenie); oraz Działy: RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 25 (\$ USA 6,75).

**Cena 11 F**